

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. GETTY IMAGES, KASIA MICHALAK

Nie oddawaj dziecka
w niewolę ▶ 4
Marcin Prokop
boi się pytać Amerykanów
o Trumpa ▶ 16



**WYSOKIE
OBCASY**
Rozczarowani
demokracją



MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Jan Englert:
**Moje pokolenie
wychowywało się
na wstydzie** ▶ 22



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ISSN 0860-908X

11>

9 770860 908167

GAZETA
wyborcza

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 345198

**Za
mundurem
licealiści
sznurem** ▶ 8

Religia kina
Tadeusza
Sobolewskiego
▶ 34

**Wielka wsypa Armii
Krajowej**
O zdradę oskarżono
niewinnego człowieka ▶ 40

**Wylądujemy
na Marsie**
Za kilka lat
▶ 30

FOT. SHUTTERSTOCK

Agnieszka
Kublik

Danse makabre

Miałam nikłą nadzieję, że śmierć Barbary Skrzypek nie posłuży Jarosławowi Kaczyńskiemu. Że jej jednak nie wykorzysta. Barbara Skrzypek zmarła w sobotę. To wieloletnia współpracownica Kaczyńskiego, prowadziła mu biuro na Nowogrodzkiej. Razem z synem miała niewielkie udziały w spółce Srebrna, powiązanej z PiS.

W środę została przesłuchana w prokuraturze w sprawie afery „Dwóch Wież” – miała je stawiać Srebrna.

Projektu pilnował Gerald Birgfellner, powiązany rodzinnie z Kaczyńskim. Ten mu nie zapłacił i Austriak poszedł do prokuratury. Za czasów PiS prokuratura sprawę umorzyła, nie przesłuchiwała Kaczyńskiego, bo publicznie rzucił, że jest niewinny.

Kaczyński od razu znalazł winnych śmierci swojej współpracownicy: „W Polsce mamy niszczenie demokracji, praworządności. Mamy pierwszą ofiarę śmiertelną tych działań”.

Męczy mnie kilka pytań. Dlaczego Barbara Skrzypek była zdenerwowana przesłuchaniem? Musiała stawić się w prokuraturze, bo Kaczyński nie zapłacił Birgfellnerowi.

Dlaczego prokurator nie dopuścił jej pełnomocnika do przesłuchania? Bo świadek może zeznawać z pełnomocnikiem, ale nie musi. Mec. Krzysztof Gotkowicz to nie zwykły pełnomocnik. Pracuje w gdyńskiej kancelarii „Gotkowicz, Kosmus, Kuczyński i Partnerzy”. Ta kancelaria od lat obsługuje PiS i samego Kaczyńskiego. To ta kancelaria w imieniu komitetu wyborczego PiS wysłała do PKW odwołanie od decyzji o odrzuceniu rocznego sprawozdania finansowego partii za 2023 r.

Dlaczego Kaczyński wysłał z Barbarą Skrzypek swojego prawnika?

Pełnomocnik podczas przesłuchania nie może zadawać pytań, ale może udzielać klientowi porad, np. czy musi odpowiadać na wszystkie pytania prokuratora. Może poprosić o przerwę, podczas której poinformuje klienta, czego ma nie mówić.

Dlaczego Kaczyński wysłał z Barbarą Skrzypek prawnika z reprezentującej go kancelarii? Kaczyński był od początku niezmiernie zainteresowany tym śledztwem. Po przesłuchaniu Birgfellnera przez prokuraturę w 2019 r. spotkał się ze Zbigniewem Ziobro, wówczas prokuratorem generalnym. Doświadczenie życiowe podpowiada, że mogło chodzić o zeznania Birgfellnera. Tak, jak tym razem. Kaczyński sam opowiadał, że w trakcie przesłuchania Skrzypek dzwonił do jej pełnomocnika.

Czy Barbara Skrzypek opowiedziała Kaczyńskiemu, co zeznała? Nie wiemy. Chociaż, gdy Kaczyński stwierdził, że protokół z jej zeznań został sfałszowany, to musiał go z czymś porównać. Sens ma porównanie tylko z zeznaniami Barbary Skrzypek. Czy zatem sam się przyznał, że je zna? Nie miał prawa.

Co takiego Barbara Skrzypek zeznała? Że nie upoważniła Kaczyńskiego do reprezentowania jej udziałów w spółce Srebrna na nadzwyczajnym zgromadzeniu spółki. Z tego może powstać zarzut przeciwko Kaczyńskiemu.

Rodzina Barbary Skrzypek nie wiąże jej śmierci z zeznaniami w prokuraturze. Wiąże Kaczyński. Nie wahał się ani chwili, by zrobić z niej ofiarę Tuska. I to zanim znana była przyczyna śmierci (rozległy zawał serca), zanim została pochowana.

Do tej obrzydliwej polityki włączył się i prezydent. Uznał jej śmierć za „państwową”. Teraz to „państwowa ofiara”. ●

Andrzej rysuje

Kosmiczne 9 miesięcy
Powrót na Ziemię

Kapsuła statku kosmicznego Dragon wylądowała u wybrzeży Tallahassee na Florydzie. Astronauci Nick Hague, Suni Williams, Butch Wilmore i kosmonauta Aleksander Gorbunow wrócili z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Czekali zespoły wsparcia. 18 marca 2025 r.

Kod dostępu
do Wyborcza.plW poniedziałek
w „DF”

**STRACIŁEM STOPY
W MROŹNYM LESIE**
Zaczęłam płakać, wzywać na pomoc mamę, wiedząc, że ona nie przyjdzie. Zostałem sam pod łotewską granicą, czekając na śmierć – opowiada Mamadou Mounir Sylla, 17-latek z Gwinei

Lepszy świat
Uwaga, słonecznik

Nie wszystkie niepełnosprawności czy choroby przewlekłe są widoczne. W przestrzeni publicznej, np. na lotniskach, w sklepach i w komunikacji miejskiej, często wiąże się to z brakiem zrozumienia, a czasami też z nieprzychylnymi komentarzami. Hidden Disabilities Sunflower to globalna inicjatywa, dzięki której osoby z niewidoczną niepełnosprawnością mogą zasygnalizować ją otoczeniu, nosząc identyfikator zawieszony na zielonej smyczy w słoneczniki. W Polsce, za sprawą Fundacji Autistic Adults on Tour, Słonecznik pojawił się 13 marca. Honorują go już pierwsze lotniska, a do kampanii przyłączyło się kilka miast.

Dzięki Hidden Disabilities Sunflower osoby z niewidoczną niepełnosprawnością mogą nosić identyfikatory (personalizowane lub nie) zawieszane na zielonej smyczy w słoneczniki. Dostępne są też przypinki, zawieszki do identyfikatorów, opaski na ręce i inne gadżety z tym motywem.

To wszystko można już zamówić przez stronę internetową Słonecznika. Plan docelowy jest taki, żeby smycze i niepersonalizowane identyfikatory można było odbie-



rać w różnych instytucjach za darmo – na lotniskach, w sklepach spożywczych, w urzędach, być może za pośrednictwem organizacji pacjentów lub innych fundacji.

Co ważne, żeby uzyskać smycz ze słonecznikiem nie trzeba przedstawiać dokumentacji medycznej czy orzeczenia o niepełnosprawności.

Nie trzeba też ujawniać, jaką ma się niepełnosprawność. Słonecznik opiera się na zaufaniu. Smycz z tym symbolem z założenia nie daje żadnych przywilejów – ma być raczej sygnałem dla otoczenia niż przepustką do omijania kolejek, choć czasem na lotniskach obsługa już sama to proponuje. ●

Zuzanna Kuffel

Liczba dnia



200

TYS. RUBLI

dostają ochroniarze Putina, mniej niż żołnierz na froncie i znacznie mniej niż kurier rozwożący pizzę po Moskwie. Bo prezydenta mają otaczać ludzie szczerze gotowi oddać życie za ojczyznę, a nie dorożkiewicz. – więcej
► Wyborcza.pl

Kto wykorzysta śmierć Barbary Skrzypek

Byle się wczłgać do drugiej tury

Jest ktoś, komu afera z przyjaciółką Kaczyńskiego może bardziej zaszkodzić niż Trzaskowskiemu

Wielowieyska



Karol Nawrocki wypada źle w sondażach. Prezes IPN i kandydat PiS na prezydenta notuje mniejsze poparcie niż samo PiS w partyjnych badaniach, co może oznaczać, że nie cały elektorat tej partii jest zmobilizowany przed wyborami prezydenckimi. A kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen jest na fali wznoszącej i coraz bardziej zbliża się do Nawrockiego: w ostatnim badaniu Opinia24 dla RMF różnica wyniosła 1 punkt procentowy. Sztab PiS ten wynik deprecjonuje, ale inne pracownie pokazują podobny trend.

Dlatego nastąpiła zmiana koncepcji. Teraz politycy PiS na czele z Jarosławem Kaczyńskim mają pokazywać się z prezesem IPN i uświadamiać wyborcom, że „nasz ci on jest”.

Jednocześnie w sobotę media i polityków zelektryzowała wiadomość o śmierci Barbary Skrzypek. Była szefowa biura Jarosława Kaczyńskiego trzy dni wcześniej zeznawała jako świadek w śledztwie dotyczącym „dwóch wież”, znanych też jako „K-towers” – biurców w prestiżowej stołecznej lokalizacji, które miała budować powiązana z PiS spółka Srebrna. Prowadzi je prokurator Ewa Wrzosek. PiS natychmiast winą obarczył rząd, prokuraturę, a w szczególności tę konkretną prokuratorkę. Jednakowe wpisy na ten temat pojawiły się na kontach polityków i zwolenników tej partii. Kaczyński pojawił się w dwóch PiS-owskich telewizjach, a następnego dnia wygłosił oświadczenie przed prokuraturą. Ogłosił, że Barbara Skrzypek jest „pierwszą ofiarą” tego rządu.

Skrzypek – o której istnieniu opinia publiczna dowiedziała się z bardzo popularnego serialu Roberta Górskiego „Ucho prezesa” – w obozie PiS była bardzo lubiana. Politycy byli szczerze wstrząśnięci tą śmiercią. Ale jednocześnie Nowogrodzka doszła do wniosku, że te okoliczności dają szansę na nowe otwarcie kampanii Nawrockiego.

Charakterystyczne, że część działać PiS jest ostrożna. Krytykują Wrzosek, że nie dopuściła do przesłuchania pełnomocnika prawnego Barbary Skrzypek – do czego Wrzosek miała prawo – i przypominają wcześniejsze wypowiedzi prokuratorki, świadczące o tym, że jest gorącą przeciwniczką PiS. Ale unikają jednoznacznego stwierdzenia, że przesłuchanie zabiło Skrzypek.

Jednak ci w pierwszym szeregu kolportują taką właśnie wersję, dokonując na prokuratorce linczu w mediach społecznościowych. Na ich czele stoi sam Kaczyński. Instykt polityczny mu podpowiada, że oto pojawia się opowieść, która pomoże nadać kampanii nową dynamikę. Zmobilizuje lekko znudzonego elektorat PiS i popchnie ich do urn. Pomoże mocniej spolaryzować scenę polityczną, rozkręcić emocje, podnieść temperaturę konfliktu. A to z kolei daje szansę uniknięcia totalnej kompromitacji sztabu i Nowogrodzkiej, jaką byłaby mijanka Nawrockiego z Mentzenem.

Nie, Kaczyński nie liczy na to, że śmierć Barbary Skrzypek przyniesie kandydatowi PiS zwycięstwo. Ale ma nadzieję, że pomoże Nawrockiemu wczłgać się do drugiej tury. Im większa polaryzacja, im większa mobilizacja elektoratów dwóch największych obozów i tym mniejsze szanse tych polityków, którzy usiłują wbić w klin między szczepionych dwóch przeciwników, czyli PiS i KO.

I w tym kontekście sprawa Barbary Skrzypek – co piszę pełna współczucia dla rodziny, ale tak właśnie wygląda polityka – może bardziej zaszkodzić Mentzenowi niż Rafałowi Trzaskowskiemu.

Bo PiS – jak zwykle – przegrzeje sprawę, mobilizując w ten sposób elektorat drugiej strony.

Nie ma żadnych dowodów, że przesłuchanie było traumą dla pani Barbary, ponieważ w przerwie nie poszła ani nawet nie zadzwoniła do swojego pełnomocnika, aby cokolwiek skonsultować. I przez trzy dni ani jej pełnomocnik, ani PiS nie informowali, że w czasie przesłuchania stało się coś złego. A przecież wiemy, że w środę po przesłuchaniu Kaczyński rozmawiał ze swoją byłą szefową biura. Gdyby faktycznie był zbulwersowany, od razu zaalarmował opinię publiczną. Milczał jednak trzy dni i dopiero po śmierci pani Barbary przypomniał sobie, że była zestresowana.

Prokuratura ujawniła protokół z przesłuchania i absolutnie nie wynika z niego, że ktokolwiek panią Barbarę atakował lub dręczył. Wygląda na to, że jej zeznania niewiele wniosły do sprawy i naprawdę nie ma tam nic, co mogłoby ją zdenerwować. Wielu rzeczy nie pamięta, w kluczowych dla śledztwa spotkaniach nie uczestniczyła.

Trudno racjonalnej osobie – nawet jeśli jest krytyczna wobec Wrzosek – uznać, że to prokuratorka jest winna czyjejkolwiek śmierci. Ale to Kaczyńskiemu nie przeszkadza, bo trzeba nakręcić emocje twardego elektoratu. Wzmoczenie scementuje obóz PiS, skonsoliduje wokół lidera, uciszy wewnętrzne spory, zmobilizuje aparat partyjny do pracy i w efekcie poprawi sytuację Nawrockiego. To stał wpis najbardziej wzmoczonych ludzi prezesa: „mordercy”, „szubrawcy”, „lotry”. Choć w czasie, gdy te kalumnie padały, nawet nie było wiadomo, co jest przyczyną zgonu. Dopiero w we wtorek po południu okazało się, że Barbara Skrzypek miała zawał.

Kaczyński wykorzystuje to wydarzenie bez żadnych hamulców, ponieważ wie, że to jego ostatnia szansa. Gdyby Nawrocki nie znalazł się w drugiej turze, przywództwo „Naczelnika” stanęłoby po wielkim znakiem zapytania. Niektórzy politycy jego obozu już ośmielali się przebąkiwać, że przegrana w wyborach prezydenckich zagrozi władzy prezesa i może za sobą pociągnąć rozpad partii. A co dopiero, gdyby kandydat PiS odpadł w I turze. Odpyły część ludzi do Konfederacji byłby gwarantowany.

Tym bardziej że sygnały do ewakuacji z pokładu już płyną z otoczenia Andrzeja Dudy. Prezydent właśnie spotkał się z Mentzenem, co w PiS przyjęto ze złością. A za Dudą pójdą inni: dobre relacje z Konfederacją ma wciąż popularny w aparacie partyjnym „swojak” Przemysław Czarnek. I zacznie się rozpa-

dać coś, co dla prezesa jest najważniejsze, może nawet ważniejsze niż władza w państwie: jego partia.

Tylko powrót głębokiej polaryzacji może zapobiec temu scenariuszowi. Słysząc coraz liczniejsze głosy, że Mentzen ma większe niż Nawrocki szanse wygrać z Trzaskowskim w II turze. Ale prezesa to nie martwi, bo ma inną hierarchię wartości: na pierwszym miejscu jest utrzymanie jedności i przywództwa w partii. Porażka Koalicji 15 Października jest ważna, byłaby satysfakcjonująca, ale nie jest najważniejsza.

Więc ofiarą ostatnich wydarzeń nie będzie Trzaskowski, lecz Mentzen. Walec polaryzacji już ruszył, a Konfederacja w sprawie Barbary Skrzypek siedzi okrakiem na barykadzie.

Przemysław Wipler, jedna z prominentnych postaci tej partii, mentor Mentzena w jego politycznych początkach, przypomniał w X, że szefowa biura Kaczyńskiego zmarła dopiero kilka dni po przesłuchaniu. I pytał wzmoczonego pracownika TV Republika: „Może Pan wytłumaczyć, co się działo w międzyczasie? Jaka była dokładnie przyczyna zgonu? Jaki jest związek przyczynowo skutkowy i czy on istnieje? Bez tych danych, to podłe insynuacje”.

Sztabowców KO pocieszają wewnątrz badania, wskazujące główny problem Mentzena. Czyli to, że wyborcy 40+ spoza elektoratu konfederackiego nie znają go

PiS-owskie konta natychmiast odsądziły Wiplera od czci i wiary, odpisując: „Hańba”. Lecz Krzysztof Bosak, współlider „Konfy” z ramienia narodowców, choć poszedł mniej jednoznaczną drogą, to jego reakcja nie różniła się bardzo od Wiplera: – Nie podoba mi się jedna rzecz bardzo mocno, a mianowicie to, że prowadziła to [przesłuchanie] jedna z najbardziej agresywnie antypisowskich i upolitycznionych pani prokurator – stwierdził w RMF FM. Ale chwilę wcześniej zastrzegł: – Nie mam wiedzy na temat przyczyn śmierci pani Skrzypek. Wydaję mi się, że jej rodzina ani jej prawnicy nie podali też żadnych komunikatów, więc wołałbym kwestii śmierci nie komentować.

Jeśli sprawa śmierci Barbary Skrzypek długo pozostanie ważnym motywem kampanii – co nie jest pewne, bo ludzie wciąż bardzo absorbują lek przed Rosją i niespodziewane zwroty Donalda Trumpa – to logika polaryzacji zmierza do wykrystalizowania się dwóch postaw. A w zasadzie jednej, bo są lustrzane: albo głosisz, że „reżim zabił panią Basię”, albo uważasz PiS za szaloną i do szpiku złą partię, która „tańczy na trumnach”. Każda inna, bardziej zniuansowana wersja przestanie się liczyć.

Ale nawet jeśli „śmierć w tuskowej prokuraturze” nie przekształci się w nowy zamach smoleński, to jesz-

cze nam potowarzyszy. Bo PiS musi czymś bardzo wzniosłym przykryć ostatnie nowinki o Nawrockim. Kilka lat temu w TVP wystąpił Tadeusz Batory, autor biografii słynnego trójmiejskiego gangstera „Nikosia”. Zamaskowany gość wychwalał Nawrockiego – wówczas dyrektora Muzeum II Wojny Światowej – opowiadając, że zainspirował go historyk, który „pierwszy zajmował się zagadnieniami przestępczości zorganizowanej w PRL”. – Ja starałem się do tych suchych historycznych i badawczych prac doktora Nawrockiego dołożyć to, czym się zajmuję na co dzień: czyli publicystykę, ale też rozmowy z ludźmi, że świadkami tamtych wydarzeń – mówił Batory. Który, jak się kilka dni temu dowiedzieliśmy, jest... Karolem Nawrockim.

Karol Nawrocki, w bejsbolówce i z zamazaną twarzą udający pisarza zajmującego się półświatkiem, który wychwala Karola Nawrockiego – to głęboka wrażliwość obciachu. Bardzo groźne w sytuacji, gdy trzeba będzie walczyć o młodych wyborców Mentzena.

Ale to nie znaczy, że sztabowcy Trzaskowskiego mogą spać spokojnie. Słuchać obawy, że ta sprawa mu zaszkodzi. „A nie mówiliśmy” – dobiega z tej części KO, która nie zachwycała się pomysłem, aby wrażliwe politycznie śledztwo w sprawie „dwóch wież” prowadziła akurat Wrzosek. A jakby tego było mało, aby asystował przy tym jeszcze bardziej wyrazisty Roman Giertych.

Z drugiej strony większa polaryzacja może osłabić Mentzena, który okazuje się naprawdę groźnym konkurentem. „Nawrocki jest tak kiepski, że każdy może być dla nas większym zagrożeniem” – słyszę w KO. Mentzen w drugiej turze może być trudniejszym przeciwnikiem, bo wchodzi jako ten świeży polityk, który nigdy nie rządził. I cieszy do brym wzrostowym trendem.

Sztabowców pocieszają wewnętrzne badania KO, wskazujące główny problem kandydata Konfederacji. Czyli to, że wyborcy 40+ spoza elektoratu konfederackiego nie znają go, nie mają wyrobionego o nim zdania. W badaniu z udziałem kandydatury Mentzena na pytanie: „na kogo zagłosujesz”, często pada odpowiedź „nie wiem”.

Wynik kandydata Konfederacji pozostaje niewiadomą, bo jest jeszcze jedno pytanie: czy gdyby znalazł się w II turze, wszyscy wyborcy PiS z I tury na niego zagłosują. Starsi go nie znają, a do tego wyborcy partii Kaczyńskiego to po części elektorat socjalny, grupa Polaków, dla których PiS jest rzecznikiem ich interesów jako ludzi niezamożnych. Mentzen nie musi się im spodobać, bo nie dość, że kojarzy się z zabraniami zasiłków i obciążeniem wydatków socjalnych, w tym emerytur, to jeszcze emanuje samozadowoleniem, epatując majątkiem osiągniętym w młodym wieku.

Inna sprawa, że w KO dopiero od niedawna zaczęto analizować wariant „druga tura z Mentzenem”.

Przy tak wielu niewiadomych bardzo ważny będzie efekt debaty telewizyjnej z udziałem wszystkich kandydatów. Tak naprawdę to ona może poważnie wpłynąć na wynik I tury i zdecydować, kto weźmie udział w ostatecznej rozgrywce z Trzaskowskim. ●

Dominika Wielowieyska

Kto hoduje nasze dzieci

Kontrolujemy je na każdym kroku, boimy się puścić na podwórko. A one potrzebują ryzyka, tajemnic. I na to wchodzi Zuckerberg, TikTok i YouTube: „To wszystko dostaniecie u nas!”.

Z **MAGDALENĄ BIGAJ**, PREZESKĄ FUNDACJI INSTYTUT CYFROWEGO OBYWATELSTWA ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Właściciele platform społecznościowych i gamingowych twierdzą, że najmłodsze dzieci nie korzystają z ich produktów, bo są one dozwolone od 13. roku życia. Wasz raport* pokazuje, że ponad połowa dzieci w wieku 7-12 lat, czyli 1 mln 400 tys. dzieci w Polsce, jest w serwisach, w których nie powinno ich być. **MAGDALENA BIGAJ:** Co trzecie ma regularny dostęp do TikToka, co czwarte do Facebooka, a 12 proc. jest na Instagramie. Dzieci w tym wieku powszechnie używają też komunikatorów: 38 proc. z nich, czyli 900 tys., ma Messengera, a 31 proc., czyli 720 tys. – WhatsAppa.

Najwięcej czasu spędzają na TikToku – średnio 2 godziny i 11 minut dziennie, niektóre uruchamiają tę aplikację nawet kilkadziesiąt razy w ciągu dnia.

Uważasz, że ten raport jest przełomowy. Dlaczego? – Z dwóch powodów. Po pierwsze, zarówno właściciele tych platform, jak i biznes oczywiście świetnie zdają sobie sprawę z tego, że dzieci korzystają z nieprzeznaczonych dla nich serwisów i aplikacji. Na przykład Meta, co wiemy z dokumentów prokuratorskich ze spraw sądowych toczonych w USA przeciwko temu gigantowi technologicznemu, ma na swój wewnętrzny użytek pełne raportowanie na temat obecności dzieci w ich produktach. Z kolei cała branża reklamowa ma dostęp do tych samych narzędzi, z których i my korzystaliśmy, przygotowując ten raport. Ponieważ jednak nikt wcześniej tego nie ujawnił, można było podtrzymywać fikcję, że „dzieci w sieci nie ma”, bo przecież „regulaminy na to nie zezwalają”. Dzięki temu i bigtechy, i biznes mogli umywać ręce od wszelkiej odpowiedzialności – „skoro rodzice są tak głupi, że pozwalają dzieciom kłamać na temat swojego wieku, to ich sprawa”.

Rodzice z kolei umywali ręce, bo albo nie wiedzieli, że dzieci nie mogą korzystać z tych serwisów, świadomość na ten temat jest wciąż u nas niska, albo przymykali na to oko, bo tak im było wygodniej.

Teraz dorosłym trudniej będzie umyć ręce.

A ta druga przełomowa rzecz?

– Skorzystanie z narzędzi Gemius pozwoliło nam wyciągnąć dane bezpośrednio z komputerów i smartfonów osób w danym wieku. Nie można więc nam za-

rzucić na przykład tego, że badanie oparte jest na deklaracjach. I są to te same narzędzia, z których od 20 lat korzysta branża interaktywna w Polsce. Podważenie ich oznaczałoby podważenie całego biznesu.

Co ciekawe, tuż po publikacji raportu na LinkedInie ukazał się kuriozalny post jednej z marketerek, która zachwycała się wynikami raportu, ponieważ wreszcie będzie miała, czarno na białym, dowody dla swoich klientów, że dzieci w internecie są. Zadała też w tym poście pytanie, czy czytelnicy mają jakiś pomysł na to, jak dotrzeć z reklamą do dzieci młodszych, o których raport nie mówi. A dokładnie: „Jak złapać w digitalu dzieci 3-7-letnie?”.

Po tym, jak nagłośniłam tę sprawę, dostałam wiele informacji od osób pracujących w agencjach reklamowych i marketingowych, że to jest powszechna praktyka. I że producenci produktów przeznaczonych dla dzieci w wieku 3-7 lat zwracają się do nich z prośbami o działania reklamowe skierowane wprost do tej grupy, a nie za pośrednictwem rodziców. Najczęściej te dzieci łapane są w grach i na YouTube, a starsze – głównie właśnie w mediach społecznościowych.

To pokazuje ogromną patologię tej części biznesu.

Czy ciebie samą któraś z tych liczb zaskoczyła, czy raczej potwierdziły one twoje intuicje?

– Nie będę oryginalna – zszokował mnie powszechny dostęp do pornografii. Z naszych badań wynika, że w grudniu zeszłego roku co trzecie dziecko w grupie 7-14 lat odwiedziło serwis pornograficzny Pornhub. Ta skala mnie uderzyła,

13

• **badanych nastolatków podejmuje wyzwania internetowe, w których naraża się zdrowie i życie własne lub innych**

„Jak złapać w digitalu

zwłaszcza że to był miesiąc świąteczny, w którym dużo się mówi o relacjach, bliskości, o tym, że miłość jest wokół nas, tymczasem dzieci siedziały na Pornhubie.

Ale nie chodzi tylko o łatwy dostęp do pornografii.

A o co jeszcze?

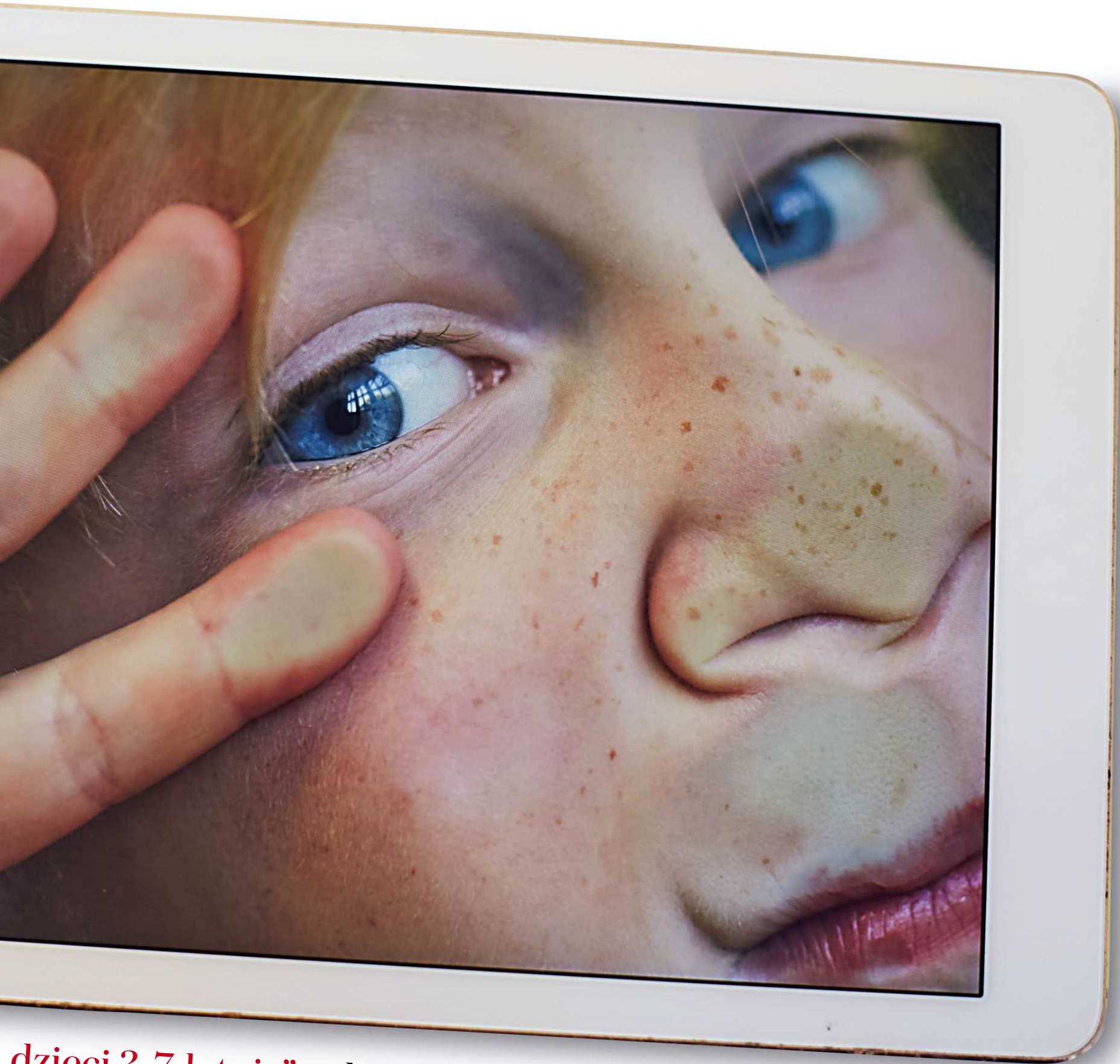
– Na przykład o tak zwane algorytmy traumy, które nakierowują dzieci na destrukcyjne treści. O dziurawe mechanizmy w serwisach społecznościowych, które sobie z tymi treściami nie radzą. O to, że na przykład funkcje Mety same podsuwają dzieciom pedofilów.

Ta sprawa akurat została nagłośniona przez prokuratora Nowego Meksyku, kiedy okazało się, że funkcja „People you may know”, czyli „Ludzie, których możesz znać”, sugerowała dzieciom kontakty z wybranymi dorosłymi i na odwrót. A jacy dorośli aktywnie wyszukują dzieci w mediach społecznościowych? Z dokumentów prokuratorskich wiemy też, że na pytanie oburzonych menedżerów wysokiego szczebla w Mecie – jakim cudem nie wyłączyliśmy tej funkcji w przypadku dzieci? –

Mark Zuckerberg odpowiedział: „Bezpieczeństwo dzieci nie jest naszym priorytetem w tym sezonie”.

Pytanie: w którym sezonie będzie?

– Prawda? Byłam niedawno w szkole w Łodzi na spotkaniu z nastolatkami z ostatnich klas podsta-



dzieci 3-7-letnie” – dyskutują marketingowcy na LinkedIn

wówki, które opowiadały mi, że z pornografią stykają się też na TikToku. Twórcy treści pornograficznych targetowanych na dzieci sprytnie omijają mechanizmy sprawdzające tak, że na początku wideo przez kilka sekund dają zaślepkę w postaci treści dla dzieci albo śmiesznego filtru, bo mechanizm sprawdza tylko pierwsze kilka sekund, po czym odpałają brutalną pornografię. Jedna z nastolatek powiedziała na tym spotkaniu: „Zróbcie coś, żebym nie musiała tego oglądać!”.

Co jeszcze krzywdzi dzieci poza pornografią i narażeniem na kontakt z pedofilami?
– Żeby było jasne: nowe technologie potrafią wnieść w życie dzieci i nastolatków wiele pozytywnych rzeczy. Problem polega na tym, że ze względu na brak społecznej odpowiedzialności producentów produktów technologicznych mamy do czynienia z produktami wysokiego ryzyka.
Gry cyfrowe, na przykład, mogą poprawić koordynację ręką – oko, refleks, wspierać zdobywanie wiedzy o świecie, naukę języka angielskiego czy współpracę z innymi, ale jednocześnie są miejscem krzywdzenia seksualnego dzieci i mają bardzo silny aspekt uzależniający, bo często wprost wykorzystują mechanizmy hazardowe. To samo tyczy się mediów społecznościowych.
Rozmawiamy o dzieciach poniżej 13. roku życia. W tym wieku człowiek powinien być przede wszystkim skoncentrowany na rozwijaniu kompetencji

społecznych i uczenia się. Do zdrowego życia potrzebuje swobodnej zabawy z rówieśnikami, przebywania na świeżym powietrzu, rozwijania swoich zainteresowań, umiejętności manualnych, małej motoryki, dużej motoryki.
Kiedy więc widzę statystyki, które pokazują, ile dzieci praktycznie od momentu obudzenia się do momentu położenia się spać nie rozstaje się ze smartfonem, kiedy mam świadomość, ile z nich doświadcza w sieci hejtu, ogląda przemoc i się z nią oswaja, ile z nich jest narażonych na kontakt z obcymi osobami, to nie jestem w stanie powiedzieć, że to nie szkodzi. Czy te negatywne konsekwencje może wynagrodzić fakt, że być może dziecko natknie się tam na filmik, który w ciekawy sposób opowie o porach roku?
To jest życzeniowe myślenie dorosłych, zresztą silnie wspierane przez prężne działy PR firm technologicznych – że w mediach społecznościowych jest wiedza.
Krótkie wideo i kilka zdań opisu to nie jest wiedza, to jest informacja. Wiedzę dziecko może zdobyć, jeśli poświęci czemuś wystarczająco dużo czasu, a nie kiedy obejrzy kilkadziesiąt czy kilkaset kilkunastosekundowych filmów niezwiązanych ze sobą tematycznie.
Z waszych badań wynika, że dzieci w tej grupie wiekowej spędzają mniej czasu w serwisach

edukacyjnych typu Wikipedia czy Brainly niż w serwisach pornograficznych. W tych pierwszych średnio 6 minut dziennie, w drugich – 10 minut dziennie.
– My, dorośli, chcielibyśmy, żeby było inaczej, żeby internet był przyjaznym miejscem dla dzieci i żebyśmy mogli mieć je z głowy. Przecież dziecko przed ekranem to dziecko, które nie sprawia w danym momencie problemów. Tylko że finalnie zaczynamy żyć w milczących rodzinach. Najnowsze badania pokazują, że dzieci zaczynają mówić coraz później – w wieku 3-4 lat, a nie tak jak wcześniej w wieku 2-3 lat.
Specjaliści tłumaczą, że dzieje się tak nie tylko dlatego, że dostają wcześniej urządzenia ekranowe, ale też dlatego, że coraz rzadziej słyszą ludzką mowę.
Wyobraźmy sobie: malutkie dziecko raczkuje albo bawi się klockami. Mama do niego nie mówi, bo jest zaangażowana w kłótnię na forum dla matek: czy lepiej karmić piersią czy mlekiem modyfikowanym. Tata, wróciwszy z pracy, obniża sobie napięcie, skrolując internet. Starsze rodzeństwo, jak czytamy w raporcie, siedzi na TikToku albo na YouTube. W tym domu jest po prostu cicho! To są poważne zmiany społeczne. Do tego siedzący tryb życia, który jest paradoksem, bo przecież mobilny internet, smartfony, laptopy, wi-fi wszędzie miały dać nam

FOT. GETTYIMAGES

swobodę poruszania, tymczasem usadzili nas na tyłkach, w tym dzieci.

I to też jest ta krzywdą, o którą pytasz.

Badacze z Uniwersytetu w Monachium dowiedli, że oglądanie rolek i krótkich filmików typu „shorts” fatalnie wpływa na pamięć perspektywną, która pozwala nam planować i pamiętać na przykład o tym, co musimy wziąć ze sobą na spotkanie. Nasze mózgi są w tej chwili tak przeciążone informacyjnie i nastawione na koncentrację na krótkich treściach, że pamiętanie o tym, co mamy zrobić, coraz gorzej nam wychodzi.

Nauczyciele ciągle narzekają, że uczniowie są rozkojarzeni.

– I dla mnie informacja, że tyle dzieci korzysta z mediów społecznościowych, jest o tym, że połowa społeczeństwa w wieku 7-12 lat przechodzi właśnie trening dekoncentracji i doświadcza destruktywnego wpływu na pamięć.

Oczywiście, podejścia mogą być różne. W jednej z dyskusji, w których brałam udział, pewna pani profesor powiedziała: „Moi studenci nie chcą czytać i muszę to zaakceptować”. Pytanie: na jaki świat chcemy się godzić?

Mam wrażenie, że staliśmy się cyfrowymi zakładnikami. Mamy do czynienia z technooligarchami, którzy dyktują zasady już nie tylko na swoich platformach, ale też w ogóle – zasady społeczne, polityczne. Najjaskrawiej widać to po Stanach Zjednoczonych. Ten rząd techonooligarchów stojących niczym ministranci za Donaldem Trumpem na jego zaprzysiężeniu jest symboliczny. Na naszych oczach zmienia się ustrój.

Media społecznościowe to mokry sen inżyniera społecznego – tak łatwo jest dziś wpływać na nasze postawy, na to, co myślimy o świecie, o innych.

W ogóle na to, jak funkcjonujemy na co dzień. Wasz raport pokazuje, jak wygląda rytm dobowy dzieci, i chyba to przynębia mnie najbardziej. Co trzecie dziecko w grupie 7-12 lat sięga po telefon między 6 a 7 rano, między 7 a 8 robi to już co drugie.

– A pierwszą aplikacją, którą uruchamiają, nie jest wcale budzik, tylko YouTube i TikTok, ewentualnie Messenger. Te dwie aplikacje też układają dzieci do snu.

Współautorka raportu Jadwiga Przewłocka dokonała uważnej analizy tego, jak rytm dobowy dzieci wygląda, i na jej wykresach wyraźnie widać, że przed szkołą mamy wzrost korzystania z internetu, potem w szkole w tej grupie wiekowej jest znaczny spadek, po czym następuje ogromny wzrost z lekkim spadkiem około godziny 17. Może dlatego, że wielu rodziców wraca wtedy z pracy i odbywa się rytuał pod tytułem: jak było w szkole? Krótka wymiana zdań, po której dziecko znów idzie do świata cyfrowego.

O 22 w tej grupie ponad jedna trzecia nadal jest w telefonie.

– A niektórzy dociągają do 1 w nocy.

Na konferencji w Sejmie, na której prezentowaliśmy wyniki badania, Jadwiga pokazała bardziej szczegółowy obraz – jak wyglądają sesje konkretnych anonimowych użytkowników. I to było naprawdę porażające.

Oczywiście trafiały się dzieci, które tylko przez godzinę dziennie używają internetu, najczęściej po szkole. Ale widzieliśmy też dzieci stale do niego podpięte, które korzystają z telefonu w każdej godzinie dnia. Tam jest prawie cały czas TikTok, stale Messenger i od czasu do czasu na przerwach między lekcjami jakaś gra, najczęściej „Brawl Stars”.

Jak sobie pomyślisz, czym powinno być dzieciństwo, a widzisz, czym ono jest, to trzeba nie mieć elementarnego wglądu, żeby nie zrozumieć, z czym mamy do czynienia.

Z czym?



10

• SEKUND
wystarczy czasem, by uwieść dziecko w przestrzeni gry internetowej. Średni czas wchodzenia w konwersację ocenianą jako o podtekście seksualnym i wysokiego ryzyka wynosi obecnie 45 min

– Żyjemy w czasach transhumanizmu, w których nasze umysły funkcjonują już jakby poza naszymi ciałami.

Umysł takiego dziecka funkcjonuje w oderwaniu od niego samego. W sieci, w której, jak pisze w świetnej książce „Dopelganger” Naomi Klein, hođujemy swoich sobowtórów, czyli pewną splaszczoną wersję siebie.

Teraz, jeśli dziecko, które dopiero kształtuje swoją tożsamość, robi to w internecie, w którym jest tą splaszczoną wersją siebie, nad którą nie ma panowania, bo treści o nim tworzą też inni, przerabiając jego zdjęcia, komentując posty, to kim ono będzie? Gdzie będzie jego punkt odniesienia? Co będzie myśleć na swój temat? Jakie będzie jego poczucie własnej wartości? Sprawczość? Jeśli nałożymy na to takie zjawiska jak choćby to, o którym donieśli brytyjscy dziennikarze, że algorytm TikToka podsuwa chłopcom treści mizoginistyczne zachęcające do przemocy wobec kobiet, w stylu: jak ukarać pyską dziewczynę, to mamy bardzo duży problem.

Chciałabym, żeby to wybrzmiało: ten raport nie jest wymierzony w dzieci. To naturalne, że dzieci przekraczają granice czy chcą odwiedzać miejsca, na które dorośli im nie pozwalają. Ten raport jest wymierzony w nas, dorosłych, żeby nam pokazać, z czym mamy do czynienia i że to są konsekwencje, z którymi za chwilę będziemy się musieli zmierzyć. Wiesz, nie wiem, jak o tym rozmawiać publicznie...

Właśnie to robimy.

– Kiedy tylko próbuję mówić o negatywnych stronach, zaraz znajdują się obrońcy, którzy mówią: „nie straszmy internetem”, „dzieci mają prawo być w sieci”. Zgadzam się, ale mają również prawo do zdrowego środowiska życia – gwarantuje im to konwencja o prawach dziecka. I walczę nie o to, żeby zakazać dzieciom internetu czy smartfonów, tylko o to, żeby to, z czego korzystają, było dostosowane do ich etapu rozwoju. No, chyba że chcemy hodować społeczeń-

stwo, które będzie wytrawione z krytycznego myślenia, zdekoncentrowane, będzie podążać za prostymi bodźcami, mieć problemy z przyswajaniem długich tekstów, syntezą informacji oraz samodzielnym myśleniem.

Tu od razu słyszę: „Ale to jest zadanie rodziców. To oni powinni ustalać zasady, dawać przykład” i tak dalej.

– Do pewnego stopnia tak. Tylko że to nie wystarczy. Dam moje ulubione porównanie – żeby dziecko mogło się zdrowo odżywiać, rodzice muszą mieć wiedzę na ten temat, ale też zdrowe produkty muszą być dołączane na rynek. A te, które są niezdrowe, powinny zostać odpowiednio oznaczone. I tak się dzieje na rynku żywności. Oczywiście, mamy masę śmieciowego jedzenia i rodziny, które karmią nim dzieci – na śniadanko słodki czekoladowy serek, do szkoły czekoladowy batonik i paczka żelków. Jednak pewna norma jest. I można się do niej odnieść, a przez lata mówienia o tym, jak ważne jest odpowiednie żywienie dzieci, stało się oczywiste, że jeśli jesteś troskliwym rodzicem, to dajesz dziecku zdrowe jedzenie.

Producenci produktów technologicznych, z których wszyscy korzystamy, takich jak media społecznościowe czy gry, nie podają ich składu do publicznej wiadomości. Do tego te produkty są udostępniane osobom, które nie powinny z nich korzystać, więc to jest trochę tak, jakby 11-latek poszedł do monopolowego, poprosił o butelkę wódki, sprzedawczyni by go spytała: „A ile masz lat?”, on by odpowiedział, że 18, a ona by mu dała te butelkę bez mrugnienia okiem.

Tyle są warte te zabezpieczenia zarówno w mediach społecznościowych, jak i na stronach pornograficznych.

– Po prostu klikasz, że masz skończone 13 czy 18 lat, i wchodzisz.

Dlatego to ogromne wyzwanie społeczne wymaga działań na wielu fron-

tach. Przede wszystkim dzieci – zarówno te młodsze, jak i te starsze – potrzebują mądrych dorosłych.

Mam troje dzieci w różnym wieku, najstarsza córka jest nastolatką. Niedawno opowiedziałam jej zasłyszaną historię o 11-latce, która przez rok była w grupie na WhatsAppie, gdzie pokazywano pornografię, w tym pornografię z udziałem dzieci. Zrobiłam to dlatego, że – po pierwsze – uznałam, że córka i tak wie, czym jest pornografia. A po drugie – żeby wiedziała, że jeśli coś takiego ją kiedyś spotka, to może mi o tym powiedzieć, a ja nie będę jej za to winić i będę wiedziała, co zrobić.

Nie musimy mieć wielkiej wiedzy o internecie, żeby dać dziecku taki sygnał.

Jeśli gra w gry, zwróćmy uwagę, czy w funkcji multiplayer ma możliwość grania z obcymi, bo najczęściej w taki sposób dochodzi do krzywdzenia seksualnego.

I o ile dawniej, jak mówi świetna ekspertka w tym temacie Katarzyna Staciwa, osoby krzywdzące dzieci w internecie potrzebowały kilku tygodni czy nawet miesięcy, żeby urobić ofiarę, o tyle dziś ten czas skrócił się do poniżej godziny.

Ale sami sobie z tym wszystkim nie poradzimy. Potrzebujemy polityków, którzy będą potrafili wymusić na producentach technologicznych dostarczanie zdrowych produktów. Niestety, mam wątpliwości, na ile możemy na to liczyć. Zwłaszcza obserwując takie sytuacje jak hold lenny premiera Tuska wobec Google’a.

Masz na myśli memorandum, które rząd podpisał w lutym o inwestycjach w Polsce? Google ma nie tylko przeznaczyć pieniądze na szkolenia z AI, ale też opracować plan transformacji w kluczowych dla państwa sektorach: energetyki, cyberbezpieczeństwa i ochrony zdrowia.

– Dokładnie to mam na myśli. Podobną umowę podpisano też z Microsoftem. O zagrożeniach, jakie są z tym związane, na przykład z przekazywaniem danych wrażliwych obywateli firmom, nad którymi nie mamy jurysdykcji, zwracała uwagę Polska Chmura, czyli polskie firmy cyfrowe zrzeszone w tej organizacji.

Co politycy powinni wymusić na firmach technologicznych, jeśli chodzi o dzieci?

– Na pewno skuteczną weryfikację wieku. Nie możemy nie robić nic tylko dlatego, że to trudne. To jedno. Drugie – powinno zostać wprowadzone prawo, które będzie zobowiązywało właścicieli platform społecznościowych do skutecznego usuwania treści destrukcyjnych. Te mechanizmy oparte na sztucznej inteligencji muszą zostać udoskonalone. Na wszystkich kontach, ale szczególnie na kontach osób poniżej 18. roku życia, powinny zostać zablokowane algorytmy traumy, które podsuwają użytkownikom treści wzmagające lęk, obniżające nastrój czy pograżające w problemie, który dany algorytm wyczuł, że nas dotyczy. Powinna też zostać pilnie wprowadzona edukacja cyfrowa. Moim zdaniem źle się stało, że przedmiot edukacja zdrowotna został uznany za nieobowiązkowy, dlatego że tam jest duży komponent związany z edukacją cyfrową.

Tu uwaga do środowiska edukacyjnego, nie tylko szkół, ale też innych podmiotów prowadzących edukację cyfrową – organizacji pozarządowych, influencerów – że ta edukacja jest wciąż bardzo technooptymistyczna i koncentruje się na tym, żeby najpierw wyposażać szkoły i dzieci w sprzęt, a dopiero później w kompetencje. Powinno być na odwrót.

Edukacja cyfrowa nie polega na tym, że na fizyce cała klasa robi test w telefonach na „Kahootie”. Tylko na tym, żeby nauczyć dzieci krytycznego myślenia wobec tego, co widzą w internecie, i mądrego wykorzystywania technologii do własnego rozwoju. Mądrego, czyli nie tego, żeby AI pisał za mnie wypracowania, tylko żeby na przykład na podstawie rozdziału książki zrobił ciekawy quiz, który pozwoli mi się przygotować do sprawdzianu.

Funkcje Mety same podsuwały dzieciom pedofilów

Zdarza się, że na lekcjach informatyki dzieci z wczesnej podstawówki uczą się, jak założyć konto na Gmailu, którego nie powinny mieć. Nie mówiąc o tym, że całe klasy mają konta na Messengerze czy WhatsAppie. Poza wszystkim to jasny przekaz, że regulaminy można łamać.

– Dlatego powinniśmy międzysektorowo wypracować coś, co na poziomie koncepcji nazywam „porozumieniem na rzecz odpowiedzialnej edukacji cyfrowej”. Czyli zawrzeć umowę między podmiotami prowadzącymi edukację w tym obszarze, która będzie zobowiązywała sygnatariuszy do tego, by każde wystąpienie, program czy materiał edukacyjny zawierały klauzulę dotyczącą etyki i zabezpieczenia zdrowia psychicznego, fizycznego i społecznego użytkowników technologii, które promują. Podobną klauzulę mamy na przykład przy reklamach leków – że przed ich zażyciem należy się skonsultować z lekarzem albo farmaceutą. Ona jest mówiona szybko, ale jest i sam ten fakt sprawia, że ludzie nauczyli się, że to nie jest coś neutralnego. Wiadomo, że nadmiar suplementów czy źle dobrane suplementy mogą szkodzić. Nadmiar technologii czy źle dobrane technologie też mogą szkodzić.

Rośnie grupa entuzjastów zakazu telefonów w szkole. Takie rozwiązanie wprowadziły Holandia, Grecja, niektóre szkoły w Wielkiej Brytanii. Z badań Uniwersytetu w Manchesterze, które wzięły pod lupę 30 szkół, gdzie taki zakaz wprowadzono, wynika, że nie przełożył się on ani na lepsze samopoczucie dzieci, ani na ich większą koncentrację. A ty co o tym myślisz?

– Problemem nie jest dla mnie używanie telefonów w szkole, tylko ryzykowne używanie urządzeń ekranowych przez dzieci i młodzież w ogóle. Czyli to, że przebywanie w świecie cyfrowym zaczyna dominować i odbywa się kosztem innych aktywności. Poza tym, jak wrócimy do wykresu Jądwiogi Przewłockiej, który pokazuje, jak dzieci w wieku 7-12 lat korzystają ze smartfonów w ciągu dnia, to w godzinach szkolnych i tak widać wyraźny spadek używania.

Choć w grupie 15-18 lat, którą też przebadaliście, już go nie ma. Nastolatki w tym wieku są podpięte do telefonów praktycznie bez przerwy. Nawet w szkołach, które na własny użytek wprowadziły taki zakaz.

– Co pokazuje, że żeby miał on sens, musi zostać wypracowany w porozumieniu ze szkolną społecznością. Inaczej nie będzie działał.

Jeśli chodzi o dzieci młodsze, te z pierwszych klas podstawówki, uważam, że nie powinny mieć przy sobie telefonów ani na lekcjach, ani w czasie przerw. Większość z nich ich nie potrzebuje.

Zwykle są odprowadzane do szkoły i z niej przyprowadzane, a jeśli coś się wydarzy w ciągu dnia, zawsze można zadzwonić do sekretariatu. Co innego w przypadku starszych dzieci, które same się poruszają po mieście, ale one też nie muszą mieć telefonów podczas zajęć.

Szkola nie może zabronić dzieciom przyniesienia telefonów, bo to jest niezgodne z prawem, natomiast może wprowadzić zasady ich używania na swoim terenie. I są już takie rozwiązania, na przykład każda klasa ma swoją szafkę, do której dzieci rano odkładają telefony, a po lekcjach je stamtąd zabierają. Mają też prawo podejść do telefonu w ciągu dnia, jeśli coś się wydarzy, na przykład muszą poprosić rodziców, żeby im coś podzucili.

Poza tym szkoła powinna być przestrzenią, w której fajnie się spędza czas. Bo jeśli na korytarzu zupełnie nie ma co robić, to nie dziwny się, że dzieci podczas przerwy będą siedzieć w telefonach. Musimy otworzyć szkolne korytarze na boisko, nawet zimną. Pozwolić dzieciom się wyszaleć. Zorganizować też przytulne miejsca odpoczynku czy sale, w których można w ciszy spędzać

103

• MLN
polskich nastolatków korzysta z najpopularniejszego serwisu pornograficznego



FOT. SHUTTERSTOCK (2)

przerwy, bo niektórzy uczniowie uciekają w telefony przed hałasem.

Wszystkie znane mi szkoły, które z sukcesem wprowadziły zakaz korzystania z telefonów, zrobiły coś ekstra i zmieniły swoją przestrzeń.

Wasze wykresy dobowe pokazują, że używanie telefonu przez dzieci z grupy 7-12 lat w weekendy wzrasta aż o jedną czwartą. W godzinach, w których w tygodniu notujemy spadek, pojawia się wzrost. Pytanie: jaką alternatywę my, rodzice, jesteśmy gotowi zaproponować dzieciom?

– To jest w ogóle pytanie o to, jakie społeczeństwo stworzyliśmy – ważny wątek, który jest często pomijany. Na przykład w dyskusji wokół słynnej książki amerykańskiego psychologa Jonathana Haidta pt. „Niepokojne pokolenie”, która za chwilę ukaże się po polsku. Haidt stawia w niej tezę, że to głównie nowe technologie, w tym media społecznościowe, są odpowiedzialne za pogorszenie się zdrowia psychicznego dzieci na świecie. Uważam, że to nadużycie, bo ta kwestia jest dużo bardziej złożona, i że równie istotnym czynnikiem obciążającym jest tempo życia rodziców. Wielu i wiele z nas pracuje w takim trybie, że nie ma ani czasu, ani energii, żeby wymyślić jakąś alternatywę dla świata cyfrowego, który serwuje łatwo dostępną rozrywkę. Część dzieci z kolei funkcjonuje jak w korporacjach – uczą się w szkołach czy przedszkolach, które cały czas wypełniają im zajęciami. Nie jest dziwne, że po tak intensywnie spędzonym dniu dziecko sięga po narzędzie, które najszybciej i najłatwiej obniży mu napięcie, czyli po smartfona, a w nim shortsy i TikToka.

Haidt ma cztery postulaty: smartfony po 14. roku życia, media społecznościowe od 16. roku życia, szkoły całkowicie wolne od telefonów i znacznie więcej swobodnej zabawy oraz dziecięcej niezależności. – I w tym ostatnim punkcie bardzo się z nim zgadzam. Tylko że realizacja tego postulatu jest trudniejsza niż przedstawia to Haidt. Bo nie wystarczy, że krzyknemy: „Hej, przywróćmy dzieciom swobodne dzieciństwo! Założmy grupę rodziców na WhatsAppie, żeby się w tym wzajemnie wspierać!”. Wspaniale, że taka grupa już jest i miliony Amerykanów w niej urzędują, ale to nie jest rozwiązanie.

Szczerze mówiąc, jak patrzę na osiedla, na których jest plac zabaw wielkości miejsca parkingowego albo w ogóle go nie ma,

jak widzę, jaki jest stosunek nas, dorosłych, do dzieci w przestrzeni publicznej, jak często nam te dzieci w niej przeszkadzają, to mam wątpliwości, na ile to przywracanie swobodnej zabawy jest możliwe. Nie mówiąc o tym, że jesteśmy już mocno zanurzeni w helikopterowym rodzicielstwie, kontrolujemy dzieci na każdym kroku i pozwolenie dziecku na samodzielne wyjście na podwórko czy na boisko wiele z nas napawa lękiem.

Tyle że potrzeba eksplorowania świata na własną rękę, podejmowania zachowań ryzykownych to naturalne dziecięce potrzeby.

Tak jak i potrzeba posiadania tajemnic. – I na to wszystko wchodzi Mark Zuckerberg, TikTok i YouTube, którzy mówią: „Chodźcie do nas! To wszystko możecie uzyskać u nas!”.

Czytając taki raport jak nasz, można popaść w technofatalizm i pomyśleć, że już się z tego nie wygrzebiemy.

Można.

– Mnie z technofatalizmu, na który kiedyś zapadłam, wyleczyło podejście aktywnej nadziei znane z ruchów klimatycznych. Mówi ono tak: jeśli już rozumiesz, jak trudna jest sytuacja, to – po pierwsze – pogódź się z tym, że tak jest i być może nigdy nie uda się wrócić do tego, co było, a po drugie – pozwól sobie na żalobę. Przeżyj to rozczarowanie, tę frustrację, ten lęk, to przerażenie, a jak już to zrobisz, skoncentruj się na tym, gdzie masz wpływ, i tam działaj. Moim zdaniem to jest uzdrawiające.

Tylko nieliczni z nas wykonują pracę, która może wywrzeć bezpośredni wpływ na polityków albo zrobić coś, co globalnie zmieni rzeczywistość. Ale to, co możemy, to zacząć od siebie, swojej rodziny, a potem na przykład od szkoły swoich dzieci. To już bardzo dużo. Dzięki temu mielibyśmy o wiele więcej konsumentów dokonujących świadomych wyborów. Ja na przykład nie korzystam z chińskich aplikacji w imię solidarności z Ujgurami mordowanymi w obozach koncentracyjnych w Chinach. Nie jestem w stanie nie kupować chińskich produktów, bo one są wszędzie, ale decyduję się nie używać TikToka, Ali Express, Temu czy innych tego typu serwisów. Zgłaszam posty, które naruszają zasady społeczności w internecie, i namawiam do tego innych. To jest moja obywatelska postawa.

Jeśli będziemy wystarczająco aktywnymi konsumentami pokazującymi, że pew-

ne rzeczy nam się nie podobają, to zbudujemy presję społeczną, tak jak zbudowaliśmy ją w kwestii klimatu. Dziś to, co się dzieje wokół kryzysu klimatycznego, wynika zarówno z ustawodawstwa Unii Europejskiej, jak i z rosnącej świadomości, bo już wiemy na przykład, że to, co czujemy w powietrzu w listopadzie, to nie jest zapach jesieni, tylko znak, że sąsiedzi palą syfem w kominie. Wiemy, że od tego małutkie dzieci umierają na choroby płuc, i nie godzimy się żyć w takim świecie.

Jakie będą koszty, jeżeli my, dorośli, nic z tym nie zrobimy?

– Przyjdzie nam spłacać ten kredyt, czyli zaczniemy odczuwać konsekwencje.

Wielu rodziców po przeczytaniu tego raportu może pomyśleć, że to ich nie dotyczy, bo ich dziecko nie używa ekranu. Chciałabym przypomnieć, że człowiek wciąż jest zwierzęciem stadnym, a dzieci wychowuje cała wioska. I jeśli połowa tej wioski w wieku twojego dziecka używa mediów społecznościowych, to jest trochę tak, jakby twoje dziecko też ich używało. Jeśli jedna trzecia tej wioski korzysta z pornografii, to prawdopodobieństwo, że ktoś mu ją pokaże w szkolnej toalecie, jest duże.

To jest naprawdę nasz wspólny problem. Co jeśli nic nie zmienimy? Myślę, że czekają nas dwa scenariusze. Pierwszy jest taki, że staniemy się społeczeństwem jeszcze łatwiejszym do manipulowania. A w związku z tym czekają nas zmiany polityczne wykraczające daleko poza to, co dziś jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Ale możliwy jest też drugi scenariusz, w który bardzo bym chciała wierzyć, że uratuje nas sinusoida pokoleń.

Co masz na myśli?

– Młodzi często patrzą krytycznie na starych. Odbijają się od ich ideałów, przekonani, stylu życia. Skoro więc daliśmy im takie życie, to kto wie, może oni zechcą żyć zupełnie inaczej? Od starszych nastolatków słyszę sporo negatywnych słów o technologiach. Część z nich widzi, że tego wszystkiego jest za dużo, że to źle na nich wpływa. Niektórzy sami podejmują różne działania, żeby to ograniczyć. Na razie jednak jest trochę tak, że cyfrowa rewolucja zjada własne dzieci. Dosłownie. ●



Magdalena Bigaj

• założycielka i prezeska fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Medioznawczyni, badaczka. Autorka książki „Wychowanie przy ekranie”.

Pomysłodawczyni i współautorka pionierskich „Ogólnopolskich badań higieny cyfrowej”. Twórczyni i kierowniczka pierwszych w Polsce studiów z higieny cyfrowej na Uczelni Korczaka. Laureatka Nagrody Korczaka 2024 za działania na rzecz praw dziecka w środowisku cyfrowym.

*Autorami raportu „Internet dzieci” (pierwszego raportu z monitoringu aktywności dzieci i młodzieży w internecie) są: Magdalena Bigaj, Konrad Ciesiołkiewicz, Krzysztof Mikulski, Anna Miotk, Jadwiga Przewłocka, Monika Rosa i Aleksandra Załeska

Raport powstał dzięki fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, Polskim Badaniom Internetu, PKDP (Państwowej Komisji ds. Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Młodetnich Poniżej 15. Roku Życia) i Gemius. Jest dostępny na: internetdzieci.pl

Piotr Głuchowski

Jeśli wybuchnie wojna polsko-rosyjska, pogonimy kacapów jak w 1920 roku – zapowiadają uczniowie klasy mundurowej z bydgoskiego Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego.

– Ale Rosja ma pięć razy więcej wojska niż my – zauważam.

– NATO ma jeszcze więcej. Nawet bez Ameryki dwa miliony.

– Chcielibyście się sprawdzić na prawdziwej wojnie?

– Po to się przecież trenuje, żeby wystąpić w zawodach.

•
Wedle raportu „Defence Expenditure of NATO Countries” („Wydatki na obronność krajów NATO”) polska armia z ponad 215 tys. żołnierzy jest trzecią najliczniejszą w Europie po rosyjskiej, która liczy ponad milion ludzi, i ukraińskiej z około 600 tys. pod bronią. Wśród krajów NATO również lądujemy na trzecim miejscu – za armiami amerykańską i turecką. Z naszych europejskich sojuszników przeszło dwustutysięczne siły zbrojne mają jeszcze tylko Francuzi.

– Co się składa na te 215 tys. ludzi pod bronią?

– pytam majora Bogdana Lewandowskiego, szefa wydziału rekrutacji i promocji w Wojskowym Centrum Rekrutacji przy ulicy Szubińskiej w Bydgoszczy.

Podobnych centrów jest w Polsce 86. To dawne Wojskowe Komendy Uzupelnień, które z ponurych miejsc, gdzie mundurowi lekarze zaglądali rozebranym rekrutom między pośladki, zamieniły się w kolorowe biura kuszące urokami służby w marynarce, lotnictwie, siłach specjalnych czy pułku reprezentacyjnym. Dzwoniący do WCR słyszą w słuchawce żwawą pieśń „Do-bro-wolna i woj-skowa/ to dla ciebie szansa nowa!”, a wchodzących witają plakaty z ukrytymi wśród zarośli snajperami, skaczącymi z helikopterów komandosami i pięknymi żołnierzkami.

– Mamy w kraju około 140 tys. żołnierzy zawodowych, w przybliżeniu 35 tys. żołnierzy terytorialnej służby wojskowej i około 20 tys. osób w trakcie dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej, czyli DZSW – wylicza major. – Reszta to słuchacze szkół wojskowych i żołnierze aktywnej rezerwy...

– Ochotników wam nie brakuje? Wojna w Ukrainie ma na to jakiś wpływ?

– Wojna nie tylko nie odstrasza, ale jest motorem do pozyskania ludzi z pożądanymi motywacjami: bronić swojej małej ojczyzny, bronić osiedla, rodziny... Zainteresowanie służbą określiłbym jako duże. Po tym gdy w 2022 roku weszła w życie Ustawa o obronie ojczyzny, plan zakładał nabór 35 tys. osób rocznie. W 2023 roku armia przyjęła ponad 40 tys., w ubiegłym – 47. Bo my nie czekamy biernie na chętnych – prowadzimy aktywną promocję i niemal codziennie organizujemy spotkania z młodzieżą.

•
Idę na takie spotkanie w bydgoskim Zespole Szkół Katolickich przy ul. Nowodworskiej. Prowadzi je kapitan Bartłomiej Budnik, szef sekcji rekrutacji i kwalifikacji wojskowej WCR.

– Na początek proszę was o niekorzystanie z telefonów – zaczyna. – Jesteście, jak słyszałem od księdza dyrektora, uczniami liceum, a więc osobami, które mają jeszcze czas do namysłu: co robić dalej w życiu. Boga, honor i ojczyznę wszyscy mamy w sercach – kapitan bije się w pierś – więc o tym rozmawiać nie musimy. Rozmawiajmy o sprawach praktycznych. Jakie macie plany na studia?

Uczniowie reagują nieśmiało, najpierw dłuższa cisza, po niej pojedyncze głosy. „Myślę o fizjoterapii”, „Chciałbym zostać chirurgiem”, „Interesuję się programowaniem”.

Kapitan: – No i świetnie! A wiecie, że oprócz cywilnego rynku uczelni jest jeszcze rynek wojskowy? Wojsko ma wyższe szkoły techniczne, wydziały medyczne i nie tylko. Może ktoś by chciał od razu po maturze przystąpić do służby? Widzicie przecież, co się dzieje w Ukrainie...

– Straszenie Ukrainą było słabe – mówi mi po spotkaniu Patryk z trzeciej klasy. – Putin nigdy Polski nie zaatakuję. U nas nie ma mniejszości rosyjskiej, nie byliśmy ruską republiką, mamy gwarancje NATO. Byłem z rodzicami we Lwowie i w Krzemieńcu. Bieda, bałagan, brudno w ubikacjach. I nawet takiego słabego kraju Rosja nie może pokonać. Od trzech lat front stoi w miejscu. Tym bardziej nie podskoczą do NATO.

– Ja nie mam nic przeciw wojsku, ale tam idą ludzie, którzy na pewno nie są geniuszami – mówi ko-



Uczeń klasy mundurowej: Większość ludzi to owce. My chcemy być wilkami

lega Patryka. W tym roku będzie pisał maturę, ma starsze rodzeństwo.

– Znam przez brata dwóch takich, Mateusza i Jacka. Jeden w ogóle nie mógł skończyć szkoły, drugi skończył ledwo. Obaj jeździli zrywać we Francji winogrona, Mateusz próbował się dostać na platformę wiertniczą, ale go nie przyjęli, bo po angielsku – nic. Jacek stał na ochronie w Biedronce. Obaj są teraz w armii.

– Syn prawnika, lekarza czy nauczyciela wojskowym nie zostanie, a tym bardziej córka – uważa czarnowłosa Urszula z drugiej klasy. – Wiadomo, że rodzice za Boga nie odpuszczają, aż dziecko się nie dostanie przynajmniej na uniwersytet w Poznaniu albo Gdańsku, ostatecznie w Toruniu. U mnie żadna szkoła wojskowa nie wchodzi w rachubę.

– A ja się zainteresowałem – Antoni jest właśnie dzieckiem adwokata. – Nawet sobie od razu zgooglowałem, że na Akademii Sztuki Wojennej jest prawo i nie żadne wojskowe, tylko najnormalniejsze. Można potem robić każdą aplikację. Muszę sprawdzić, od ilu punktów przyjmowali rok temu, bo czuję, że tam może być łatwiej. Do tego studia w Warszawie, dodatkowy bonus. Większe kancelarie i lepsze zarobki.

•
– Wojsko Polskie to nowoczesna firma – kapitan Budnik kontynuuje prelekcję. – Potrzebujemy młodych, zdolnych, kreatywnych ludzi. Korzystacie chyba wszyscy z internetu?

Pomruk potwierdzenia.

– Wasi wrogowie również korzystają. Wiecie, czym jest internet rzeczy, prawda? To urządzenia, które łączą się z siecią. Brama garażowa, piec grzewczy, pralka, samochód... Jeśli ktoś będzie chciał waszej krzywdy, może unieruchomić wasze auto zdalnie, nawet w trakcie jazdy. Można to już zrobić. Można unieruchomić kolejowe stacje rozrządowe. Spowodować chaos...

– Aby uniemożliwić wrogowi taki atak na nas, musimy mieć wojska obrony cyberprzestrzeni, WOC. Najlepszych informatyków, dla których bronią nie jest karabin, tylko klawiatura. Interesujesz się programowaniem? WOC czeka właśnie na ciebie. Dalsza sprawa: jak wiecie, nie ma na świecie sklepów z armatami, czołgami albo dronami. To trzeba zaprojektować i wyprodukować, napisać oprogramowanie. Nie musicie nosić od razu munduru. Możecie pracować w firmie realizującej zlecenia dla wojska. Słyszeliście o tureckich dronach Bayraktar?

Większość uczniów słyszała.

– Bayraktar znajduje się również na wyposażeniu Wojska Polskiego. Używamy też dronów robionych przez polskie firmy – kapitan uruchamia rzutnik. Na ściennym ekranie widać łąkę, las i dwóch żołnierzy składających, a potem wypuszczających w niebo drona Fly Eye, dzieło polskiej firmy Flytronic. Bezzałogowiec leci, fotografuje, co trzeba, dostarcza w wyznaczone miejsce jakiś niewielki ładunek na minispadochronie, po czym wraca, skąd wystartował.

Kpt. Budnik: – Następne konstrukcja autorstwa polskich inżynierów to także wielki sukces: przed wami 155-milimetrowa armatohaubica Krab.

Kapitan prezentuje nowy film: pancerny pojazd z długą lufą zasuwa po bałtyckiej plaży i strzela. W tle słychać rap wychwalający nowoczesną broń do melodii „Way of The Warrior” Fifty Vinca.

Młodzi oglądają z zainteresowaniem. Podobnie jak kolejne filmy prezentujące transporter opancerzony Rosomak i moździerz samobieżny Rak.

Kpt. Budnik: – O tych moździerzach mówi się „pędząca śmierć”, ponieważ są w stanie wystrzelić dziewięć 120-milimetrowych pocisków w trakcie 30 sekund. Cała ta nowoczesna technika wojskowa potrzebuje wykształconych ludzi, takich jak wy, bo chcemy projektować i tworzyć coraz sprawniejszą broń. Gracie w gry strategiczne? Budujecie bazy? Gromadzicie wojska? Niszczycie przeciwnika? To popatrzcie na to...



EM ZNUREM

• Oddział
Przygotowa-
nia Wojskowe-
go, czyli klasa
mundurowa,
z prywatnego
bydgoskiego
Akademickie-
go Liceum
Ogólno-
kształcącego
na strzelnicy.
(18.03.2025)

FOT. MICHAŁ RYŃIAK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Kolejny film przedstawia pojazd minowania narzutowego Baobab. Gruntową drogą przez poligon jedzie ciężarówka dźwigająca na długiej pacy sześć kwadratowych bloków, każdy z dwudziestoma kasetami po pięć min w kasecie. Żołnierz w szoferce dusi przycisk i przeciwpancerne miny wyskakują w powietrze, spadając na oba pobocza w odpowiednich odstępach.

– Nie wybuchają przy tym? – pyta któryś z uczniów.

Kpt. Budnik: – Są programowalne, uzbroją się dopiero po ustalonym czasie. Mają także mechanizm samolikwidacji.

– Czy Polska nie podpisała przypadkiem traktatu o nieużywaniu min? – pyta inny uczeń.

Kapitan: – Zależy jakich. Jesteśmy stroną traktatu ottawskiego, który zakazuje używania min przeciwpiechotnych. Baobab jest przeznaczony do stawiania zapór przeciw pojazdom pancernym. Są jednak, jak wiemy, państwa, które mają traktaty gdzieś. Na wojnie nie ma, niestety, czegoś takiego jak humanitarne zabijanie.

Po prelekcji o adres WCR dopytuje się jedna tyłko uczennica.

Gdy później na chodniku między szkołą a supermarketem Stokrotka żegnam uczniów, moich rozmówców, ciemnowłosa Urszula nie odchodzi z innymi, jakby chciała mi coś powiedzieć sam na sam.

– Jest jasne przykazanie: „Nie zabijaj!”, a katolicka szkoła wpuszcza akwizytorów wojskowych – mówi, gdy Patryk i reszta już się oddalili. – To jakaś schizofrenia. Chrystus nas uczył inaczej.

– Nadstaw drugi policzek?

– Na to stać nie każdego, nie każdy musi być święty. Ale nie trzeba przykładąć ręki do takiego przemysłu, który zatrudnia talenty, żeby doskonalić metody uśmiercania ludzi.

– Jaka jest droga dojścia do zawodowstwa w armii? – pytam majora Lewandowskiego.

– Zaczynamy od wypełnienia wniosku.

Otwieram czterostronicowy formularz. Na pierwszej stronie oświadczenie o obywatelstwie, na drugiej miejsce do wpisania danych szczegółowych: wzrost, waga, obwód klatki piersiowej, rozmiar obuwia itd. Na trzeciej stronie kandydat deklaruje m.in. preferowane miejsce odbywania służby, ewentualnie uczelnię wojskową, do której chciałby wstąpić, wreszcie „uprawnienia lub kwalifikacje, których nabyciem jest zainteresowany”. Owe umiejętności, w których uży-

Nie oddamy ani guzika i jeszcze nam za to zapłacą

215 tys. żołnierzy

• liczy polska armia. I jest trzecią najliczniejszą w Europie, po armii rosyjskiej (ponad milion) i ukraińskiej (około 600 tys.).

140 tys. noszących mundur

• to żołnierze zawodowi plus 35 tys. terytorialsów, ok. 20 tys. osób z dobrowolnej służby zasadniczej. Reszta to słuchacze szkół wojskowych oraz żołnierze aktywnej rezerwy

6 tys. zł brutto miesięcznie

• otrzymuje szeregowiec – jeszcze nie zawodowy – podczas szkolenia specjalistycznego po dobrowolnej służbie zasadniczej.

169 zł za każdy dzień

• na służbie dostaje szeregowiec terytorials. Sierżant – 201 zł, kapitan – 230 zł. Plus 600 zł miesięcznie za gotowość bojową.

60 lat włącznie

• może mieć ochotnik zgłaszający się do wojska.

ponad 550

• Oddziałów Przygotowania Wojskowego, czyli klas mundurowych, działa w Polsce.

17 proc. rodaków

• obu płci zadeklarowało „aktywny udział w operacjach militarnych” w marcu 2022 r., miesiąc po ataku Rosji na Ukrainę. W kwietniu 2024 – to było już 11 proc.

47 tys. ochotników

• przyjęła polska armia w 2024 r. W 2023 – ponad 40 tys. Plan zakładał, że to będzie 35 tys. rocznie.

skaniu armia może pomóc, wymienia ostatnia strona: kierowca ciężarówki, operator maszyn i dźwigów, spawacz, kucharz, skoczek spadochronowy, nurek... To oferta skierowana do absolwentów szkół średnich. Magistrom – szczególnie po medycynie, informatyce, prawie, rachunkowości, lingwistyce – proponuje się od razu kursy oficerskie na uczelniach wojskowych.

– Gdy w trakcie rozmowy pytamy o motyw, które sprowadziły do nas kandydata, często słyszymy: „bawilem się żołnierzami” albo „ojciec dobrze wspominał swoją służbę w wojsku” – mówi dalej major. – To wcale nie są banalne motywacje. Znać, że ziarenko wojskowości zostało zasiane.

– Motywem bywa też fakt, że dana osoba, celowo nie mówię mężczyzna, bo mamy w armii kilkanaście procent kobiet żołnierzy, nie odnajduje się dobrze na cywilnym rynku – dodaje podpułkownik Andrzej Nieradko, szef bydgoskiego WCR.

– Taki ktoś po kolejnej zawodowej porażce nagle wpada na pomysł: „A może by tak do wojska?”. Niestety, osoby, które się zgłaszają w efekcie negatywnej selekcji, najczęściej odpadają już na DZSW. Ocenilibym, że spośród tych, którzy przychodzą z braku lepszego pomysłu na życie, zawodowym żołnierzem zostaje co dziesiąty.

– Podczas dalszej części rozmowy pytamy kandydata o hobby – kontynuuje mjr Lewandowski. – Jakie masz zainteresowania? Czego poszukujesz? Lubisz górskie wycieczki? To może jednostki podhalańskie? Chyba że wolisz morze...

– Wtedy do marynarki.

– Oczywiście nie od razu na okręt. Pierwszym etapem jest szkolenie podstawowe w ramach DZSW lub służby terytorialnej – tam wpajamy podstawy rzemiosła. Obsługa broni, strzelanie, rzut granatem, musztra, regulaminy, ratownictwo na polu walki... DZSW trwa 27 dni. Ochotnicy są skoszarowani, dostają wyżywienie, umundurowanie i prawie 6 tys. zł uposażenia. W ostatnim dniu jest przysięga, wręczenie książeczki wojskowej i na tym może być koniec, jeżeli kandydat nie widzi przyszłości w mundurze. Ojczyzna i tak już zyskała osobę, która potrafi się posłużyć bronią, gdy przyjdzie co do czego.

– Natomiast jeśli ochotnik chce kontynuować...

– ...to zapraszamy na szkolenie specjalistyczne...

– ...po którym zostaje się nurkiem, kierowcą, kucharzem albo spadochroniarzem?

– Dokładnie. Czas szkolenia: do 11 miesięcy. Służba jest wówczas pełniona na warunkach zbliżonych do tych, jakie mają żołnierze zawodowi. Człowiek się stawia do służby w wyznaczonych godzinach – może być osiem lub dziesięć w zależności od zadań realizowanych przez daną jednostkę, ale może być też dyżur całodobowy. Szkoleni mogą mieszkać zarówno w koszarach, jak i we własnych, lub wynajętych mieszkaniach – co komu bardziej pasuje.

– Jakie jest wynagrodzenie?

– 6 tys. brutto w przypadku najniższej szarży.

– A jak ktoś awansuje?

– Uposażenie kapitana to prawie 9 tys., generała – 20. Do tego dochodzą dodatki: motywacyjny, kompensacyjny za służbę daleko od domu, na zagospodarowanie, za wysługę lat... Plus nagrody i zapomogi.

Po 11-miesięcznym szkoleniu lub w jego trakcie żołnierz może przejść do służby zawodowej. W wojskach lądowych, wojskach specjalnych, siłach powietrznych, marynarce wojennej lub wojskach obrony terytorialnej.

– W WOT służy się tylko w weekendy?

Mjr Lewandowski: – My to nazywamy służbą rotacyjną. Jeden weekend w miesiącu plus wyznaczone raz do roku dwa tygodnie szkolenia.

– Ile się wtedy zarabia?

– Szeregowy 169 zł za każdy dzień służby, sierżant – 201 zł, kapitan – 230 zł. Do tego około 600 zł miesięcznie za gotowość bojową. To nie są duże pieniądze, ale przecież terytorials mają prace w cywilu; służba raz w miesiącu to alternatywa dla spędzenia weekendu przed telewizorem.

– Kto się zgłasza do armii?

Podpułkownik Nieradko: – Mamy wśród ochotników zarówno taksówkarzy, jak i nauczycieli biologii. Także panie, które wcześniej pracowały na kasach w dyskontach. Przyjmujemy osoby do 60 lat włącznie i nieraz nam się zdarzają ludzie po pięćdziesiątce. Przeważają jednak młodzi mężczyźni tuż po szkołach średnich. Tym z maturą oferujemy akademie wojskowe albo skorzystanie z programu stypendialnego MON dla studentów chcących zostać oficerami. Program kierujemy do słuchaczy wszystkich uczel-

ni cywilnych. Wysokość wypłacanego co miesiąc stypendium jest ustalona na 50 proc. uposażenia zasadniczego żołnierza DZSW.

– Czyli student dostanie od ministerstwa około 3 tys.

– Z tym że jednym z warunków uzyskania stypendium jest zobowiązanie do odbycia zawodowej służby wojskowej po zakończeniu studiów przez okres nie krótszy niż pięć lat. Inaczej stypendium trzeba zwrócić.

– Jak oceniacie stan psychofizyczny tych, co się zgłaszają?

Major Lewandowski: – Ze sprawnością fizyczną nie jest najgorzej. Badania lekarskie robimy na miejscu i w znakomitej większości przypadków doktor orzeka o zdolności do czynnej służby wojskowej. W pracowni psychologicznej odsetek negatywnych orzeczeń jest większy, ale cóż... musimy wykrywać i eliminować ludzi, którzy potencjalnie – w sytuacji bojowej – mogliby stwarzać problemy sobie i innym żołnierzom.

– Jakie oczekiwania mają kandydaci?

– Zazwyczaj liczą na służbę blisko miejsca zamieszkania. W naszym przypadku pytają, co wojsko może zaoferować w woj. kujawsko-pomorskim. Tak się szczęśliwie składa, że wiele. W garnizonach w Bydgoszczy, Toruniu, Grudziądzu czy Brodnicy można zostać artylerzystą, logistyką, saperem, chemikiem...

Podpułkownik Nieradko: – Jest także duża grupa, rzekłbym, entuzjastów. Dla nich służba na drugim końcu kraju nie jest żadnym problemem – byle spełnić marzenia o zostaniu marynarzem, lotnikiem czy snajperem.

Entuzjastyczną gromadę znajduję w klasie mundurowej prywatnego Akademickiego Liceum Ogólnokształcącego (ALO) przy ulicy Fordońskiej, wciąż w Bydgoszczy. Jej patronem jest sierżant 10. Dywizji Górskiej US Army Michael Harold Ollis. Zginął 28 sierpnia 2013 r. w afgańskim Ghazni, osłaniając własnym ciałem polskiego porucznika Karola Cierpię. Dziś jego wielki portret zdobi główny korytarz.

Na szkolnym dziedzińcu widzę grupę chłopców w polowych mundurach i hełmach. Cienkie kominiarki khaki, nauszники ochronne, okulary balistyczne, noktowizory. W dłoniach repliki NATO-wskich karabinów maszynowych, które różnią się od oryginałów tylko tym, że nie można z nich strzelać ostrą amunicją. Waga, rozmiar i odrzut przy strzale – takie same jak w przypadku ostrej broni.

Chłopcy z ALO ćwiczą właśnie ewakuację rannego z pola walki. Jeden z uczniów leży na szkolnym podjeździe, drugi go opatruje, zakładając izraelską opaskę uciskową. Reszta ostrzeliwuje cztery strony świata. Gdy ranny jest opatrzony, koledzy okrywają go narzutą termiczną i jednocześnie podkładają pod plecy coś na kształt karimaty. To zwijane w rulon nosze ewakuacyjne typu Foxtrot, które po rozwinięciu stytynięją. Zza płotu przyglądają się akcji przechodnie.

Tylko na Kujawach jest 28 klas mundurowych zwanych fachowo Oddziałami Przygotowania Wojskowego. W całym kraju – przeszło 550. Ministerstwo Obrony Narodowej łoży na te klasy ponad 30 mln rocznie. Tomasz Krajewski, dyrektor bydgoskich OPW – jest ich w mieście kilka – tłumaczy mi, o co chodzi:

– To są normalne klasy realizujące program liceum ogólnego plus dodatkowe sześć godzin wojskowości w tygodniu. I język francuski obok angielskiego, bo to są języki NATO. I fakultatywnie cztery godziny judo. I jeszcze osiem obozów szkoleniowych w roku. Na obozach ćwiczymy skoki spadochronowe, chodzenie po górach na nartach, żeglowanie. Raz w miesiącu strzelnica, prócz niej mamy w szkole jeszcze trenażer strzelecki. Generalnie celem OPW jest przygotowanie narybku dla akademii wojskowych.

„Mundurówki” zdają oczywiście taką samą maturę jak inni, zatem abiturient zostać żołnierzem nie musi. Większość jednak chce.

– Będę oficerem lub śmierć – mówi z zapalem Bruno, drobnej budowy uczeń OPW, który za chwilę będzie ćwiczył musztrę z repliką karabinu, jakie noszą żołnierze kompanii reprezentacyjnych WP.

– Większość z nas chce zostać zawodowym wojskowym – Wiktor, kolega Bruna, już wygląda w mundurze, jak żołnierz. Wyprostowana sylwetka, szeroka pierś, w kaburze przy pasie kopia pistoletu Glock. – Jest tylko kilka osób, które przyszły do mundurowej pod presją rodziców. Z nimi nie wiadomo, jak będzie.

– A z wami wiadomo?

Wiktor: – Celuję w GROM lub Formozę, mój program minimum to jednostka komandosów w Lubliń-



• **Klasa mundurowa z ALO w Bydgoszczy. Ćwiczenia z ewakuacji rannego z pola walki (18.03.2025 r.)**

FOT. MICHAŁ RYŃIAK /
AGENCJA
WYBORCZA.PL

cu. Nie będzie lekko, bo tam wszędzie po 40 kandydatów na miejsce. Ale trenuję, ćwiczę psychikę, interesuję się nowinami z dziedziny wojskowości.

– Ja oprócz zajęć OPW chodzę jeszcze na boks – wtrąca Bruno. – I też chciałbym zostać specjalsem. Wystarczy chyba zobaczyć, jak oni wyglądają... Poza tym zarabiają większe pieniądze niż zielone wojsko i mają większą szansę wyjechać na misję.

Obecnie Wojsko Polskie uczestniczy w misjach m.in. w Kosowie, Bośni i Hercegowinie, Libanie i Iraku.

Prócz dyrektora Krajewskiego młodzieżą z OPW przy Fordońskiej opiekuje się emerytowany komandos z Lublińca, sierżant Sławomir Rutkowski.

– Jak pan ocenia narybek?

– Na razie plastelina. Znać po nich, że w podstawówce do wuefu się nie przykładali. Widzę dwóch, może trzech, z których dałoby się zrobić żołnierza sił specjalnych.

– Bo są dobrzy z wuefu?

– To też, ale co ważniejsze, mają dobrze w głowach, a to daje im szansę na przejście testów psychicznych.

– One są bardzo trudne?

– Większość na nich odpada. Nie chcemy młodych narwańców, fanatyków strzelania, pościgów i wybu-

Bruno z klasy mundurowej:

Chciałbym zostać specjalsem. Wystarczy chyba zobaczyć, jak oni wyglądają... Poza tym zarabiają większe pieniądze, niż zielone wojsko i mają większą szansę wyjechać na misję

chów. Szukamy ludzi spokojnych, odpowiedzialnych, rodzinnych, bez skłonności do uzależnień. Świadomych własnych ograniczeń i tego, czego przyjdzie im bronić.

– Czyli patriotyzm.

– Nie ma nic lepszego.

– Jak wygląda rekrutacja do Jednostki Wojskowej Komandosów? Rzeczywiście jest 40 na miejsce?

– Bez przesady... można przyjść nawet z ulicy. Po testach fizycznych i psychicznych pięciodniowa selekcja w lesie. Tych, którzy przez to przejdą, zapraszamy na co najmniej pięciomiesięczny kurs JATA.

Jak czytamy na stronie WCR z Warszawy, „JATA to zaawansowane szkolenie, które przygotowuje kandydatów do wstąpienia w szeregi elitarnych jednostek specjalnych WP”. Program przewiduje między innymi: pokonywanie rzek wpław z obciążeniem, wspinaczkę skałkową, nocne marsze na azymut, skoki spadochronowe, szyfrowanie i komunikację radiową, walkę wręcz, walkę w pomieszczeniach zamkniętych, kurs ratownictwa pola walki.

– Ja się do tego kursu szykuję, odkąd skończyłem osiem lat – mówi Bruno. Wchodzimy razem do szkol-

nej auli, gdzie czeka już z prezentacją major Lewandowski. Słuchać go będą uczniowie mundurowi i pozostałe klasy. Na początek tradycyjna prośba o wyłączenie komórek.

Rekruter: – Przyjechałem do was, żeby powiedzieć, gdzie się macie udać po ukończeniu 18 lat. Adres: Szubińska 1. To wasza brama do wojska. Czy ktoś z was jest już po dobrowolnej zasadniczej służbie?

Zgłasza się jedna dziewczyna.

– Świetnie. Zachęcam kolejnych. Wniosek o powołanie do DZSW możecie złożyć przez internet. A służbę odbyć na przykład w trakcie wakacji. Alternatywą jest terytorialna służba wojskowa. Coś dla tych, którzy znajdują pracę w cywilu, ale chcą być związani z mundurem. Po dwóch latach TSW możecie płynnie przejść do służby zawodowej. I na koniec najlepsze: wojskowe akademie...

Major prezentuje szyldy czterech głównych uczelni: Akademii Wojsk Lądowych, Akademii Marynarki Wojennej, Wojskowej Akademii Technicznej i Lotniczej Akademii Wojskowej.

– Student podchorąży otrzymuje na początek nauki uposażenie zawodowego szeregowego, umundurowanie, zakwaterowanie, wyżywienie, zniżki na dojazd... A po studiach nie idzie szukać pracy, tylko czeka nań etat podporucznika. Ktoś już myślał o pójściu do akademii?

Kilkanaście rąk w górę. Dłonie podnoszą nie tylko uczniowie „mundurowi” i nie tylko chłopcy.

– Pamiętajcie, że na przygodę z wojskiem zawsze macie czas – mówi na koniec major. – Armia będzie czekać. Skończysz studia, zostaniesz psychologiem, nauczycielem albo urzędnikiem i praca cię znudzi? Zapraszamy na kilkumiesięczny kurs oficerski i gwarantujemy etat w jednostce wojskowej. A jak uznasz, że siły zbrojne nie są jednak dla ciebie – starczy kartka papieru. W każdej chwili istnieje możliwość wypowiedzenia służby. W Wojsku Polskim służą tylko ci, którzy chcą.

Po ćwiczeniach z musztry rozmawiam raz jeszcze z kolegami Wiktora i Bruna. Ich zdaniem w razie wojny „pogonimy kacapów”. Sojusznicy pomogą, a polskie siły zbrojne okryją się chwałą.

– Nie tracimy czasu. Zanim się zjawi pierwszy Ru-sek, będziemy gotowi na maksa.

Postawa uczniów „mundurówki” z ALO nie jest udziałem większości rodaków. Gdy miesiąc po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę sondażownia Maison & Partners zapytała Polaków, czy w razie wojny są gotowi walczyć, „aktywny udział w operacjach militarnych” zadeklarowało 17 proc. badanych obu płci. Kiedy dwa lata później – w kwietniu 2024 r. – o to samo spytała pracownia SW Research, gotowość wyruszenia na front zapowiedziało jedynie 14 proc. Polaków i Polek. Przeszło 20 proc. zadeklarowało, że w razie konfliktu wyjedzie za granicę.

Dla porównania: w rzekomo pacyfistycznych Niemczech wołę obrony kraju przed wrogiem w ubiegłorocznym badaniu Gallupa zadeklarował co czwarty dorosły respondent.

Uczeń „mundurówki”: – Większość ludzi to owce. My chcemy być wilkami. ●

*Imiona niektórych uczniów zmieniłem na ich prośbę

199 słów podejrzanych według Trumpa

Naukowcy i naukowczynie muszą teraz ostrożnie redagować wnioski o rządowe granty na badania. Większą szansę mają te, w których pojawi się zdanie: „Give me some fucking money” („Dajcie mi, kurwa, jakąś forszę”).



Michał Rusinek

Prezydent USA Donald Trump 21 stycznia 2025 roku podpisał dwa rozporządzenia. Pierwsze nosi nazwę „Obrona kobiet przed ekstremizmem ideologii gender i przywrócenie biologicznej prawdy w rządzie federalnym” (w skrócie: „Obrona kobiet”). Za jego pomocą zadekretował on istnienie wyłącznie dwóch płci (zwanych przez niektórych rodzimych polityków „puciami”) jako „niezmienialnych i zakorzenionych w fundamentalnej oraz bezdyskusyjnej rzeczywistości”.

Jest to ciekawa konstrukcja logiczna: po pierwsze, zakłada się, że istnieje jakaś rzeczywistość, której nie tylko samo istnienie, ale i struktura nie podlega dyskusji. Nie można się zatem o nią spierać i o niej rozmawiać. No chyba że się jest prezydentem, to można, a nawet trzeba ją ustanawiać za pomocą dekretu – a więc swego rodzaju ostatecznego głosu w dyskusji. Na mocy tego głosu staje się ona bezdyskusyjna.

Po drugie, nazwa rozporządzenia jest isticie Orwellowska, więc nie tylko ma charakter językowy, ale wręcz literacki. Na ścianach gmachu Ministerstwa Prawdy (zajmującego się propagandą, czyli nieprawdą) znajdowały się napisy: „Wojna to pokój”, „Wolność to niewola” i „Ignorancja to siła”. W języku takich polityków, jak Trump, obrona będzie de facto deklaracją ataku. W tym przypadku – na osoby niebinarne, które – na mocy prezydenckiego dekretu – mają po prostu zniknąć.

Tego samego dnia Trump podpisał też rozporządzenie: o wstrzymaniu programów DEI prowadzonych przez agencje federalne. DEI to skrót od słów: „diversity”, „equity”, „inclusion”, czyli „różnorodność”, „równość” i „włączanie”, czyli inkluzywność. Programy te miały przeciwdziałać nierównościom, z jakimi borykają się kobiety, osoby LGBTQ+, osoby z niepełnosprawnościami, Afroamerykanie i mniejszości etniczne w USA. Republikanie od dawna są przeciwnikami programów DEI twierdząc, że dyskryminują białych mężczyzn, więc Trump spełnił obietnicę złożoną wyborcom.

Oba rozporządzenia już mają konsekwencje językowe. Oto bowiem w kraju, który jawił się za-

wsze jako ostoja demokracji, de facto wprowadzona zostaje cenzura. Z dokumentów rządowych zniknąć muszą treści, które „wpajają lub promują ideologię gender”, a agencyjne formularze muszą zostać tak zmienione, by można w nich było podawać tylko pięć biologiczną, a nie tę, z którą się utożsamiamy.

Pracownicy rządowej Narodowej Fundacji Nauki (NSF), finansującej wiele projektów badawczych, mają teraz pełne ręce roboty. Muszą sprawdzać, czy w projektach nie pojawiają się podejrzane słowa z punktu widzenia owych rozporządzeń.

Na liście słów podejrzanych są „uprzedzenia”, „mowa nienawiści”, „mniejszość”, „polaryzacja”, „różnice kulturowe”, „segregacja”, „ofiary”, „niepełnosprawność”, „różnorodność”, „inkluzywność”, „dostępność”, „trauma”, a także „kobieta”. Jeśli opis jakiegos projektu badawczego zawiera te słowa, grozi mu odebranie grantu.

Słów podejrzanych jest obecnie – według „New York Timesa” – 199.

Za poprzedniej kadencji Trumpa było ich siedem: „wrażliwy”, „uprawnienie”, „różnorodność”, „transpłciowość”, „płód”, „oparty na dowodach” i „poparty naukowo” – nie wolno było ich używać w oficjalnych dokumentach np. rządowych Centrów Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC).

Widać spory progres w dziedzinie cenzury i należy docenić pracowitość administracji w tej materii. Usuwanie słów opisujących jakieś sfery rzeczywistości społecznej ma spowodować, że te sfery znikną. Czeką nas świat jednorodny, binarny, patriarchalny, pozbawiony wrażliwości i oparty na uprzedzeniach oraz nieufności wobec rozumu. To raczej regres, więc nie ma się z czego cieszyć.

Naukowcy i naukowczynie, którzy starają się teraz o rządowe granty na badania, muszą bardzo ostrożnie redagować wnioski składane do NSF. Timothy Noah na łamach „The New Republic” zauważa, że większą szansę na grant mają te wnioski, w których pojawi się zdanie: „Give me some fucking money” („Dajcie mi, kurwa, jakąś forszę”) niż te, w których napiszemy, że potrzebujemy środki na „badanie traumy doświadczanej przez zagrożone mniejszości”.

Nie można już także starać się o grant na badania zmian klimatycznych czy katastrofy klimatycznej – bo na mocy prezydenckiego rozporządzenia przestały one istnieć. Nie istnieją już także w programach szkolnych, więc amerykańskie dzieci będą się wychowywały bez stresu i zamartwiania się o przyszłość. Ależ sukces!

Tu ktoś mógłby zauważyć, że demokraci też stosowali cenzurę, nazywaną przez prawnicę z pogardą i oburzeniem „polityczną poprawnością”. Zakazano bowiem określenia „illegal alien” jako dehumanizującego (nikt nie jest nielegalny) i zastąpiono sformulowaniem „undocumented immigrant”, czyli „imigrant bez dokumentów”.

Wprowadzono też zasadę, by słowo „tribal” („plemienny”) – w kontekście rdzennych Amerykanów – pisać wielką literą. Administracja Bidena sugerowała też – właśnie: sugerowała, a nie narzucała, bo była to inna liga cenzorów; można by rzec, że cenzorska amatorszczyzna – by posługiwać się określeniem „osoba w ciąży” („pregnant person”), co było ukłonem w kierunku społeczności osób trans.

Obecna nie tylko zakazuje tego określenia, ale także usuwa litery „T” i „Q” ze skrótu LGBTQ: na stronie internetowej Stonewall National Monument w Nowym Jorku jest już informacja, że to miejsce poświęcone upamiętnieniu walki o prawa osób LGB. Nie trudno coś usunąć, gorzej jeśli trzeba znaleźć zamiennik. Logiczny byłby powrót do „kobiety w ciąży”, ale co zrobić, jeśli „kobieta” znajduje się na liście słów zakazanych? Tu ujawnia się wyższość polszczyzny nad angielszczyzną, bo my przecież możemy mówić o „obywatelce w ciąży”. Ale może nie podpowiadajmy niczego rodzinnym czcicielom Trumpa.

Administrację Bidena i Trumpa łączy negatywny stosunek do słowa „prostyutka”. Bidenowcy proponowali posługiwanie się słowem „sex worker”, czyli osoba świadcząca usługi seksualne. Trumpiści – co ciekawe – zakazali używania określenia „commercial sex worker”, z czego może wynikać, że nie mają nic przeciwko samym usługom seksualnym, ale protestują przeciwko konieczności płacenia za nie. Ponieważ zakazane jest na wszelki wypadek także słowo „seks”, pozostają im określenia archaiczne lub wulgarne; wciąż czekamy na bezpieczny synonim. Szczególnie niecierpliwie czekają nań zapewne socjologowie i socjolożki, którzy aplikują o rządowe granty na badania poświęcone temu zawodowi.

Noah zauważa, że zakazane zostały takie słowa jak „równość” i „nierówność”. I nieśmiało przypomina Donaldowi Trumpowi, że zarówno w deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych, jak i w przemowie gettysburskiej Abrahama Lincolna pojawia się sformułowanie, że „wszyscy ludzie stworzeni są równymi”.

W konstytucji Stanów Zjednoczonych „równość” wymieniona jest siedem razy. Czy to oznacza, że Trump umieścić trzy najważniejsze dla amerykańskiej demokracji dokumenty na liście tekstów zakazanych? Brzmi to nieprawdopodobnie, ale każdy dzień przynosi jakieś wydarzenia i decyzje, które jeszcze niedawno wydawały się nam nieprawdopodobne. A minęły dopiero dwa miesiące od zaprzysiężenia Donalda Trumpa i takich dni, jak 21 stycznia, kiedy to w Orwellowskim stylu zaczęto opisywać cały świat na nowo, może być jeszcze bardzo wiele. ●

Syrena podana na talerzu

Szarpany wątpliwościami, postanowiłem zaaplikować sobie zmianę języka – odwrót od polityki i zwrot w stronę sztuki naszego czasu, do której tracimy zaufanie, bo udziela lekcji powolnej, choć głębszej.

Jarosław Mikołajewski

Kiedy świat i życie stawiają pytania, łatwo jest pozostawiać je bez odpowiedzi. Postawa Pytii, która karmi się otwartymi kwestiami nie odpowiadając w ogóle lub tak, żeby nikt nie mógł zrozumieć, buduje autorytet medialny, lecz nie pomaga spełniać zadania, które dla wypowiadających się publicznie poeta Mario Luzi określił: „czytać księgę dla mniej od nas wprawnych”.

Jedno z pierwszych i najbardziej dramatycznych pytań, jakie dopadły mnie w minionym tygodniu, dotyczy ukraińskich jeńców wojennych, na których „prawdopodobnie” Rosjanie dokonali egzekucji. A brzmiało ono: dlaczego nie pokazuje się fotografii ofiar? Dlaczego, jak to określono, mediom nie było „wolno”? Dlaczego ostatnim słowem, jakie rozstrzelanym pozostawiono dla świata, miałyby być mydlana przesłona, która przepuszcza czarne bałwanki sylwetek, lecz kryje szczegóły?

Czy nie byłoby sprawiedliwe udzielić ofiarom głosu i pokazać zmasakrowane ciała, zawstydzające przecież nie martwych żołnierzy, lecz Putina, którego prawdziwie „drastyczna” twarz nie znikła z monitorów? Czy nie zasługuje nasza stepiona wyobraźnia i prezydent Trump na prawdziwy obraz wojny? Czy nie zasługują na wizerunek tragedii Rosjanie?

Pytam poważnie i, jak sami widzicie, niektóre z odpowiedzi muszą mieć charakter kolejnych pytań w całym ich długim, nie wiadomo dokąd prowadzącym łańcuchu.

Następne: dlaczego tyłu z nas („my, naród...”) zamierza głosować na Mentzena i Konfederację, jeśli nie brak intuicji, lecz także dowodów na ich ksenofobię, w tym antysemityzm, czyli wrogość wobec najważniejszych wartości?

Czy dlatego, że człowiek ten holduje korporacyjnej modzie i szast-prast rozstrzyga wątpliwości z łatwością, z jaką genialne dzieci znajomych układają kostkę Rubika? Jest trudno – proszę, od teraz będzie łatwo. Wystarczy zrobić kilka rzeczy, za które będziemy się wstydzić dopiero za kilka lat, a wtedy kto wie, może już zje nas nowotwór i nie będziemy musieli się tym zajmować... „Suwerenność, silna armia, szczerne granice, silna gospodarka...” To wszystko czytamy w programie Mentzena.

Czy którykolwiek z kandydatów postuluje coś innego? Czy znajdziemy w którymś programie „Niesuwerenność, słabą armię, dziurawe granice, słabą gospodarkę...”? Czy zwolennicy Mentze-

na biorą pod uwagę to, że sam nie wyklucza własnego cynizmu?...

Idąc dalej: dlaczego wciąż tak wielu zwolenników mają PiS i Nawrocki? Czy przykłady nieuczciwości i głupoty rozwiązań minionego rządu, uobecniającego się wciąż w nowych aparycjach, nie odstrasząją? Czy nasze życie ma toczyć się przy wtórze czarno-białych kazań o historycznej wielkości polskiego narodu, jak gdyby świat nie był różnorodny i nie tylko polski?... Czy jesteśmy głupi? No przecież nie. Dlaczego więc?

Odpowiedzi należy szukać w skarbczykach doświadczeń: dlatego, że między dwoma skłóconymi swoją robotę skutecznie wykonuje ten trzeci. Diabeł. Podżegacz. Napuszczacz jednych na drugich. Innego powodu nie ma.

Kto jest tym podżegaczem? Nie tylko Rosjanie ze swoim wywiadowczym aparatem. Także, jak zawsze, rdzenni frustraci, czyli ci, którzy uważają, że im samym się nie udaje, bo inni umówili się, że nie będzie im się udawało. Ci członkowie naszej „wspólnoty”, którzy nie potrafią patrzeć na innych z życzliwością, lub choćby bezstronnie. Są wszędzie: w nauce, w sztuce, w dziennikarstwie, polityce. Biedni, niespełnieni lub nie dość spełnieni, trawieni poczuciem niedocenienia, czy pominięcia, w końcu nienawiścią, której przyczyn sami nie rozumieją.

Szarpany wątpliwościami, postanowiłem zaaplikować sobie zmianę języka – odwrót od polityki i zwrot w stronę sztuki naszego czasu, do której tracimy zaufanie, bo udziela lekcji powolnej, nierządno sztucznej (jak przystało na sztukę), choć głębszej.

Dzień po dniu, widziałem dwa włoskie filmy: „Diamenty” Ferrazana Ozpetka i „Bogini Partenope” Paolo Sorrentino. Wkraczają one w naszą płaską rzeczywistość z beczelnym pięknem takich wartości europejskich, szczególnie śródziemnomorskich, jak wspólnota doświadczeń, kobieca solidarność, wolność życia i tworzenia, autorski stosunek do tradycji, prawo do intelektualnego kwestionowania podstaw cywilizacji, do operowania trudnym symbolem zamiast publicystycznym (tak!) skrótem. Pokazując, że rozum nie jest jedynym instrumentem rozpoznawania rzeczywistości. Że w równym stopniu lub lepiej może nim być zmysłowa fantazja.

Oglądając neapolitański film Sorrentina nie mogłem otrząsnąć się z porównania naszego czasu i bohaterów do tych z powieści „Skóra” Curzia Malapartego poświęconej wyzwoleniu Neapolu po II wojnie, gdzie dobrzy czy zli (to nieważne) Amerykanie patrzą na Europę i nic nie rozumieją z jej piękna i monstrualności, natomiast zakup Grenlandii wydałby im się zapewne rzeczą stosowną, a wręcz apetyczną. Jak podana na talerzu syrena. ●



WYBORCY CZTERDZIESTOLATKA

Elektorat Mentzena to są coraz częściej ciężko pracujący ludzie w średnim wieku.

Z **PROF. RADOŚLAWEM MARKOWSKIM**,
SOCJOLOGIEM I POLITOLOGIEM
ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

AGNIESZKA KUBLIK: Panie profesorze, co z tą demokracją? Przestała być modna?

PROF. RADOŚLAW MARKOWSKI: – Nie. Poważne badania pokazują, że nie. Piśmiemy o tym w książce „How Europeans View and Evaluate Democracy Revisited. Ten Years Later” wydanej kilka tygodni temu przez Oxford University Press. To było drugie badanie, w sumie na ponad stu tysiącach Europejczyków z trzydziestu krajów.

Czego się dowiedzieliście o demokracji i Europejczykach?

– Po pierwsze, że deklaratywnie nadal demokracja ma się dobrze. Liberalny model

demokracji jest modelem najbardziej przez Europejczyków oczekiwanym, ale nie jest to model jedyny, gdyż – mniejsza część obywateli, ale jednak – wspiera jej model redystrybucyjny, socjal-demokratyczny, bezpośredni czy nawet populistyczny, choć ten ostatni jest wspierany zaledwie przez kilka procent obywateli naszego kontynentu.

Po drugie, w niektórych krajach, głównie Europy wschodniej, ale nie w Polsce, tylko w Bułgarii, na Węgrzech, Litwie, Słowacji, część obywateli potrafi ze sobą łączyć poparcie dla demokracji z jednoczesnym przyzwalaniem na istnienie w ich kraju autorytarnego lidera, który może naginać lub łamać prawo by bronić interesów narodowych. To jest nowe zjawisko.

I generalnie rzecz biorąc, kiedy patrzymy na różne odmiany demokracji, to interakcja między demokracją, a jej alternatywami nie jest zero-jedynkowa. Wśród zwolenników AfD, wśród zwolenników różnych partii odsądzanych od czci ze względu na skrajności, większość chce równości wobec prawa, wolnych i uczciwych wyborów, tego żeby politycy byli rozliczani, żeby media dostarczały rzetelnej informacji.

Nasz mądry niemiecki kolega Chris Welzel już 10 lat temu zaproponował, że trzeba też badać fałszywe tropy i fałszywe opinie, czym demokracja jest. I np. w badaniach, które tu cytuję, pojawiły się takie wątki, czy ważne dla demokracji jest to, by ostatecznie autorytety religijne decydowały, co staje się prawem, albo czy obywatele mają być posłuszni wobec władzy. Okazuje się, że w niektórych krajach, niektóre elektoraty ewidentnie uważają to za demokratyczne rozwiązanie. Proszę zgadnąć, który elektorat w Polsce tak uważa...

Niedawno we właśnie kończącym się projekcie Horizon Europe robiliśmy eksperymenty, pod jakimi warunkami ludzie przyzwalają na odchodzenie od demokratycznych wartości. Większość Europejczyków chce obowiązywania demokratycznych zasad, ale kiedy ewidentnie demokratyczne zasady przeszkadzają im w realizacji partykularnego interesu ekonomicznego, albo jakiś tożsamościowych mrzonek, są skłonni je zawiesić.

Nie rezygnując przy tym z poglądu, że dobrze mieć demokrację, ale po prostu lepiej jest mieć i inne dobra, czy to materialne, czy duchowe. I wtedy warto, żeby jakiś tam

lider naruszył – by bronić naszych partykularnych, rolniczych, fundamentalistycznych-religijnych, czy jakichś innych etnicznych interesów – fundamenty demokracji.

Więc nie ma odejścia od demokracji. Ale pod pewnymi warunkami można z niej zrezygnować. Taka „demokracja a la carte...”

Czy zatem demokracja bez pewnych zasad jest nadal demokracją?

– Zasadniczo, jak się pytać, tak na chłodno, czy autorytarne rozwiązania są pożądane, to większość odpowiada oczywiście „nie”.

Kiedy pytamy, czy rządy wojskowych by były adekwatne dla danego kraju, to większość Europejczyków absolutnie się nie zgadza. Kiedy pytamy, czy charyzmatyczny, autorytarny lider by się przydał, to większość Europejczyków się nie zgadza. Ale jak już pytamy, czy rządy merytokracji i technokracji – a więc rządy ekspertów – by się przydały, to poparcie takiego ustroju jest niewiele mniejsze, niż demokracji, którą dzisiaj znamy.

Czyli autorytarny, czy charyzmatyczny lider i tęsknota za nim, pojawia się incydentalnie po to by zrealizować jakieś nasze interesy osobiste, czy grupowe. Wtedy często



• **Kandydat Konfederacji na prezydenta RP Sławomir Mentzen pomyka na spotkanie z mieszkańcami Węgrowa. Czy znów przemilczy „piątkę” a nawet „Szóstkę Menzena”? 19 marca 2025 r.**

FOT. RAFAŁ SZCZEPANKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

demokrację po prostu zawieszamy i realizujemy odmienny scenariusz wg odmiennych procedur. I właśnie taka konfigurację poznawcza odnotowujemy wśród większości elektoratów zyskujących na popularności partii radykalnej prawicy.

Ale zwracam uwagę, że zaczęliśmy w naukach politycznych dogłębnie analizować te zjawiska oraz zadawać powyższe pytania stosunkowo niedawno, więc nie wiemy, czy to jest coś nowego, czy też zawsze tak było.

Co to znaczy dla demokracji? Bo już nie tylko, że takie partie mogą się znaleźć u władzy. Ale i to, że dostają głosy od tych, którzy wartości tych partii nie popierają. Młodzi, wykształceni, bogaci głosują na partię Mentzena. Już nie z „piątką Mentzena”, a z szóstką, bo on jest przeciwko gejom, Żydom, aborcji, podatkom Unii Europejskiej, teraz Ukraincom.

– Polska scena polityczna w wymiarze ekonomiczno-redystrybucyjnym została zdominowana przez narrację populistyczną, jaką prezentował PiS. Pozostali mainstreamowi gracze polskiej sceny politycznej, le-

wica w inny sposób, też jest niesłuchanie redystrybucyjna, ma pomysły głównie na to, jak wydawać. Nie mówię, że to złe, ma dobre pomysły na niektóre sprawy, jak budownictwo, transport publiczny, czy godność i pozycja publiczna kobiet.

Dominuje narracja: podwyższać podatki, brać od tych, którzy ciężko pracują i rozdać tym, którzy jakoś tam sobie gorzej radzą, są poza rynkiem pracy, czy z jakiegoś powodu gorzej im się powodzi...a czasami – tak uważają – mają po prostu do czynienia z welferowymi cwaniakami żyjącymi z frajerstwa większości podatników.

No i ci, których pani widzi w elektoracie Mentzena, czy Konfederacji, to w coraz większym stopniu są ciężko pracującą ludźmi w średnim wieku, którzy uważają, że nie, dosyć tego,

nie chcemy wyższych podatków, nie chcemy płacić nie tylko na naszych, ale i na Ukrainców. Chcemy żeby to, co my wypracowujemy pozostawało bardziej w naszych kieszeniach, a ci, którzy na przyzbie siedzą i czekają aż listonosz coś przyniesie niech sobie radzą sami.

Platforma nie jest wcale w tej chwili liberalną ekonomicznie partią, ona też idzie w tym nurcie, nie tak radykalnie jak Lewica, czy PiS, ale też pomysły na klientelistyczne rozdawnictwo ich nie opuszczają.

Jedną ofertą na tym rynku, na którą warto zagłosować, żeby dać odpór takim tendencjom redystrybucyjnym w społeczeństwie jest Konfederacja.

Ponieważ do tej pory Konfederacja to była nieduża partia, nie mieliśmy możliwości jej badać. Teraz urosła, więc mamy bardziej rzetelne dane na jej temat. I wygląda na to, że tam jest wzrost wśród mężczyzn w średnim wieku, ale i kobiet, które są wokół nich, którzy tęsknią za większą normalnością w stosunkach między płciami...

... chyba nie normalnością a powrotem tego, co było, co wcale nie było normalne...

– ... nie, nie.

Oni nie zapędzają swoich kobiet do zlewozmywaka czy wyłącznie do rodzenia dzieci. Oni mają dość radykalnych odmiian feminizmu, takiego wojowniczego i dość bezrefleksyjnego.

Feminizm jest jednym z najistotniejszych zjawisk przywracających bazową sprawiedliwość społeczną, ale pojawiają się radykalne wersje, np. elementy ruchu, które popierają aborcje do ostatniego dnia ciąży czy odmiennie zjawisko ubierania się z strój strukturalnych ofiar uniwersalnie podłego macho. By była jasność, takie opinie i wezwania mają prawo być artykułowane, ale równie oczywiste jest, że część społeczeństwa ich nie akceptuje. Stąd część sukcesu Konfederacji.

Powiedział pan, że oni chcą powrotu do jakiejś normalności. Jakiej?

– Mężczyźni są pod podwójną presją, to samo pokazują amerykańskie badania.

Ciągłe częściowo żyjemy w społeczeństwie dość tradycyjnym, gdzie tym, który ma się zatroszczyć o dobro rodziny, jej utrzymanie, jest mężczyzna przede wszystkim. I ci mężczyźni dzisiaj 40, 50-letni, kiedy widzą robotyzację, widzą, że sztuczna inteligencja zagraża ich pracy, są pod podwójną presją.

Boją się czysto ekonomicznych konsekwencji utraty pracy i boją się reakcji socjokulturowej, że oto są nieudacznikami, którzy nie potrafią utrzymać rodziny. I niemal wszędzie w demokracjach ci ludzie są największym zasobem radykalnych, prawicowych partii. U nas, jak i w innych demokra-

cjach na świecie, np. w USA, co pokazały ostatnie wybory prezydenckie, napływ do Konfederacji bierze się poza ekonomicznymi redystrybucyjnymi czynnikami z poczucia niepewności kulturowo-obyczajowej.

O jakiej normie marzą?

– Normą jest tradycyjna rodzina mężczyzny i kobiety z dziećmi. Nie można wyciągać jednej cechy. To są zazwyczaj, 30-, 40-, 50-latkowie, którzy nie chcą być ulepieni przez złe pomyślane państwo dobrobytu, które bezrefleksyjnie rozdaje, przyczyniając się do utrwalenia mechanizmów klientelistycznych rozbudowanych w ośmioleciu 2015-2023.

Parę danych demograficznych, żeby zrozumieć sytuację. Dzisiaj w Europie ludzi w wieku 15-30 lat jest 16 proc. W roku 2040 będzie 14 proc. I tak jest od pewnego czasu, więc dzisiejsi 30-40 latkowie też są niezbyt liczna grupą. Ludzi w wieku dorosłym – 30-90 lat – jest 85 proc. W demokracji, dopóki jest zachowana reguła jeden człowiek-jeden głos, młodzi w sensie demokratycznych możliwości, mają niewiele do powiedzenia.

Na dodatek są bardziej bierni politycznie niż starsi.

– W porównawczych badaniach prowadzonych przez nas obecnie („Neo-autorytaryzm w Europie a liberalno-demokratyczna odpowiedź”), a także w przywoływanym badaniu ESS z 2021-22 roku wyszło, że młodzi są bardziej wycofani, rzadziej niż starsi uczestniczą nie tylko w wyborach (co jest demokratyczna niemal „normą”), ale i w różnych akcjach politycznych – bojkotach, demonstracjach, wysyłaniu petycji tylko niewiele różnią się od najstarszych.

Świat współczesnych demokracji zarządzany jest przez tych których demograficznie jest najwięcej – a więc ludzi najstarszych od 60 roku w górę oraz tych w wieku średnim. A oni zaczynają tęsknić za latami i światami minionymi. Więc współczesna sytuacja jest dla pokolenia najmłodszego dość dramatyczna – oni nie mają „potrzebnych liczb” by kreować świat według własnych preferencji – jest ich mało i na dodatek są apatyczni.

Być może ta apatia jest nową odmianą zjawiska nazywanego w PRLu „wyuczona bezradnością”, ale jakie nie byłyby przyczyny, pewne jest to, że młodzi zamiast liczyć na swoją siłę wyborczą, by kształtować swój świat powinni skupić się na socjotechnice przekonywania do swych wizji starszego pokolenia, bo bez niego niczego nie osiągną.

Jak trudne to zadanie widzieliśmy w sytuacji destrukcji demokratycznego porządku przez PiS w latach 2015-23. I z tej strukturalnej konfiguracji bierze się znaczna część frustracji młodego pokolenia tak w Polsce jak i w europejskich demokracjach.

Starsi głosują, żeby było tak, jak było? Czyli właśnie za tą nienormalną normą, do której tęsknią prawicowe ruchy?

– Jeśli ktoś chce rewolucyjnie teraz zmieniać świat na coś, co było w przeszłości, nie jest żadnym konserwatystą, tylko proponuje zmianę w kierunku czegoś, co przestało istnieć.

Zresztą ludzie starsi bardzo różnie głosują. Zbadaliśmy rzetelnie autorytaryzm, czyli przyzwolenie na to, żeby był lider autorytarny, który łamie prawo jeśli trzeba, żeby dzieci przede wszystkim uczyć posłuszeństwa wobec hierarchii i autorytetów oraz żeby obywatele przede wszystkim byli lojalni wobec rządzących. Te kluczowe cechy autorytaryzmu są najwyższe wśród najstarszych, a nie najmłodszych.

Najmłodszy są dosyć tolerancyjni wobec spraw socjokulturowych. Obraz jest więc bardzo złożony. W stosunku do demokracji, i poszczególnych elektoratów nie ma zero-jedynkowego obrazu.

Np. w polskich badania z 2024 r. cechy autorytarne są znacznie wyższe wśród elektoratu PiS, niż Konfederacji. My żyjemy trochę w medialno-publicznej narracji, że Konfederacja jest dużo większym zagrożeniem, niż PiS. Wielu obeznanych z zawilociami polityki obywateli znacznie bardziej obawia się powrotu do władzy PiS niż rządów Konfederacji, choćby ze względu na zakres, w jakim nasze dobro publiczne zostało złupione przez aparaczkę pisowskiego reżimu oraz licznych innych wskaźników bezprawia ich władzy.

Większym jest koalicja Konfederacji z PiS.

– Tak. Wracam do samej Konfederacji z tym wielkim pytaniem, na które nie mamy na razie odpowiedzi – co spowodowało ten wzrost z 8 proc. do kilkunastu? Czy to szaleństwo ksenofobiczno-antysemickie, reprezentowane przez Brauna i jemu podobnych, religijnego fundamentalizmu, nacjonalizmu podbija ich wynik?

Czy też ekonomicznie postulaty kontrolowanego budżetu, liberalnego ekonomicznego porządku, zaprzestania wszechobecnego rozdawnictwa? I nie chodzi o to, że – jak wykazują liczne ekonomiczne autorytety wiele z ich postulatów jest gospodarczo naiwna czy wręcz iluzoryczna. Chodzi o efekt wyborczy ich propozycji. Tym bardziej, że przecież sam prezydent ma niewiele w kwestiach gospodarczych do powiedzenia.

Czy ci wyborcy sobie z „szóstki Mentzena” wybierają jeden element, a reszta ich nie interesuje? Wybierają „jesteśmy przeciwko podatkom” a że ich partia jest i przeciwko „Żydom, gejom, aborcji, Unii Europejskiej, Ukraincom” nie ma dla nich znaczenia? Czy po prostu nie wiedzą, że to dostają w jednym pakiecie?

– Jak się patrzy na konkretnych ludzi, to powód, dla którego głosują na jakąś partię nie jest jednolity w ramach tego samego elektoratu i dotyczy to tak samo większych elektoratów, Platformy, PiS, czy Lewicy.

Tam są ludzie, którzy mogą decydować się na głosowanie na daną partię ze względów czysto ekonomicznych, własnego portfela i gospodarstwa domowego, podatków, zabezpieczeń socjalnych, czy służby zdrowia. A są i tacy, którzy głosują głównie ze względu na silne przekonania np. w sprawie aborcji, czy napływu emigrantów.

Więc pytanie, które musimy po wyborach prezydenckich rozstrzygnąć, brzmi: czy wzrost ich poparcia wziął się z braunowskiego nurtu, czy z niepewności statusu mężczyzn w średnim wieku, którzy widzą i ekonomiczne, i socjokulturowe zagrożenie dla swojej pozycji? To chyba może wyjaśniać, dlaczego Mentzen zyskuje.

W Ameryce wygrał Trump, m.in. dzięki głosom Latynosów, którymi pogardza, nazywa „śmieciami”. Badania pokazują, że to historycznie wysoki wynik. Poparcie w tej grupie wyniosło ponad 40 proc. Jaka logika przyświeca tym wyborcom?

– Latynosi zagłosowali w nieco wyższej proporcji na Trumpa, niż poprzednio. Ale nadal zdecydowana większość Afroamerykanów i Latynosów głosowała na Kamalę Harris, zwłaszcza wśród latynoskich kobiet. Natomiast dynamika rzeczywiście jest taka, iż cztery lata wcześniej wśród la-

tynoskich mężczyzn odnotowaliśmy ponad 20-procentową przewagę głosów na Bidena, a obecnie 10-procentową przewagę Trumpa. Pamiętać jednak należy, że latynoscy mężczyźni to zaledwie 6 proc. elektoratu, co przy ich niezbyt wysokiej mobilizacji nie jest znacząca siła.

Amerykańskie społeczeństwo jest dość bierne wyborczo, w ostatnich wyborach była wyjątkowo wysoka frekwencja ponad 63 proc. Drobną mobilizacyjny może tam powodować wzrost frekwencji.

Gdybyśmy mieli w Stanach Zjednoczonych taką sytuację, jak w niektórych państwach europejskich, gdzie systematycznie 85 proc. ludzi chodzi do głosowania i byśmy zobaczyli przesunięcie, to mogliśmy powiedzieć, aha, coś tutaj się stało, że ci Latynosi, czy Szwedzi w Finlandii, zmienili swoje zdanie.

Tu wiemy tylko tyle, że w tych wyborach udało się nieco bardziej zmobilizować elektorat latynoski i nieznacznie afroamerykański na rzecz Trumpa, ale proszę pamiętać te „śmiecie”, o których mówił w kampanii Trump odnosząc się do Portorykańczyków.

Od dawna zasiedleni w USA Latynosi, czy to Kubańczycy z lat 1960. czy Meksykanie, ci którym nie grożą deportacje, uważają nowych przybyszów za gorszych. To oni protestują przeciw dalszemu napływowi biednych imigrantów z Hondurasu, Nikaragui, z Ameryki centralnej.

Ta stara emigracja po prostu nie chce, żeby ich globalny prestiż upadł przez tych nowych imigrantów.

Do tej pory powielana przez wielu w naszym kraju teza opisująca owe wybory jest taka, że zagrał silny czynnik ekonomiczny. To nie jest prawda. Analizując głosowanie pięciu grup dochodowych Amerykanów nie widać żadnego, powtarzam, żadnego statystycznie istotnego związku między poziomem dochodów a głosowaniem na Trumpa, choć minimalnie większym poparciem cieszył się wśród osób o średnich dochodach.

Natomiast astronomiczne różnice widać, gdy spojrzymy na poparcie kandydatów/tek przez czynniki socjo-kulturowe. Aż 71 proc. protestantów i 60 proc. katolików zagłosowało na Trumpa, z drugiej zaś strony – 80 proc. żydów i 72 proc. niewierzących. Kwestia równie polaryzującą była aborcja.

Zagrała natomiast opowieść o trudnościach ekonomicznych – aż trzy czwarte tych, którzy subiektywnie deklarowali kłopoty w utrzymaniu, zagłosowało na Trumpa, a 78 proc. zadowolonych ze swej sytuacji materialnej na Harris. Ma to rzecz jasna związek z poziomem wykształcenia zwolenników kandydatów, wyższym wśród wyborców Harris.

Istotniejszy jest jednak całociowy obraz społeczny. Mamy bowiem do czynienia z kolejną odsłoną końca ery społeczeństwa industrialnego, co powoduje, że niekomfortowo czują się słabo wykształceni mężczyźni po 40-ce, po 50-ce, którzy tracą pracę i w efekcie prestiż społeczny, więc ochoczo głosują na kogoś, kto obiecuje, że Ameryka może być znowu wielka.

Elementy tożsamościowo-rasowe zaczynają odgrywać dużą rolę, ale przede wszystkim edukacyjne.

Mamy w USA – podobnie jak w innych demokracjach zachodnich – wyraźny rozdźwięk między wykształconymi kobietami i robotnikami płci męskiej. To są dwa światy, które głosują zupełnie inaczej. I nie tyle chodzi tu o pleć, ile o wykształcenie. Partie radykalnej prawicy są reprezentantem ludzi słabo, niedostatecznie wykształconych.

Głównie facetów.

– Tak, głównie facetów. Ale to wykształcenie jest najsilniejszym kryterium. W poparciu AfD to widać. Wykształcenie niskie, zaledwie podstawowe, czy poniżej średniego, to jest rys charakterystyczny poparcia wszystkich niemalże partii radykalnych, w Ameryce, Niemczech czy w Polsce.



• **Kto da więcej? Sympatycy Konfederacji podczas spotkania wyborczego pod tytułem „Bosak i Menztzen na żywo” . 19 sierpnia 2023r. , Bielsko Biala**

FOT. DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mamy wyraźny rozdźwięk między wykształconymi kobietami i robotnikami płci męskiej. To są dwa światy, które głosują zupełnie inaczej

I to dobrze, że ktoś reprezentuje tych ludzi, gorzej, że reprezentuje ich w interesie własnym, a nie ich. Ponieważ to, co wiemy o polityce Republikanów, a zwłaszcza administracji Trumpa, pokazuje, że niewielu (jeśli ktokolwiek) z tych biednych ludzi, a nawet klasy średniej, zyska za jego prezydentury.

Wiemy z badań Larry Bartelsa, że na przestrzeni kilkudziesięciu lat Ameryka się charakteryzuje tym, że gdy dochodzą do władzy Republikanie, nierówności społeczne rosną astronomicznie.

Przychodzą Demokraci do władzy i zatrzymują ten proces, ale nie udaje im się go cofnąć. Kto dzisiaj zaciera ręce w Ameryce? Wielkie poczucie wygranej mają multimilionerzy. Oni dzięki Trumpowi chcą sobie zapewnić nieśmiertelność w kosmosie.

„Głosują w naiwności” powiada pan. Czyli to są niewykształceni wyborcy, obywatele gorszej jakości, bo niedoinformowani, którzy nie zdają sobie sprawy ze skutków swoich decyzji wyborczych.

– Proszę pani, wielka zapomniana mądrość brzmi: jeśli brak faktów i wiedzy faktograficznej, to demokracja się nie uda.

Polityka dotyczy oprócz kwestii ideologicznych, przede wszystkim tematów redystrybucyjnych, jakie mają być podatki, komu zabierać, komu dawać, w co inwestować, jak kształtować relacje przemysłowe etc. etc.

Z realizowanego w naszym Centrum Studiów nad Demokracją projektu, kierowanego przez Mikołaja Cześnika wynika, że poziom wiedzy politycznej Polaków jest – niestety – dość niski, a w każdym razie znacznie niższy niż we wzorcowych demokracjach Europy zachodniej, których status staraliśmy się osiągnąć.

Przebiega się wniosek – podobny do wielu innych badań europejskich – iż brak wiedzy politycznej sprzyja apatii i/lub głosowaniu na partie radykalnej prawicy. Gdy spojrzymy na to z perspektywy ostatnich znaczących wyborów w Niemczech i USA, nie ma wątpliwości, że elektorat AfD i Trumpa rekrutuje się ponadnormatywnie często z ludzi o słabym wykształceniu, kiepsko zorientowanych w polityce, zazwyczaj mają-

cych problemy ze znalezieniem miejsca na rynku pracy.

Nie inaczej jest w Polsce w przypadku elektoratu PiS, choć rzecz jasna czynnikiem temu sprzyjającym jest wiek i miejsce zamieszkania zwolenników tej partii.

By była jasność: było by znakomicie, gdyby znalazły się partie, które rzetelnie reprezentują ludzi gorzej wykształconych i zagubionych w skomplikowanej rzeczywistości. Ale tego nie robią. Manipulują ludźmi nieprzygotowanymi, zagubionymi, bezradnymi po to by nakręcać koniunkturę na swe bądź to globalne zamysły na dalsze megabogacenie się, jak trumpiści w USA, czy by na nowo napisać historię Niemiec i wyczyszczyć ją z „niefortunnego okresu nazizmu” i powrócić do cywilizacyjno-nieskazitelnej wersji tej historii (tak czynią wszyscy nacjonaliści, łącznie z naszymi).

Problem w tym, że jak we wszystkich krajach europejskich zwyciężają partie radykalnej prawicy AfD w Niemczech, Prawdziwi Finowie w Finlandii, Geert Wilders w Holandii, Marine Le Pen we Francji przy wsparciu Orbanowsko-Putinowskiej komitety (jeden już napada na ościennie kraje, drugiemu marzy się obalenie Trianońskich ustaleń) – wojenka w Europie murowana. Pytanie tylko czy gorsza niż ta ostatnia czy może po prostu inna?

To dołożę i takie okrutne wyniki, że bardzo wielu Polaków wierzy w spiski, np. 57 proc., twierdzi, że zmiana klimatu, to jest efekt naturalnych cyklów.

– Ludzie wierzą w takie rzeczy, bo nie sięgają po książki. Odbija się teraz debata, i to jest wielkie wyzwanie przed nami, jak – zwłaszcza młodych i w średnim wieku – wyciągnąć ze szponów sztucznej inteligencji, Google’ów i innych wynalazków, które tworzą im bańki świadomościowe, w których nie mają dostępu do alternatywnej informacji.

Ludzie wchodzi w prawicowego czy lewicowego bąbla i nie mają dostępu do alternatywnych interpretacji rzeczywistości.

Gdyby dziś brexitowskie referendum miało by się odbyć, to zdecydowana większość Brytyjczyków by się opowiedziała za

pozostaniem w Unii Europejskiej. Wiemy, że to dokładnie ci starsi, biedniejsi, z prowincjonalnych miejscowości, gorzej wykształceni zagłosowali za brexitem. I wiemy, że to oni dzisiaj najbardziej cierpią z tego powodu.

Skoro mamy obywateli, którzy nie potrafią weryfikować informacji, którymi są zarzucani, czy to nie prowadzi do gorszej jakości demokracji. A wtedy jest pytanie o istotę takiej demokracji? I jej sens.

– Prowadzi. Słynny politolog amerykański Seymour Martin Lipset, monumentalna postać politologii światowej, w swojej książce „Political Man” z 1959 roku przekonywał, że wysoka frekwencja wcale nie jest dobra dla demokracji.

Wtedy w Ameryce średnio to było plus minus 50 proc., a w Europie powyżej 80 proc. I Lipset pytał, po co taka wysoka frekwencja? Obywatele, którzy nie chcą wpływać na politykę, bo są apatyczni, zdeorientowani, powinni pozostawać w domu. Po co im głowę zawracać skomplikowanymi sprawami ekonomiczno-społeczno-polityczno-globalnymi. Platon miał podobne zdanie.

Do niedawna w politologii dominowała teza, iż istnieje w wyborach coś na podobieństwo niewidzialnej ręki agregacji. Mechanizm polegał tu na tym, że – rzekomo – ludzie wykształceni i politycznie wyrobieni mają większą siłę przebicia niż słabo zorientowani w polityce, gdyż ich głosy są pochodną ich wiedzy akademickiej czy eksperckiej, a ta – pomimo drobnych różnic – odpowiada konkretnie racjonalne rzeczy politykom. Z drugiej strony, głosy tych, którzy niewiele o polityce wiedzą, rozpraszają się na wiele partii, gdyż ich głosowanie jest dalece losowe. Więc ich losowe decyzje powinny się nazywać kasowa.

Ale dekadę później pojawiły się badania, które wskazują, że ci niekompetentni co prawda nie czytają ekspertów, nie znają się na skomplikowanych procesach decyzyjnych, ale mają wokół siebie ludzi podobnie myślących. I wtedy dla takich ludzi autorytetami są np. szef ochotniczej straży pożarnej, kompan z gospody, pubu albo jak np., w Polsce ksiądz. I wtedy ci ludzie podobnie myślący o gorszym poziomie wykształcenia mają tendencję skupiania się wokół pomysłów takich lokalnych gwiazd socjometrycznych. I to oni w pewnych konfiguracjach mogą przeważać, iż do władzy dojdą partie radykalne.

W jednym z przemówień Trumpa wykryto, że w niecałą godzinę aż 13 razy skłamał. I co? I nic.

Kto o tym się dowiedział i kto w to uwierzył? To jest dziś problem w demokracji – słyszymy kłamstwo, a wierzymy, że to prawda, bo tak jest najprościej.

– To wielkie wyzwanie dla nas wszystkich. Musimy budować alternatywny oparty o fakty przekaz. Nie wolno już odstąpić ani na krok, bo wszyscy znajdziemy się w szponach iluzji i szaleńców kreujących świat pod swe widzimisię. ●



Prof. Radosław Markowski

• Profesor nauk społecznych, Uniwersytet SWPS i PAN, Visiting Professor uniwersytetów Duke, Wisconsin-Madison, Rutgers, CEU. Kierownik/członek licznych międzynarodowych projektów badawczych w ramach Horizon Europe, FP6 i FP7, ERC, COST

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



InPost

**Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz.
Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®**

„Tygodnik Powszechny” walczy z dezinformacją i polaryzacją.
Oferuje rzetelne, wyważone informacje. Daje nadzieję w niespokojnych czasach.

Tygodnik z innej półki

- Niezależne komentarze polityczne
- Wnikliwe analizy bieżących tematów społecznych
- Starannie dobrane rekomendacje książkowe, filmowe i teatralne
- Otwarte spojrzenie na wiarę, teologię i filozofię

Oferta specjalna

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat® otrzymasz:



- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – oszczędzasz 357 zł
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczuć” z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów od autorów
- przy płatności **bilik** dodatkowo specjalne rabaty. Wejdź na stronę TygodnikPowszechny.pl i sprawdź!



Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**, otrzymasz wyjątkową książkę ks. Adama Bonieckiego „Vademecum” z autografem autora.



dowiedz się więcej!



MAM PISTOLET, UŚMIECHNIJ SIĘ

Amerykanie mówią: mamy ocean, który oddziela naszą rzeczywistość od waszej,
więc nie zwracajcie nam głowy swoimi problemami

Z **MARCINEM PROKOPEM***
ROZMAWIA **ANDRZEJ KULASEK**

Poznałeś Stany, bo tam wychowywała się twoja żona, tam skończyła studia i niejako smaląc do niej cholewki, jeździłeś za ocean dość często. To była miłość od pierwszego wejrzenia? Pytam o Amerykę, nie o żonę.

– Pamiętam, że na początku Stany mnie bardziej przygniotły, niż mnie w sobie rozkochały. Najpierw próbowałem, jak każdy cudzoziemiec, nadać jakiś sens wszystkiemu, co widzę i czego doświadczam. Zanim zacząłem cokolwiek rozumieć, zanim poznałem amerykańską mentalność i wszystko, co z niej wynika, przypominałem dziecko, które pierwszy raz wyjechało z komunistycznego kraju i na stacji benzynowej w RFN zobaczyło, że jest 50 rodzajów czekolad i gum do żucia.

Gdy pierwszy raz zobaczyłem autostradę z lotniska w Chicago na przedmieścia miasta, gdzie mieszkali teściowie – miała siedem pasów zamiast dwóch – to nie wiedziałem, jak to mentalnie obsłużyć. Zacząłem się rozsmakowywać w USA dopiero wtedy, gdy dostrzegłem wielowymiarowość tego miejsca, podróżując po kraju wzdłuż i wszerz, przez skrajnie różne rejony.

Ta siedmiopasmówka to był pierwszy nokaut, jaki Ameryka ci zaserwowała?

– Zaskoczył mnie, i zresztą wciąż zaskakuje, również brak poszanowania własnej historii, jeśli chodzi o architekturę. Amerykanie cenią sobie historię w wydaniu polityczno-militarnym, natomiast tej miłości nie widać w stosunku do otoczenia. Choćby Wrigley's Field w Chicago, baseballowy stadion drużyny Cubs. Piękny obiekt, który miał zostać zburzony, bo jest z drewna. A przecież według amerykańskiej logiki powinien być betonowy, bardziej funkcjonalny, no-

wocześniejszy. Na szczęście po protestach udało się go ocalić, ale charakterystyczne jest to, że lekką ręką wyburzają tam zabytkowe budynki pod deweloper-skie szkarady, które nie przetrwają 20 lat.

Mimo to Stany ci nie zbrzydły?

– Ani nie zbrzydły, ani się nie znudziły. Wręcz przeciwnie. Myślę, że są coraz ciekawsze, zwłaszcza w kontekście tego, co się dzieje na świecie, i tego, że przeobrażają się bardzo szybko. Te Stany, do których ja zaczynałem jeździć 20 lat temu, to był inny kraj, Ameryka to nieustannie zmieniający się organizm.

No właśnie, czy przez to, jak się zmienia, w którą stronę się zmienia i przez kogo się tak bardzo zmienia, jakoś cię od niej nie odrzuca?

– Jeśli mówimy o programie, który realizuję, „Nie-zwykle Stany Prokopa”, to nie zajmuję się w nim polityką, choć oczywiście polityka dotyka ludzi, z którymi się spotykam. Z jej powodu sytuacja jest mocno rozogniona. Natomiast osobiście nie jestem skłonny do jakichś chwilowych emocji i wzmożeń, bo patrzę na to, co się dzieje, w kontekście nieco szerszych procesów, które tę Amerykę kształtują. Donald Trump i jego świta nie wzięli się znikąd. To, co się teraz dzieje, jest konsekwencją wielu zaniedbań, decyzji i politycznych posunięć, które miały miejsce w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Pamiętam, że myśląc o Ameryce, miałem w głowie restauracje z rzędami stołów i kanap obitych sztuczną skórą, kelnerki kursujące z dolewką kawy, bluzy z nadrukami uniwersytetów. A potem mnie te Stany stopniowo sprowadzały na ziemię. Ty nie miałeś twardego lądowania?

– Jeśli chcesz zobaczyć tradycyjne bary z fotelami obitymi skajem i ceratami na stołach, to je znajdziesz. Jeśli chcesz odwiedzić sklepiki, które sprzedają gadżety związane z uniwersytetami – to ich też

nie brakuje. To nie są jednak istotne rzeczy w kontekście tego, co zmieniło się w Stanach na gorsze, od kiedy pojechałem tam po raz pierwszy dwadzieścia kilka lat temu.

Po pierwsze, na każdym kroku widać gigantyczne rozwarstwienie ekonomiczne, jedno z najwyższych na świecie. Swoją cegielkę dołożyła do tego pandemia COVID-19. Wtedy to osoby dysponujące wolnym kapitałem mogły go kilkukrotnie pomnożyć, wykorzystując zawirowania na rynkach finansowych, gdy tymczasem większość ludzi w pandemii mocno zbiedniała. W tej chwili 1 proc. najzamożniejszych Amerykanów ma ponad 30 proc. zasobów całego kraju i ta dysproporcja ciągle rośnie.

Po drugie, od czasu Wielkiego Kryzysu nie było w Stanach tak dużego problemu z bezdomnością i z narkomanią rozkręconą przez nieodpowiedzialny przemysł farmaceutyczny. Jeszcze niedawno duże i zamożne miasta były miejscami, do których lgnęli wszyscy, którzy chcieli spełniać swoje marzenia. Los Angeles czy San Francisco to były trampoliny do realizacji amerykańskiego snu.

Teraz ludzie, którzy mają pieniądze i możliwości, uciekają stamtąd, bo poziom życia w wielu metropoliach bardzo się zdegradował. W skrócie, jest coraz drożej, coraz mniej bezpiecznie i w wielu miejscach coraz bardziej gorąco. Ostatnio każde kolejne lato przynosi nowe rekordy temperatur w Nevadzie czy Teksasie.

Po trzecie, Amerykanie chorują na potęgę, przede wszystkim na otyłość, która jest już problemem ponad połowy populacji. Ci ludzie nie tylko mają mnóstwo chorób towarzyszących typu cukrzyca, ale wręcz doświadczają poważnych problemów z poruszaniem się i wykonywaniem codziennych obowiązków. Bardzo wzrósł też odsetek osób dotkniętych tzw. otyłością olbrzymią, która bezpośrednio zagraża życiu. To wszystko szalenie obciąża i tak już mocno niewydolny system opieki zdrowotnej.

• Na szlaku nowej 5. serii programu „Nie-zwykle Stany Prokopa”. Przystanek w Haywood Country w Karolinie Północnej.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mówiąc krótko, Ameryka to już nie jest to mityczne miasto lśniące na wzgórzu, do którego pielgrzymują wszyscy, którzy chcą odmienić swój los. To raczej kraj, w którym grupa amoralnie bogatych, uprzywilejowanych hiperkapitalistów tworzy prywatny folwark, zarządzając krajem niczym podległą sobie korporacją.

I właśnie ta Ameryka miała dość i zwróciła się ku Trumpowi.

– Ameryka w ostatnich latach „zamordowała” klasę średnią, a w każdym społeczeństwie jest to ostoja normalności i dobrobytu. Od lat 70. płace realne rosły znacznie wolniej niż np. koszty edukacji, służby zdrowia czy nieruchomości. W efekcie większa część dochodu klasy średniej „pożerana” jest przez bieżące wydatki.

To nie są tylko statystyki, lecz bezpośrednie doświadczenie mojej rodziny. Moi teściowie, którzy przez prawie pół wieku mieszkali w Stanach, byli właśnie taką klasą średnią dorabiającą się ciężką pracą. Przyjechali tam jako imigranci niemający nic. Przez 40 lat zbudowali względną zamożność – dom na przedmieściach, dwa samochody, opłacenie edukacji dziecka itd.

W ciągu ostatnich 15 lat, z roku na rok standard życia im się pogarszał, mimo iż pracowali więcej. Między innymi bardzo wzrosły lokalne podatki, które powodowały, że utrzymanie domu stało się praktycznie nieopłacalne. Do tego doszła frustracja spowodowana tym, że liberalne rządy lekką ręką rozdały publiczne pieniądze, finansując często nieefektywne programy społeczne.

Wielu ludzi pomyślało: ja pracuję ponad siły i le-dwo wiąże koniec z końcem, a tymczasem coraz większa armia leserów i obiboków żyje z moich pieniędzy. W tym podpalaniu społecznych emocji nie można też nie docenić roli licznych teorii spiskowych, których wspólnym mianownikiem jest obarczanie jakichś tajemniczych, sprzysiężonych sił za obecny, fatalny stan rzeczy.

Historia nurtu QAnon to przerażające studium masowego kolonizowania mózgów przez absurdalną i niebezpieczną dezinformację, jak choćby słynna sprawa Pizzagate [jedna z teorii spiskowych z czasów wyborów prezydenckich w USA w 2016 r.]. To przecież wyznawcy tego ruchu byli w dużej mierze odpowiedzialni za szturm na Kapitol, coś wcześniej niewyobrażalnego w amerykańskiej demokracji.

Wracając do gospodarki – wraz z kurczeniem się zasobności klasy średniej na skrajach społecznej krzywej Gaussa też doszło do gwałtownych zjawisk. Nigdy wcześniej nie było tak szybko bogaczącej się, wąskiej klasy miliarderów oraz tak szybko przyrastającego odsetka ludzi wypchniętych poza system. Do tego doszedł swoisty paraliż władzy Demokratów, którzy w ocenie przeciętnego obywatela za mocno skupili się na rozwiązywaniu abstrakcyjnych, niszowych problemów, typu osławiona już kwestia integracyjnych toalet [chodzi o zakaz korzystania z toalet dla kobiet osobom transseksualnym w Kongresie], a kompletnie nie potrafili sobie poradzić z tym, co uwierało większość społeczeństwa w codziennym życiu.

No i jeszcze ten biedny Joe Biden, którego postępująca niedołężność oraz publiczne kiksy stały się celem łatwych ataków politycznych przeciwników... Takimiks musiał spowodować wybuch masowego niezadowolenia, które zrecznie zagospodarował Trump, pozując na niezależnego kandydata „z ludu” i obiecując masom dokładnie to, co chciały usłyszeć, i to powiedziane dogmatycznym językiem prostych emocji, w dodatku bez specjalnego przejmowania się faktami.

Mówiłeś w rozmowie z „Wyborczą” w 2021 roku, że w Polsce podzieliłiśmy się na dwa wrogie плеmiona. Czy to samo nie stało się teraz w Stanach?

– Często spotykałem Amerykanów, którzy zagadywali mnie, co sądzę o Trumpie. I czułem się trochę tak jak przed kilkoma laty w Londynie, gdy po jakimś meczu zaczepiali mnie kibice, pytając, za którą drużyną byłem. A ja po ich strojach nie byłem w stanie stwierdzić, kto pyta, więc wiedziałem, że jedna zła odpowiedź może mieć poważne konsekwencje.

Tu było tak samo. Trudno było wyczuć, z kim mam do czynienia. Przeciwnicy Trumpa mówili mi, że przepraszają za swojego prezydenta, że się wstydzą, że to potworny upadek Ameryki i żebyśmy źle o nich nie myśleli. Że nie wszyscy Amerykanie tacy są i żebym nie zawiózł do Polski przekonania, że Ameryka jest teraz opanowana przez wielbiciele „małpy z brzytwą”, jak niektórzy wypowiadają się o prezydencie.

A z drugiej strony spotykałem ludzi, którzy z radością ozdabiali swoje ciężarówky naklejkami przed-

stawiającymi psa defekującego na napis „liberals”, nosili czapeczki z „Make America Great Again” czy koszulki z wizerunkiem Trumpa w królewskiej koronie, i ewidentnie byli dumni z tego, że reprezentuje ich ktoś taki.

Myślę, że to, co się wydarzyło u nas, podczas tej największej politycznej jatki i podziału na PiS i PO, tam jest podniesione do potęgi. Bo trzeba pamiętać, że tam mają broń, a my jednak nie. I tam często z powodów politycznych czy światopoglądowych po tę broń sięgają.

Do broni jeszcze wrócimy. A co Amerykanie w ogóle wiedzą o świecie? Patrzymy na nich ze swojego punktu widzenia, oburzamy się, że mówią i robią tak, a nie inaczej, ale w sumie dlaczego?

– Odwróć twoje pytanie: a co my wiemy o świecie? Ilu znasz ludzi, którzy interesują się tym, co dzieje się w – dajmy na to – Rumunii, Bułgarii albo Belgii? Nie schlebiamy więc sobie, że pod tym względem jesteśmy jakoś znacząco lepsi od Amerykanów. U nich też większość ludzi zajmuje się głównie tym, co ich bezpośrednio dotyczy.

Europejskie problemy są dla nich abstrakcją rodem z bardzo dalekiej, niedużej i dziwnej krainy. Do tego dochodzi uwolniony przez Trumpa duch amerykańskiego imperializmu, który pozostawał uśpiony w czasach względnej prosperity, a dziś, kiedy wielu ludziom wiedzie się źle, zaczynają się głośno domagać powrotu dawnej, lepszej Ameryki, która nie dość, że ich karmiła, to jeszcze rozdawała karty w światowej gospodarce, rządziła militarnie oraz budziła powszechny respekt.

Ameryka w ostatnich latach „zamordowała” klasę średnią, widząc to po moich teściach

Myślę też, że to, co się teraz dzieje, pokazuje, że ludzie nie chcą idei pięknych, tylko użytecznych. Demokratyczna narracja o równości, braterstwie, praworządności i przejrystości władzy nikogo już dzisiaj nie porywa, bo te idee wielokrotnie się skompromitowały. Sam Trump gwałcił je regularnie w trakcie swojej pierwszej kadencji. Dlatego dzisiejszy wyborca jest przede wszystkim pragmatyczny, a nie ideowy. Zadaje proste pytanie: Co władza może zrobić, żeby moje codzienne życie stało się lepsze i łatwiejsze?

Zwolennicy Trumpa mówią, że Władimir Putin to może sobie wziąć Ukrainę, bo przecież jest jego, a my robimy wielkie oczy...

– ...a tymczasem dla większości wyborców Trumpa Ukraina jest tematem tak abstrakcyjnym jak dla nas – powiedzmy – wojna domowa w Sudanie. Wiemy, że się toczy i że to źle, mamy świadomość, że ludzie umierają. Ale teraz wyobraź sobie, że przychodzi polski prezydent i mówi: „Kochani, musimy wysłać do Sudanu 10 mld z waszych podatków, żeby wesprzeć wartości, w które wierzymy”. Nie sądzę, żeby zyskał wielkie społeczne poparcie.

Amerykanie mówią więc: my mamy nasz ocean, który oddziela naszą rzeczywistość od waszej, więc nie zwracajcie nam głowy swoimi problemami, bo my mamy własne. W dodatku od trzech lat wysyłamy na tę Ukrainę kupę kasy i nie dość, że końca wojny nie widać, to jeszcze słyszymy, że połowa naszej pomocy gdzieś się „zapodziała”.

Nie pochwalam oczywiście tego, że Ameryka odwraca się od Ukrainy i patrzy na nią jak na niegrzeczne dziecko z podwórka, które niesprawiedliwie oskarża o wywołanie wielkiej awantury, podczas gdy wszyscy na osiedlu chcą mieć przede wszystkim spokój. To nie jest postawa godna imperium, które przez dekady chelpiło się rolą światowego policjanta, strażnika demokracji i nadal ma wielki wpływ na losy świata. Ale na poziomie logiki i emocji rozumiem, dlaczego wielu Amerykanów ulega demagogii Trumpa i powtarza, że Ukraina to nie ich problem.

Słowa Zelenskiego, że któregoś dnia Amerykanie też mogą poczuć to, co teraz Ukraińcy, niestraszyły ani Trumpa („Nie mów nam, jak będziemy się czuć”), ani J.D. Vance’a, ani też zapewne samych Amerykanów. A czego oni się boją?

– Przeciętny Amerykanin nie boi się, że Rosja wystrzeli w jego kraj raketę, bo przecież Ameryka

ma lepsze rakiety, a poza tym Trump przekonuje wszystkich, że Putin je mu z ręki.

Zwykły człowiek oprócz typowych lęków związanych z osobistymi finansami boi się dziś, że ktoś napaśnie na niego na ulicy, obrabuje mu dom albo zamorduje dziecko w szkole podczas strzelaniny. Te lęki przybrały na sile, odkąd w wielu stanach drastycznie obcięto finansowanie policji oraz – po protestach przeciw jej brutalności – zauważono zjawisko „de-policing”. Polega ono na tym, że funkcjonariusze obawiają się zarzutów nadużycia uprawnień i rzadziej interweniują w mniej oczywistych przypadkach.

Według danych FBI tzw. clearance rate [odsetek skutecznie rozwiązanych spraw] dla zabójstw spadł w skali kraju z ok. 90 proc. w latach 60. do ok. 50 proc. Oznacza to, że w większej liczbie przypadków sprawca nie zostaje formalnie ustalony lub brakuje wystarczających dowodów do postawienia zarzutów. Część przestępstw w ogóle nie jest zgłaszana, bo skoro policja odmawia ich ścigania, to ludzie zaczynają wykazywać coraz większy brak zaufania do tej służby.

Kiedy moja ekipa została obrabowana ze sprzętu fotograficznego w San Francisco, bo włamano nam się do samochodu, to policja nie podjęła się ścigania przestępców, kazała nam tylko wypełnić raport online dla ubezpieczyciela.

W kilku stanach wprowadzono w ostatnich latach reformy mające ograniczyć stosowanie kaucji pieniężnych wobec osób oczekujących na proces w sprawach o lżejsze przestępstwa, co oznacza, że wielu bandytów pozostaje na wolności. Znaczna część prokuratorów rezygnuje też z oskarżania za drobne przestępstwa narkotykowe i skraca wyroki za niewielkie kradzieże, co rozzuchwala różnej maści rzezimieszków.

Na to nakładają się wciąż żywe podziały i uprzedzenia rasowe, które od lat próbuje się pudrować na poziomie narzuconej politycznej poprawności, ale mentalne zmiany w ludziach następują znacznie wolniej. Dlatego lęk przed imigrantami, który rozdmuchuje Trump, wprowadzając masowe deportacje, tak łatwo było mu rozpalić.

Kolejny wielki problem Amerykanów to strach przed poważną chorobą. System opieki zdrowotnej jest tak niewydolny, kulawy i bezwzględny, że ci, którzy nie płacą wysokich składek na dodatkowe ubezpieczenia, na niewiele mogą liczyć. Na chorowanie w Ameryce mogą sobie pozwolić wyłącznie bardzo bogaci.

Powtarzasz, że USA stają się coraz bardziej niebezpiecznym krajem, a jednocześnie byłeś zaskoczony faktem, jak często Amerykanie sięgają po broń. Może inaczej się nie da?

– Temat broni jest wielowątkowy. Tu nie chodzi tylko o to, że ktoś chce się obronić albo czuje zagrożenie, więc nie rozstaje się z pistoletem. Broń to dla Amerykanów symbol osobistego, niezbywalnego prawa do samostanowienia. Jest ono tak głęboko zakorzenione w mentalności, że próba racjonalnego wyjaśnienia Amerykanom, że byłoby lepiej, gdyby się rozbroili, tylko ich rozbiesza.

Większość z nich jest przekonana, że posiadanie broni działa jak doktryna nuklearna: jeśli ja wiem, że ty masz rakiety, i ty wiesz, że ja je mam, to nikt ich nie wystrzeli, bo to oznaczałoby anihilację świata. Więc jeśli obaj mamy pistolety, lepiej nie wchodzićmy w konflikt, bo ktoś z nas może zechcieć po tę broń sięgnąć.

Pewien emerytowany szeryf, który prowadzi sklep z bronią w miejscowości Sioux Falls, tłumaczył mi z rozbijającą szczerością: „U nas jest bezpiecznie, ludzie są dla siebie mili i uprzejmi dlatego, że wszyscy wiedzą, że każdy może mieć broń. Dlatego na wszelki wypadek każdy się uśmiecha do człowieka z naprzeciwka, żeby nie prowokować go do jej użycia”.

Malujesz dość ponury obraz Ameryki. Nie zostało tam już nic romantycznego?

– Ameryka jest na tyle wielkim krajem, że znajdziesz tam to, czego szukasz. Jeśli zależy ci na autentycznych ludzkich historiach, na osobach, które żyją w wyjątkowy sposób – jak chociażby bohaterowie, do których staram się docierać w moim programie – to ich znajdziesz. A jeśli chcesz znaleźć patologię, dowody na to, że Ameryka to już trzeci świat, że w zasadzie powinna zostać zaorana i zbudowana na nowo, to też nie będziesz musiał długo szukać. I to jest właśnie w tym kraju dla mnie fascynujące – możesz go obracać niczym kostkę Rubika i za każdym razem zobaczysz trochę inny zestaw barw. ●

Marcin Prokop

• rocznik 1977, dziennikarz, prezenter telewizyjny, pisarz i producent. Pisał dla „Wyborczej”, „Przekroju” czy „Wprost”, był redaktorem naczelnym „Machiny”, „Filmu” i „Przekroju”. Współpracował z Polsatem i TVP, od 2007 r. związany z TVN, gdzie prowadzi m.in. „Dzień Dobry TVN” czy „Mam Talent!”.

• Pasjonat Ameryki, po której podróży regularnie od kilkudziesięciu lat. Z tej pasji zrodził się program „Niezwykłe Stany Prokopa”, którego jest prowadzącym, producentem i reżyserem.

• „Niezwykłe Stany Prokopa” w TVN (niedziela, o godz. 11.20) i na platformach Player.pl oraz Max

MR TRUMP JEDZIE DO AFRYKI

Wojna Rwandy z Kongiem. Europejscy obserwatorzy pomylili strony?

Klaus Bachmann

Na pierwszy rzut oka Félix Tshisekedi nie ma problemów. Po ostatnich wyborach prezydent Demokratycznej Republiki Konga (DRK) przechrzył przeciwników, podebrał im posłów, zbudował własną większość w parlamencie, a obecnie pracuje nad poprawką do konstytucji, która pozwoli mu się ubiegać o trzecią kadencję. Ale na wschodzie kraju armia rebeliantów o enigmatycznej nazwie M23, która jest w komitywie z kongijską opozycją, podbija i okupuje jeden region po drugim. Ostatnio wkroczyła do Gomy i Bukavu, dwóch dużych miast na granicy z Rwandą i Burundi. Tysiące ludzi zostało rannych lub zabitych, a setki tysięcy uciekają.

Choć prezydenta co innego najbardziej martwi w utracie dwóch dużych prowincji – surowce, które przepadły wraz z nimi. W tym tak cenne dla producentów elektroniki: miedź, lit, kobalt i koltan.

Ale Tshisekedi i na to ma rozwiązanie: umowę z Trumpem. Jeśli Waszyngton wyśle wojska i wyzwoli wschód od M23, amerykańskie firmy otrzymają licencje na wydobycie metali ziem rzadkich, diamentów i złota w prowincjach nad jeziorem Kiwu.

A Trump, choć zdeklarowany przeciwnik wysyłania „naszych chłopców” na „nie nasze” wojny, tym razem nie mówi „nie”.

Po Waszyngtonie krążą plotki, że wyznaczy Massada Boulousa, teścia swojej córki Tiffany, na specjalnego wysłannika do regionu Wielkich Jezior Afrykańskich.

Boulous to biznesmen o libańskich korzeniach, który już prowadził interesy w czarnej Afryce, a zaufanie Trumpa zdobył, zdobywając dlań głosy wyborców arabskiego pochodzenia.

Europejczycy nie mają zbyt wiele, by przeciwstawić się Trumpowi i jego XIX-wiecznemu kolonialnemu najazdowi. A jednocześnie wobec regionu Wielkich Jezior popełniają te same błędy, które wytykają Trumpowi w Ukrainie.

Po pierwsze, Trump przedstawia się jako „uczciwy pośrednik”, mimo że USA zajmują wyraźne stanowisko – do tej pory opowiadały się po stronie Kijowa, po wolcie nowej administracji są po stronie rosyjskiej, a do tego mają w tej wojnie własne, konkretne interesy.

Po drugie, Trump wywiera presję tylko na jedną stronę konfliktu – Ukrainę – aby doprowadzić walczących do negocjacji. Co gorsza, wydaje się, że naprawdę uważa ją za co najmniej współwiną wojny.

Po trzecie, ignoruje wiele zainteresowanych stron, które mogą zniweczyć porozumienie, na jakim mu zależy: Unię Europejską, Turcję, Chiny i samą Ukrainę. Politycy, komentatorzy i eksperci szeroko rozumianego Zachodu wciąż to punktuja, ale mniej więcej to samo robią odnośnie do Konga.

Przekonana, że Rwanda stoi za M23, a do tego ma własne oddziały we wschodnim Kongu, Rada Bezpieczeństwa ONZ wezwała Rwandę do zakończenia wsparcia dla kongijskiej partyzantki. Własne sankcje nałożyła na Rwandę Kanada oraz wiele państw europejskich, w tym: Niemcy, Belgia i Wielka Brytania, a planowane są kolejne, na szczeblu unijnym.

W zachodnim chórze uczestniczy też jak za dawnych czasów Ameryka. USA nałożyły sankcje na jednego polityka rwanadyjskiego i jednego przedstawiciela M23. Na więcej się nie zapowiada, bo pomoc rozwojową, którą Trump mógłby wycofać, aby nacisnąć Rwandę, już wycofał, likwidując USAID. Przy okazji dolewa paliwa do konfliktu, któremu chce położyć kres. Bo wstrzymał afrykańskie projekty USAID, więc i dla Konga, które dostawało rocznie blisko 1,3 mld dolarów. Młodym ludziom na wschodzie kraju, którzy pracowali w projektach rozwojowych, nie zostaje teraz nic innego, niż wstąpić do zbrojnych gangów, aby przetrwać. Jeśli Trump naprawdę wyśle tam marines, to będą walczyć z milicjami, którym jego polityka napędzała bojowników.

Wróćmy do Rwandy: sankcje to coś więcej niż strata finansowa dla kraju, który co prawda 7 proc. PKB wciąż ma z pomocy zewnętrznej, ale coraz bardziej żyje na własny rachunek, utrzymując się z rosnącej turystyki. A teraz wizerunek kraju, który, powstawszy jak feniks z popiołów ludobójstwa, zbudował dobrze zarządzane, stabilne, bezpieczne, nowoczesne i mało skorpumpowane państwo, ustępuje teraz przed obrazem drapieżnej autokracji, która próbuje zaanektować część sąsiada. „Rwanda bawi się w Putina w Kongu” – grzmi nagłówek w „The Economist”, którego redakcja dotąd zawsze była przychylna Rwandzie.

Analogia wygląda przekonująco: tak jak Putin wysłał uzbrojonych bojowników do wschodniej Ukrainy, aby wyzwoić rzekomo uciskanych tam Rosjan i rosyjskojęzycznych Ukraińców, ale nie przyznał się do „zielonych ludzików”, tak Paul Kagame wysłał żołnierzy, do których się nie przyznaje, aby chronić Tutsi, rzekomo przesładowanych w Kongu.

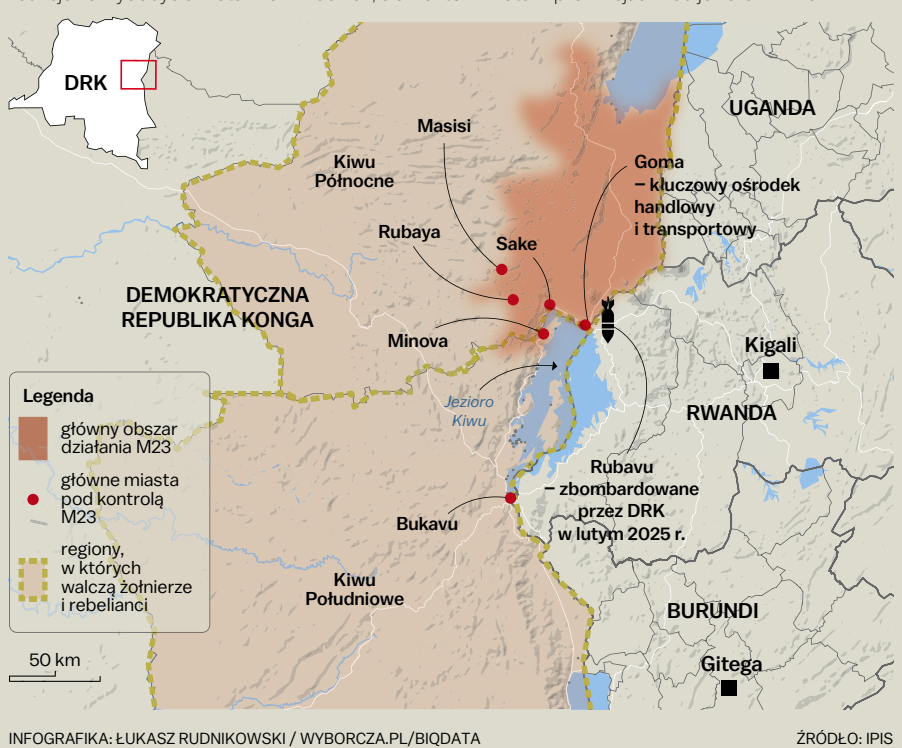
A te prześladowania to taka sama propagandowa wymówka jak w przypadku Putina z Ukrainą: tak naprawdę chodzi o dostęp do złóż rzadkich metali, złota i diamentów. Tyle że jest to narracja, delikatnie mówiąc, nieco uproszczona.

Raport ekspertów ONZ stwierdza, że Rwanda wysłała żołnierzy przez granicę. Nikt nigdy nie widział tych żołnierzy. Jednak zgodnie z prawem międzynarodowym



Sytuacja w Demokratycznej Republice Konga

Jeśli Trump wyśle wojska i wyzwoli wschód kraju od rebeliantów M23, Stany Zjednoczone dostaną licencje na wydobycie metali ziem rzadkich, diamentów i złota w prowincjach nad jeziorem Kiwu



wystarczy, że Rwanda toleruje młodych ludzi z przeszkoleniem wojskowym, którzy wyruszają, aby walczyć w szeregach M23. Zgodnie z kilkoma przełomowymi wyrokami Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości to „użycie siły przeciwko innemu państwu”.

Rwanda twierdzi, że wśród walczących w szeregach M23 jest sporo uchodźców, którzy w ostatnich latach zostali wygnani ze swoich małych ojczyzn w prowincjach Kiwu, bo mówili w kinyarwanda. To język, którym mówią i Hutu, i Tutsi w Rwandzie i Burundi, ale który w Kongu jest językiem mniejszości Banyamulenge.

Nie można tego porównywać z Donbasem, ponieważ tam nigdy nie było popytu na ochronę ze strony Rosji. Ani Rosjanie, ani rosyjskojęzyczni Ukraińcy nie byli uciskaną mniejszością – stanowili większość. I większość z nich uciekla nie przed władzami Ukrainy, lecz przed armią rosyjską najpierw w 2014, a następnie w 2022 r.

Innymi słowy, najeżdżając wschodnią Ukrainę, Rosja wyeliminowała zagrożenie, które sama wymyśliła. Zupełnie inaczej sprawy się mają we wschodnim Kongu.

Kiedy DRK uniezależniła się od Belgii pod nazwą Zair, uznała za rdzenne wszystkie grupy etniczne, które żyły na jej terytorium przed berlińską konferencją kongijską w roku 1885. Banyamulenge wyemigrowali do Konga na długo przed konferencją ustalającą wpływy kolonialnych mocarstw, wypędzeni przez krwawe walki między najpotężniejszymi klanami Rwandy. W większości zintegrowali się z organizacjami plemiennymi grup, które ich przyjęły. Nieliczne organizacje plemienne Banyamulenge, które jeszcze istniały w latach 30., rozwiązały belgijscy kolonialiści.

I tak Banyamulenge żyli wśród innych grup etnicznych wschodniego Konga, zachowując swój język, ale nie stanowili własnej zorganizowanej grupy etnicznej.

Aż najpierw w latach 40. młodzi Rwanadyjczycy zaczęli migrować w te strony za pracą w belgijskich kopalniach, a potem w latach 60. władze zdominowane przez Hutu wygnały Tutsi z kraju.

To te wydarzenia spowodowały, że do dziś ludzie w Kongu uważają obywateli mówiących kinyarwanda za imigrantów,



• **Bojownicy M23 po zajęciu Bukavu w prowincji Kiwu Południowe przy granicy z Rwandą (20.02.2025). M23 to świetnie zorganizowana partyzantka, która kontroluje tereny na wschodzie DRK**

FOT. LUSTATO / AFP

uchodźców i obcokrajowców, którym obywatelstwo Demokratycznej Republiki Konga i prawa obywatelskie nie przysługują. Choć ich państwo nie jest w stanie odróżnić uchodźców od migrantów, migrantów od rdzennych Banyamulenge mieszkających tam od wieków ani Hutu od Tutsi – dla ludzi na ulicy ten, kto mówi kinyarwanda, jest uchodźcą Tutsi z Rwandy i ma wrócić do siebie. Z tego też powodu wielu Banyamulenge nie mogło nabyć ziemi – co w kraju zdominowanym przez rolnictwo jest dość bolesne – czy znaleźć zatrudnienia w administracji lub w wojsku.

• Ale to się nagle zmieniło w latach 90. Wtedy kilka tysięcy młodych Banyamulenge dołączyło do Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego (RPF), rebeliantów Tutsi z Ugandy, którzy w październiku 1990 r. zaatakowali Rwandę, wywołując trzyletnią wojnę domową. Pod koniec wojny rwandyjski rząd Hutu rozpętał ludobójstwo Tutsi, został obalony przez RPF i uciekł do Zairu. Wspierany przez rząd w Kinszasie zreorganizował się w obozach dla uchodźców.

Dwa lata później Rwanda napadła na te obozy. I razem z uzbrojonymi Banymulenge oraz kongijskimi rebeliantami pod wodzą Laurenta-Desirégo Kabilii (dawnego maoisty i kolegi Che Guevary) pomaszerosowała aż do Kinszasy i zainstalowała tam Kabilę jako nowego prezydenta.

To polepszyło położenie Banyamulenge. Mogli pracować w administracji, posiadać ziemię i służyć w armii, dopóki w Kinszasie ponownie nie zmienił się wiatr: Kabilę swoich sojuszników wypędził do Rwandy i sprzymierzył się z bojówkami Hutu.

Ten schemat nie zmienił się do dziś: kiedy Kinsza jest w konflikcie z Kigali, dozbierają bojowników Hutu, co z kolei Kigali uważa za nieprzyjazny akt i wysłała przeciwko tym Hutu swoich bojowników.

• Obecnie walczą oni w szeregach M23. To partyzantka dobrze zorganizowana, skuteczna, zdyscyplinowana i doskonale wyposażona. Jediną różnicą między nią a regularną armią jest to, że nie ma emblematów na mundurach – tak jak w 2014 r. separatysty w Donbasie. Jej przeciwnicy twierdzą, że pieniądze czerpie z metali ziem rzadkich, diamentów i złota, które nielegalnie wykopuje i przewozi przez granicę do Rwandy.

Lecz szczegółowe analizy z Francji i Belgii pokazują, że M23 ustanowiło coś na kształt własnej administracji nie tam, gdzie znajdują się cenne złoża, lecz tam, gdzie mieszka ludność Banyamulenge. Czyli M23 nie żyją z kopalni, lecz zbierają podatki od tych, którzy handlują rzadkimi ziemiami, złotem i diamentami i wywożą je do Rwandy.

A pomaga im – paradoksalnie – rząd w Kinszasie, z Tshisekedi na czele. Ten sam, który wszem i wobec oskarża Rwandę o agresję i rabunek kopalni.

• Demokratyczna Republika Konga jest przeciwnictwem Rwandy.

Stolica Rwandy jest uważana za najczystsze miasto w Afryce, gdy Kinsza tonie w śmieciach. Rwanda jest nowoczesna, scyfryzowana i dobrze zarządzana, gdy w DRK infrastruktura się wali, a watażkowie i ich bojówki rządzą prowincjami. Rwanda znajduje się na górze afrykańskich list korupcji, a DRK jest jednym z najbardziej skorumpowanych krajów na świecie. Rwanda ma jedną z najpotężniejszych i najbardziej zdyscyplinowanych armii na kontynencie, gdy armia kongijska budzi strach tylko we własnym kraju, bo łupi własną ludność.

Trudno się temu dziwić: żołnierze często nie są w ogóle opłacani albo dostają tak marny żołd, że muszą kraść. Ich oficerowie zarabiają dobrze tylko wtedy, gdy pełnią służbę w strefach wojennych, więc sami dbają o to, aby w ich sąsiedztwie strzeleno. Zależy to też od liczby ich podwładnych, więc podają fikcyjnych żołnierzy i zgarniają ich żołd. Dowodzenie i walka są dla nich opłacalne, ale wygrywanie już nie. Bardziej niż wygrać bitwę, opłaca się rozpocząć ją i uciec. To też logiczne, bo jeśli zostaną ranni, muszą radzić sobie sami. Na wschodzie kraju usługi publiczne, takie jak opieka zdrowotna, szpitale, banki żywności i szkoły, świadczą niemal wyłącznie zachodnie organizacje pozarządowe. Państwo istnieje tam tylko w szczątkowej formie.

Pomoc rozwojowa i zachodnie organizacje zdejmują z rządu w Kinszasie ciężar reformowania kraju. Tshisekedi może nocować w szwajcarskim hotelu za 400 tys. franków szwajcarskich, bo o przetrwanie jego obywateli we wschodnich prowincjach martwią się NGOsy.

Na rannych bojowników M23 czeka rwandyjska służba zdrowia, ze szpitalami sponsorowanymi przez państwa arabskie i własnym ubezpieczeniem zdrowotnym dla personelu wojskowego. To dlatego kraj, który jest 90 razy większy i ma prawie osiem razy więcej mieszkańców niż Rwanda, wciąż nie jest w stanie wyprzeć milicji wspieranej przez Rwandę.

Félix Tshisekedi nie byłby sobą, gdyby nie miał niekonwencjonalnego rozwiązania tego problemu: outsourcing.

• Na wschodzie DRK istnieją jeszcze lokalne milicje, które nazywają siebie Maji Maji i Wazalendo (w suahili oznacza to „patrioci”). Armia zaopatruje je w broń do walki z M23. Kiedy i one zostały pokonane przez M23, Tshisekedi sprowadził wojska Wspólnoty Wschodnioafrykańskiej – do której prócz: Burundi, Kenii, Tanzanii, Ugandy, Sudanu Południowego, Somalii i samej DRK, należy... Rwanda. Żołnierze zachowywali się jak „błękitne helmy”, monitorując, negocjując, obserwując i piszac raporty – ale stanowczo odmawiali walki z M23, ponieważ uczyniliby ich to stroną konfliktu.

Tshisekedi wyrzucił ich z kraju i poprosił o pomoc oddziały Południowoafrykańskiej Wspólnoty Rozwoju (na którą, tu znów długa wyliczanka, składają się: Angola, Botswana, Lesotho, Malawi, Mozambik, Tanzania, Zambia, Zimbabwe, Mauritius, Namibia, Seszele i RPA). Największe zainteresowanie wzbudził kontyngent południowoafrykański, bo choć wysłany jako siły pokojowe najwyraźniej miał walczyć.

W lutym kongijskie oddziały ukrywające się za Południowoafrykańczykami ostrze-

■
Pomoc rozwojowa zdejmuje z rządu w Kinszasie ciężar reformowania kraju. Tshisekedi może nocować w szwajcarskim hotelu za 400 tys. franków szwajcarskich, bo o przetrwanie jego obywateli we wschodnich prowincjach martwią się zachodnie organizacje pozarządowe

lały rwandyjskie miasto graniczne Rubavu. Rwanda odpowiedziała ogniem, zginęło 14 Południowoafrykańczyków, a przez RPA przetoczyła się fala oburzenia – najpierw przeciwko Rwandzie, a następnie przeciwko własnemu rządowi, gdy szef armii ujawnił szczegóły rzezi przed komisją parlamentarną. Tshisekediemu nie pomogło też to, że oddziały M23 otoczyły kilkuset rumuńskich najemników, schwytali ich i wywiozły do Rwandy. Na granicy uradowani Rwandyjczycy sfilmowali smartfonami, jak najemnicy idą z podniesionymi rękami do rwandyjskich pograniczników, którzy ich przeszkukują i pakują do autobusów.

Przy okazji wyszło na jaw, że każdy Rumun otrzymywał miesięczny żołd w wysokości kilku tysięcy euro, co wielokrotnie przewyższa wynagrodzenie kongijskiego oficera.

• Nic dziwnego, że w lutym M23 zdobyło Gome, milionowe miasto nad jeziorem Kiwu. To tam przebiegają najważniejsze szlaki handlowe i migracyjne ze środkowego Konga na wschód, kwitną handel przygraniczny i przemysł, cumują statki łączące region z miastami na południowym brzegu Kiwu.

Po drugiej stronie granicy leży Rubavu, lepiej znane pod historyczną nazwą Gisenyi, duże miasto żyjące głównie z handlu przygranicznego. W odwecie Tshisekedi nakazał zamknięcie przejścia granicznego od godziny 15, co drastycznie zmniejszyło obroty handlarzy po obu stronach.

Gdy tylko M23 dotarło do miasta, granica została otwarta do późnych godzin wieczornych. Następnie Tshisekedi niczym Trump nałożył karne cła na cały import z prowincji Kiwu. To uczyniło wywóz rzadkich minerałów i innych cennych zdobyczy ze wschodu przez Kinszase mniej opłacalnym i bardziej skomplikowanym niż transport przez Rwandę.

Urząd celny to też zauważył i odwołał cła Tshisekedięgo. Który z kolei kazał zamknąć banki na terenach zdobytych przez M23. Zwykli ludzie stracili dostęp do swoich pieniędzy i do przekazów z innych części kraju – bo przedsiębiorcy, handlarze, przemysłowicy rozliczają się od dawna za pomocą kont w bankach Ugandy, Burundi i Rwandy. Teraz jeszcze chętniej niż kiedyś, wiążąc wschodnie prowincje coraz mocniej z Rwandą.

• Zachodnie media i eksperci w dużej mierze ignorują tę część historii. Konflikt we wschodnim Kongu nie jest tylko wynikiem rwandyjskiego ekspansjonizmu lub historycznego stosunku elit w Kigali do bojowników Hutu budzących ludobójcze skojarzenia. Jest zakorzeniony w niezdolności establishmentu DRK do rządzenia krajem, do pokojowego porozumienia się między sobą oraz do zreformowania armii i administracji. W taki sposób, aby ich państwo mogło egzekwować swój monopol na przemoc, którą ich własny prezydent sprywatyzował na wschodzie kraju.

Tam ludzie Tshisekedięgo wydają publiczne pieniądze na demobilizację i reinte-

grację rozmaitych milicji i band, które inni jego ludzie w tym samym czasie dozbierają. Skutek: kongijski wschód stał się eldorado dla watażków i zabójców.

Na granicy z Ugandą okopuje się islamiistyczna milicja, atakując ugandyjskie szkoły oraz porwując i zabijając dzieci, więc ugandyjska armia przekroczyła granicę i zajęła strefę buforową. Na granicy z Burundi okopali się rebelianci walczący z burundijskim rządem. Tshisekedi nie może im dać rady, więc pozwolił armii burundijskiej na interwencję. Wtedy rebelianci sprzymierzyli się z M23 i Burundyjczycy się wycofali.

• Rwanda nie chce trwale okupować ani anektować terenów na zachód od jeziora Kiwu. Mit wielkiego imperium, do którego ponoć dążą Tutsi i Ugandyjczycy, istnieje od dziesięcioleci – ale wymyślili go i podsycają nacjonaliści Hutu. Wszystkie wspierane przez Rwandę milicje we wschodnim Kongu do tej pory starały się o to samo: o wcielenie do armii Konga, rozbrowienie bojowników Hutu i pełne prawa obywatelskie dla ludności Banyamulenge. Ale Tshisekedi jest przekonany, że rebelia to spisek jego wewnętrznego politycznego wroga Josepha Kabilii, syna i następcy Laurenta-Desirégo Kabilii. Dlatego stanowczo odmawia bezpośrednich negocjacji z M23, czego domaga się Rwanda.

W dodatku coraz bardziej izoluje się od innych regionalnych przywódców. W niektórych spotkaniach kryzysowych odmówił uczestnictwa, w innych łączył się zdalnie, po czym łączy dotykały nagłe awarie.

Za to niczym Trump nie stroni od osobistych wycieczek pod adresem innych liderów. Kiedy Emmanuel Macron, korzystając z okazji w postaci spotkania Międzynarodowej Organizacji Frankofonii, chciał doprowadzić do spotkania Tshisekedięgo z Kagame, Kongijczyk przyspieszył wylot z Paryża. Tymczasem Kagame pojawia się wszędzie, gdzie tylko może – elokwentny, uprzejmy, choć czasem nieco zgorzkniały.

Co wynika nie tylko z frustrującego zachowania wielkiego sąsiada, ale także z decyzji Rady Bezpieczeństwa ONZ i kilku ważnych sponsorów Rwandy, którzy wstrzymali pomoc rozwojową dla jego kraju, ale stawiają w spokoju Kongo. Mimo że kongijska armia w lutym zbombardowała Rubavu, zwabiła południowoafrykańskich żołnierzy w pułapkę, toleruje zbrojne grupy z całego świata w prowincjach Kiwu i Ituri oraz dystrybuuje broń wśród watażków poszukiwanych jako zbrodniarze wojenni i figurujących na amerykańskiej liście sankcji. Ten podwójny standard stosują te same rządy europejskie, które wzywają USA do wywierania równej presji na obie strony wojny w Ukrainie i sprzeciwiają się wykluczeniu innych zaangażowanych państw z negocjacji.

Światelkiem w tunelu zdają się zapowiedziane bezpośrednie rozmowy między rządem w Kinszasie i M23 – ale nie załatwiły ich ONZ, UE ani USA, lecz rząd Angoli. I to bez groźnienia sankcjami. ●



Klaus Bachmann

• ur. w 1963 r., dziennikarz, publicysta, historyk, politolog, wykładowca Uniwersytetu SWPS. Autor m.in. książki „Genocidal Empires. German Colonialism in Africa and the Third Reich” i pierwszej angielskojęzycznej historii Rwandy („A History of Rwanda. From the Monarchy to Post-genocidal Justice”). W kwietniu nakładem wydawnictwa Routledge ukaże się „The Rwandan Genocide in a comparative perspective”.

Nowa geopolityka

CZY USA NAPRAWDĘ JUŻ NIE POTRZEBUJĄ
SOJUSZNIKÓW?

Odpowiada człowiek, który ukuł termin soft power.

Mladen Gladić

WELT

Joseph S. Nye to m.in. autor terminu „soft power”, dzięki której Ameryka stała się po zakończeniu zimnej wojny jedynym globalnym supermocarstwem. W amerykańskiej polityce ery Donalda Trumpa nie ma już nic miękkiego. Nye jednak odradza pesymizm. Dziś 88-latek, przez dekady jeden z najbardziej wpływowych politologów w USA, wykładowca na Harvardzie od 1964 r., w latach 1977-79 przewodniczył panelowi ekspertów ds. nierozprzestrzeniania broni jądrowej przy Departamencie Stanu, potem był przewodniczącym Narodowej Rady Wywiadu i zastępcą sekretarza obrony za rządów Billa Clintona.



Na początku tego wieku opublikował pan książkę „Amerykański paradoks. Dlaczego supermocarstwo potrzebuje sojuszników”. Wtedy Stany Zjednoczone były faktycznie jedynym światowym supermocarstwem. A dziś?

– Nadal dysponują większą zdolnością do użycia siły militarnej na całym świecie niż jakikolwiek inny kraj. Ale z ekonomicznego punktu widzenia, gdy Amerykanie, Chińczycy i Europejczycy działają w zwarty, skoordynowany sposób, pozostają na równych prawach. W skrócie: na poziomie militarnym nadal istnieją elementy jednobiegowości, ale gospodarczo wyraźnie żyjemy w świecie wielobiegowym. A w polityce, w tym zwłaszcza w polityce międzynarodowej, władza jest już bardzo rozproszona.

Stale rośnie rola średnich mocarstw, a także międzynarodowych korporacji. Jeśli pomyślimy o tym jak o grze w szachy, to plansza ma dziś charakter trójwymiarowy – i jej poszczególne poziomy bardzo się różnią. Jakakolwiek jednoznaczna odpowiedź na pana pytanie byłaby więc błędna.

W 2025 r. amerykańska administracja raczej nie zamierza poszukiwać sojuszników. Ale czy faktycznie ich nie potrzebują?
– Inaczej uważa nadal większość Amerykanów, jeśli wierzyć badaniom opinii publicznej. A już na pewno takie przekonanie nie dotyczy wyborców Partii Demokratycznej czy tradycjonalistycznych Republikanów. Donald Trump wy-



• Amerykański fast food w stolicy Jordanii, Ammanie
FOT. SERGI REBOREDO/GETTY IMAGES

chodzi z założenia, że Ameryka nie musi dbać o sojusze, reszta Ameryki – niekoniecznie.

We wrześniu 2023 napisał pan, że każdy, kto wierzy, że Ameryka nie ma ważnego interesu narodowego w pomaganiu Ukrainie, ma klapki na oczach i nie powinien kandydować na prezydenta. Okazało się, że wybory wygrał człowiek z ograniczonym horyzontem.

– Problem polega na tym, że Trump nie ma głowy do niuansów historii. To człowiek bez ideologii. Albo lepiej: człowiek, który wierzy w coś, co można nazwać personalizmem, z tym że jest to dość wulgarny wariant tego starego nurtu w filozofii. Narcyzi nie mają dobrego wyuczucia rzeczywistości, w której żyją, ani historii, która ukształtowała tę rzeczywistość, ponieważ oceniają wszystko przez pryzmat wpływu własnego ego na otoczenie.

Czy w takim razie np. NATO będzie nadal istnieć za dziesięć lat?

– Trump mógłby rzeczywiście wycofać się z NATO lub radykalnie zmniejszyć zaangażowanie USA w ten sojusz. W tym sensie jest faktycznie nie do końca przewidywalny, impulsywny. Ale jeśli spojrzeć na sondaże opinii publicznej w USA, poparcie dla NATO jest duże. I spodziewałbym się, że następna ad-

ministracja wyłoniona po wyborach w 2028 r. przywróciłaby to, co Trump unieważnił lub osłabił.

Republikański nurt spod znaku Make America Great Again pozbawiony wpływów po 2028 roku – czy to nie jest zbyt optymistyczne założenie?

– To, co zawarłem w finale mojej ostatniej książki na temat optymizmu i pesymizmu, nadal ma tu zastosowanie: jest we mnie tłąca się iskierka ostrożnego optymizmu. Wcale nie twierdzę, że „wszystko będzie dobrze” i jakoś się ułoży. Ale pesymizm jest błędnym podejściem do życia i działania.

Wspomina pan w tej autobiograficznej książce – „A Life in the American Century” – odbyte podczas pierwszej kadencji Trumpa spotkanie z sekretarzem generalnym ONZ w latach 2007-16, Ban Ki-moonem. Powiedział mu pan wtedy, że Trump jest jak poważny, ale jednak nie śmiertelny wypadek drogowy. Nadal pan tak uważa?

– Nadal powiedziałbym, że mogłoby być gorzej, chociaż myślę, że ilość szkód szybko wzrasta.

Trump nie jest pierwszym prezydentem w historii USA, który ma tendencje silnie izolacjonistyczne. Ale sęk w tym, że zdobył władzę po długich deka-

dach – datujących się od kadencji Franklina D. Roosevelta i Harry’ego Trumana – podczas których liberalny porządek międzynarodowy cieszył się niezmiennie szerokim poparciem elit politycznych w USA.

– Opinia publiczna w USA, badana szczegółowo co dwa lata przez Chicago Council on World Affairs, jest od dawna w okolicy jednej trzeciej izolacjonistyczna. Jest tak, z niewielkimi wahaniami, od czasu rozpoczęcia tych badań w 1974 r. Ci ludzie istnieją w Ameryce od zawsze. Trump był w stanie ich zmobilizować. Ponieważ uzyskał absolutną kontrolę nad Partią Republikańską, może pociągnąć ją całą w tym kierunku.

Ale świadomi własnej tradycji Republikanie wcale nie podążają ślepo za tym izolacjonizmem. Ciekawie będzie teraz obserwować, czy partia – mając w perspektywie wybory do Kongresu za półtora roku – będzie podążać ścieżką, którą Trump jej narzuca, czy też powróci do swoich bardziej tradycyjnych pozycji. Szczerze mówiąc, nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

Urodził się pan w 1937 r., czyli u zarania tego, co z czasem nazwano „amerykańskim studium”. Jak kiedyś będziemy nazywać obecne czasy?

– Ja myślę, że Ameryka nadal jest numerem jeden. Ale dystans do nu-

meru dwa zdecydowanie się zmniejszył. Nie jesteśmy już tak dominujący, co może wskazywać na trwałą erozję. I na pewno Trump tę erozję przyspiesza.

Kiedy mówi się o zmierzchu i upadku mocarstw, zwykle przywołuje się los starożytnego Rzymu. Pan też często to robi.

– Rzymska potęga osiągnęła swój zenit za panowania cesarza Trajana, który zmarł w 117 roku po podbiciu Dacji, czyli terenów dzisiejszej Rumunii. Ale całkowity upadek Rzymu nastąpił dopiero po kolejnych ponad 300 latach – więc kiedy imperium zostawia za sobą szczyt swej potęgi, nie oznacza to wcale, że jego upadek jest rychły i nieuchronny.

Jednak porównanie z Rzymem jest o tyle pozytywne, że zmusza nas do zdania sobie sprawy, że rzymska potęga nie była tylko potęgą twardą, militarną. Opierała się na legionach, ale przede wszystkim na swojej miękkiej sile, która wynikała z niebywalej atrakcyjności rzymskiej kultury. Po podbiciu różnych niezależnych organizacji państwowych w basenie Morza Śródziemnego wielu ich mieszkańcom zaoferowano status obywateli rzymskich – i wielu tego chciało.

Co prowadzi nas do terminu, który pan ukuł i który zrobił

wielką karierę: soft power. Co dokładnie się na nią składa?

– Władza to zdolność do nakłaniania innych do robienia tego, czego chcemy. Można to zrobić na trzy sposoby: poprzez przymus, zapłatę lub przyciąganie. Soft power to zdolność do uzyskania tego, czego się chce, właśnie poprzez przyciąganie, a nie przymus lub zapłatę. Władza osiąga maksymalny zakres, gdy jest w stanie płynnie łączyć wszystkie trzy formy wywierania presji. I to właśnie określam innym terminem: „smart power”.

W pana autobiografii czytam anegdotę o tym, jak pewnego razu spóźnił się pan na londyńskie warsztaty na temat cyberpolityki, które miał pan prowadzić. Spóźnienie zostało spowodowane przez spotkanie z królową, która zapraszając pana do jej konnego powozu reprezentacyjnego, zauważyła: „Lekkie spóźnienie bywa dobre, uwypukla soft power”.

– Niezależnie od dowcipu królowej istnieją różne polityczne źródła przyciągania. W polityce wewnętrznej soft power pochodzi z wysokiej kultury politycznej i od silnego społeczeństwa obywatelskiego, a na arenie międzynarodowej – z powszechnej legitymizacji polityki zagranicznej.

Ważnym źródłem – i narzędziem – amerykańskiej miękkiej siły była Amerykańska Agencja Rozwoju Międzynarodowego (USAID). Nowy quasi-departament DOGE pod wodzą Elona Muska błyskawicznie zmniejszył liczbę pracowników tej agencji z 10 tys. do mniej niż 300.

– Wielki błąd. Jak na ironię, USAID nie kosztował nas wiele, a dawał wielkie korzyści. Ale integralnym elementem ideologii MAGA jest bycie przeciwko wszelkiej pomocy finansowej dla zagranicy. Nawet jeśli stanowi ona mniej niż jeden procent budżetu federalnego.

Jak popularny jest Musk i jego zespół ds. „efektywności rządu”?

– W tej chwili to, co administracja Trumpa robi z personelem federalnym, przemawia do jednej trzeciej populacji – izolacjonistów. Jeśli ktoś uważa, że w rządzie jest dużo marnotrawstwa, oszustw i nadużyć – jak twierdzą Trump z Muskiem, odwołując się do populistycznych mitów – ten popiera DOGE. Ale każdy, co szczegółowo przyjrzy się temu, co i jak jest robione z rządowymi agencjami, musi już widzieć, jak maleje poparcie dla tych skandalicznych działań. Przewiduję, że Musk zostanie z czasem zmarginalizowany. Może nadal będzie blisko Trumpa za cztery lata, ale nie będzie już tak potężny jak obecnie.

Jakiej rady udzieliłby pan Europejczykom, którzy to obserwują?

– Europejski krytyk Trumpa powinien otwarcie wyrażać sensowną krytykę. Powinien jednak zarazem cały czas dokonywać rozróżnienia między Trumpem a Ameryką. Będziemy teraz przechodzić przez trudne czasy. Ale w dłuższej perspektywie nie mogą sobie obrazić dwóch regionów świata o bardziej wspólnych wartościach niż Europa i Ameryka. ●

Inny Vance

Kuzyn wiceprezydenta USA był ochotnikiem w Ukrainie

Pochodzący z Teksasu Nate Vance w Ukrainie spędził trzy lata, z czego dwa i pół roku walcząc na froncie. Dziś jest załamany postawą swojego kuzyna. „Mógł do mnie zadzwonić, powiedziałbym mu prawdę o tej wojnie”.

Stanislas Poyet



Kiedy Nate usłyszał, jak jego kuzyn, wiceprezydent USA J.D. Vance, zaatakował ukraińskiego prezydenta Wołodymyra Zelenskiego w Gabiniecie Ovalnym Białego Domu, wpadł w furję. A usłyszał z pewnym opóźnieniem, bo aktualnie jeździ swoim kamperem po amerykańskim środkowym zachodzie – to jego forma odpoczynku po powrocie z Ukrainy w styczniu tego roku. 47-letni Nate Vance mówi, że zawiódł się na swoim młodszym o kilka lat kuzynie, którego działań dotąd zawsze bronił.

„J.D. to dobry, inteligentny facet”, mówi Nate. „Kiedy w kampanii krytykował pomoc dla Ukrainy, tłumaczyłem sobie, że to dlatego, że musiał zadowolić pewien elektorat i że była to tylko polityczna gra. Ale to, co razem z prezydentem zgotował Zelenskiemu w Gabiniecie Ovalnym, było już ordynarną zasadzką, spektaklem przeprowadzonym w absolutnie złej wierze”.

Nate i J.D. mają wspólnych dziadków: matka wiceprezydenta, Beverly, jest siostrą ojca Nate’a, Jamesa. Jako chłopcy obaj regularnie spędzali razem wakacje w Middletown w stanie Ohio lub w Kalifornii, gdzie krótko mieszkała rodzina Nate’a. Kariera J.D. Vance’a nabrała rozpędu w 2016 r., kiedy opublikował książkę „Hillbilly Elegy”, w której opisał swoje chaotyczne dzieciństwo „białego chłopca” z Appalachów. W 2023 r. został wybrany na senatora z Ohio, potem – mimo wcześniejszej krytyki formułowanej pod adresem Trumpa – został przez niego wytypowany na running mate, wspólnie zdobyli Biały Dom w wyborach w 2024 r. W tym samym czasie Nate Vance był w Ukrainie, gdzie w błotnistych okopach walczył z Rosjanami.

„J.D., jesteś moją rodziną, ale to nie znaczy, że zamierzam zaakceptować fakt, że przez ciebie giną moi towarzysze” – mówi dziś Nate Vance. Potrafi też wyczerpująco i metodycznie zbijać argumenty kuzyna, podkreślając korzyści, jakie USA już odniosły z zaangażowania w wojnę po stronie Ukrainy, także z militarne go punktu widzenia, np. poprzez sprawdzenie amerykańskiego sprzętu na wschodnioeuropejskiej linii frontu.

„Kiedy J.D. uzasadnił swoją nieufność wobec Zelenskiego ‘raportami’, które rzekomo widział, myślałem, że spalę się ze wstydu” – mówi. „On czerpie wiedzę o tej wojnie z TikToka, a przecież jego własny kuzyn był na pierwszej linii frontu.

Mogłem powiedzieć mu, jak tam jest naprawdę, jasno i prosto, bez żadnych ukrytych celów. Ale on nigdy nie próbował dowiedzieć się o tym więcej i z pierwszej ręki”.

Mimo to Nate kilkakrotnie próbował skontaktować się z kuzynem. „Nawiązanie kontaktu z senatorem będąc w Ukrainie okazało się jednak nielatywne” – przyznaje. „Zostawiałem kolejne wiadomości w jego biurze. Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi”.

„Historia działa się na moich oczach. Chciałem być jej częścią”

Historia ochotniczej służby Nate’a Vance’a opowiada w pewnym sensie całą historię tej kampanii. Teksańczyk brał udział w najbardziej krwawych bitwach wojny: Kupiańsk, Bachmut, Awdijiwka, Pokrowsk. Na nielicznych zdjęciach z trzech lat spędzonych w Ukrainie na twarzy Nate’a zawsze widać dyskretną pewność siebie zawodowego żołnierza. Wygląda dokładnie tak, jak jego ukraińscy towarzysze broni.

Donald Trump i mój kuzyn najwyraźniej myślą, że uda im się ugłaskać i jakoś poskromić Władimira Putina. Mylą się. Rosjanie raczej tego nie docenią, mają swoje niezmiennie cele. A my, Amerykanie, skończymy jako pożyteczni idioci Kremla

Nate po kolejnej turze na froncie powrócił do kraju, na kilka dni przed inauguracją swojego kuzyna na wiceprezydenta.

Do tego czasu ukrywał swoje pokrewieństwo z politykiem, ale to – jak mówi – „stawało się już zbyt skomplikowane”. „Nie mogłem dłużej ryzykować, że zostanę schwytyany i wykorzystany politycznie przez Kreml”.

Dlaczego Nate Vance w ogóle wpadł na pomysł, by zaciągnąć się do batalionu ukraińskich ochotników? Spędził wprawdzie cztery lata w amerykańskiej piechocie morskiej, ale to było 20 lat temu. Od 2001 do 2022 r. prowadził spokojne życie przeciętnego Amerykanina z San Antonio w Teksasie, pnać się po szczeblach kariery w firmie naftowej. Historia jego aktywności w mediach społecznościowych odzwierciedla jego generalnie republikańskie przekonania, a przy okazji także zamiłowanie do polowań i strzelectwa sportowego.

Kiedy w 2022 r. wybuchła wojna, Nate szybko zrozumiał, że ten konflikt różni się od innych. „Chciałem to zobaczyć – najpierw z ciekawości i dla przygody. Nie jestem dziś dumny z tych pierwszych motywacji, ale taka jest prawda”. W marcu 2022, trzy tygodnie po rozpoczęciu inwazji, Nate udał się do Lwowa, który stał się hubem międzynarodowej pomocy humanitarnej w pierwszych miesiącach wojny. „Chciałem w ja-

kiś sposób pomóc, w logistyce lub wsparciu medycznym. Widziałem, że historia pisze się na moich oczach i chciałem być jej częścią”.

Pewnego ranka w hotelu Nate, w końcu były żołnierz marines, spotkał brytyjskiego wolontariusza, który szukał obcokrajowców z doświadczeniem wojskowym. Wtedy każdego tygodnia ukraińska armia rekrutowała tysiące nowych chętnych, którzy jednak musieli zostać przeszkoleni przed wysłaniem ich na linię frontu. „Szukali każdego, kto kiedykolwiek trzymał broń w rękach. To było bardzo podstawowe szkolenie”.

Pod jego kierunkiem obsługi broni ręcznej uczyli się robotnicy, barmani i nauczyciele, kurs trwał tylko tydzień. „Wielu z tych ochotników było bardzo młodych, prawie dzieci. To było przerażające” – wspomina Nate. Kiedy więc grupa szczególnie zmotywowanych młodych ochotników zaproponowała mu wyjazd na front, Nate się zgodził. Najpierw wrócił do USA na kilka tygodni, żeby uregu-

lować swoje sprawy, ale w czerwcu 2022 był już w Donbasie we wschodniej Ukrainie, w samym oku cyklonu.

Błoto, krew, śmierć. „Trzeba wyłączyć sumienie”

„Był znacznie starszy od nas, nawet starszy od większości innych zagranicznych ochotników”, mówi Dima, który walczył z Nate’em w batalionie o nazwie »Da Vinci Wolves«, od przydomka założyciela jednostki. „Pierwszego dnia poszliśmy na strzelnicę. Wziął prostego kałasznikowa i ustawił się 800 metrów od celu. Kiedy trafił w metalowy cel pięć razy z rzędu, nikt już nie robił głupich docinków”.

Wieczorem oficerowie jednostki spotkali się, aby zaplanować nadchodzącą operację. „Porucznik wymieniał nasze potrzeby sprzętowe. Dowódca przerwał mu: – Potrzebuję tylko Nate’a i jego kałasza. W ten sposób Nate do stał się do grupy na dobre” – dodaje inny z jego towarzyszy.

Nate szybko dołączył do Honor, grupy ukraińskich nacjonalistów, która była na linii frontu już w 2014 r., podczas rewolucji na Majdanie. „Niektórzy byli jeszcze dziećmi. Ale mieli w sobie gniew i siłę. Inni – prawnicy, profesorowie, inżynierowie – zostawili wszystko, by bronić swojej ojczyzny” – mówi Nate.

Pomimo początkowej bariery językowej, Nate przyczynił się

do profesjonalizacji tej ochotniczej jednostki, która wtedy nie była jeszcze formalnie włączona do regularnej armii. „To była bardziej milicja niż wojsko, grupa obywateli, którzy organizują się i wyposażają, by bronić swojego kraju” – wspomina.

„Prawdziwą różnicą między milicją a profesjonalną jednostką jest skuteczność komunikacji. I nad tym właśnie pracowaliśmy”. Niewielu żołnierzy w jednostce mówiło po angielsku, ale Nate’a wsparł „Alf”, w cywilu inżynier elektrowni atomowej, który płynnie mówił po angielsku – razem stanowili nierozłączny duet.

Jednostka ewoluowała. Początkowo Wilki Da Vinci wspierały pułk logistyczny, z czasem otrzymywały coraz bardziej wymagające zadania. „Teraz jesteśmy regularną jednostką szturmową” – mówi Serhii Filimonow, obecny dowódca batalionu.

„Muszę przyznać, że to nie to samo, co moja służba w US Marine Corps w Europie” – mówi Nate. Okopy to śmierć, błoto i krew, zarówno poległych towarzyszy, jak i zabitych wrogów. „Zabijanie nie jest łatwe, nawet po dwóch latach na froncie. Ale tej konieczności nie da się kwestionować. Oddzielasz swoje sumienie od zadania do wykonania. Nie myślisz o tym”.

„Nate to urodzony żołnierz, o niezwykłym opanowaniu”, mówi Filimonow, obecny dowódca batalionu. W swojej aktualnej kwaterze w pobliżu Pokrowska, gdzie jego jednostka chroni południową flankę atakowanego przez Rosjan miasta, 30-letni Filimonow próbuje policzyć, ile razy był przekonany, że zginie u boku Nate’a Vance’a. „Z piętnaście razy powinniśmy byli zginąć. Ale piętnaście razy nam się udało”, mówi z zaważającym uśmiechem. Serhii zapamiętał zwłaszcza okop w pobliżu Bachmutu, w którym w 2023 r obaj zostali uwięzieni na wiele godzin pod metodycznym ostrzałem rosyjskiej artylerii. „Było tak słabo, że nawet się ze sobą pożegnaliśmy”.

Teraz Nate szuka wydawcy, który wydrukowałby jego wspomnienia z Ukrainy. „Skoro już nie walczę na froncie, chciałbym kontynuować obronę Ukrainy w inny sposób, ona naprawdę tego potrzebuje” – mówi.

Jako zarejestrowany republikanin Nate jest teraz w konflikcie z wieloma ludźmi, z którymi kiedyś zgadzał się w kwestiach politycznych – nawet we własnej rodzinie. Np. jego matka Donna na Facebooku regularnie powiela antyukraińską retorykę J.D. Vance’a.

Nate Vance ma jednak niezachwianą wiarę w swoją słuszność, gdy potępia ostatnie chaotyczne wołty w polityce USA wobec Ukrainy i Rosji. „Donald Trump i mój kuzyn najwyraźniej myślą, że uda im się ugłaskać i jakoś poskromić Władimira Putina. Mylą się. Rosjanie raczej tego nie docenią, mają swoje niezmiennie cele. A my, Amerykanie, skończymy jako pożyteczni idioci Kremla”. ●



**Całe życie próbowałem
być niezależny. Nie da się**

Z JANEM ENGLERTEM
ROZMAWIA PIOTR GUSZKOWSKI

*Tylko kretyn
w takim wieku
może się
trzymać burty*

PIOTR GUSZKOWSKI: Mówi pan, że nie boi się śmierci.

JAN ENGLERT: Jak można się bać czegoś, co jest nieuniknione? Umierania się boję. Po takim burzliwym życiu jak moje nie wyobrażam sobie siebie pasywnego. A jeszcze zależnego od kogoś? To już w ogóle! Żeby mnie musiał karmić, podcierać, na spacer wyprowadzać. Nie chcę być ciężarem.

Na razie lakier i blacha u mnie jeszcze w porządku, ale silnik nie pracuje jak dawniej, nie każda uszczelka szczelna. Na szczęście głowa sprawna, nogi też. Gram w tenisa, uczę i będę uczył, dopóki będą mnie w Akademii Teatralnej chcieli. Jak w tym dowcipie. Przychodzi śmierć, puka do drzwi i słyszy: „Za-raz, jestem zajęty”. „A to przepraszam, przyjdę później”. Trzeba być zajęтым. Jak człowiek jest zajęty, to i śmierć zaczeka.

Myśli pan czasem, co po panu zostanie?

– To zabrzmi okropnie, bo pomnikowo, ale to pułapka takich rozmów, przy których trudno uniknąć budowania mitu. Jeśli coś miałyby mi dać poczucie nieśmiertelności, to nie role. Co innego uczenie.

W tej sztafecie pokoleń zupełnie bezinteresownie przekazujemy coś, co sami otrzymaliśmy. Prawda jest taka, że niczego, co wiem, nie wymyśliłem, powtarzam to bez kokieterii.

Całe moje życiowe mądrości i zawodowe umiejętności są efektem tego, co dostałem w prezencie,

pożyczyłem albo ukradłem moim mistrzom. Lepszym ode mnie, których na swojej drodze szukałem.

A teraz, jak rozumiem, sam daje się pan okradać.
– Z przyjemnością na dodatek. Nie przynosi to profitów, najwyżej piękne wspomnienia i trochę szacunku. Żadna Galatea nie pamięta, ile zawdzięcza Pigmalionowi.

Więcej niż połowa aktorów w Teatrze Narodowym to moi byli studenci. Nie chodzi o to, jacy są wybitni czy czego ich nauczyłem. Najważniejsza jest umiejętność pracy w zespole. Nawet Robert Lewandowski ma świadomość, że jeśli trafi do kiepskiej

drużyny albo do takiej, gdzie go nie lubią, nie strzeli tylu bramek. Drużyna potrzebuje trenera, który zna zawodników, ale musi być też dobrze ułożona. Są ci, którzy zbierają nagrody, ci, którzy na te nagrody pracują, i ci, którym sprawia frajdę już to, że mogą ich podejrzec. Mówi się, że nie ma dziś autorytetów, nie ma mistrzów. Ale to odwrócenie kota ogonem.

W jakim sensie?

– To nie mistrz ogłasza siebie mistrzem, tylko cze-ladnicy go stwarzają. To uczniowie mają ulubionych profesorów, a nie profesor ulubionych uczniów, bo wtedy jest złym profesorem. Nie rozu-



FOT. MATUŚ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Jan Englert

- ur. w 1943 r. w Warszawie, aktor, reżyser, pedagog. Od 2003 r. dyrektor artystyczny Teatru Narodowego. W latach 1987-93 i 1996-2002 rektor Akademii Teatralnej w Warszawie. Zadebiutował jako trzynastolatek w filmie „Kanał” (1956) Andrzeja Wajdy. Od 60 lat na scenie. Ma na koncie setki ról teatralnych, filmowych ale też serialowych. Przed Narodowym był związany z teatrami Polskim i Współczesnym.

- Film „Skrzyżowanie” z Janem Englertem w roli głównej w kinach od 28 marca.

- Premiera „Hamleta” w reżyserii Jana Englerta 12 kwietnia w Teatrze Narodowym w Warszawie.

miem pretensji moich koleżanek i kolegów, że młodzież przychodząca do szkoły teatralnej nie słyszała nigdy o Gustawie Holoubku ani Tadeuszu Łomnickim. Mnie pytano na egzaminach wstępnych o Kazimierza Junoszę-Stępowskiego. Nie wiedziałem nic.

A o Englercie słyszeli?

– Taka sytuacja sprzed paru lat. Mieliśmy w Mrągowie pierwszy po pandemii tenisowy turniej aktorów. Tłumy ludzi. Kierownik sali podszedł do mnie i mówi: „Panie Janku, strasznie mi przykro. Wyrażnie instruowałem obsługę, żeby pan nie stał w kolejce. Ale to sami młodzi ludzie. Wie pan, że nikt pana nie zna?”.

Zdziwił się bardzo, że mnie to śmieszy. A mnie to śmieszy, bo mam świadomość, że pogubiliśmy się w gonitwie zdarzeń. Czas przeżywania triumfu bardzo się skrócił. Porażki zresztą też.

Dlatego w całym tym moim odchodzeniu z Teatru Narodowego nie martwię się zupełnie o siebie. O zespół się martwię. Wielu z tych aktorów i aktorów uczyłem, towarzyszyłem im w karierze, pilnowałem, żeby się rozwijali. Wzruszam się, kiedy w Akademii Teatralnej zrobię egzamin, który wydawał się niewykonalny, a oni odkrywają dla siebie coś nowego. To dla mnie najbardziej satysfakcjonujące. W szkole nie jestem z tego rozliczany.

Co innego w teatrze. Czytuje pan recenzje?

– Nie lubię krytyków z jednego powodu. To, co piszą, zostaje. A to, co ja robię – nie. Za 30, 40 lat ktoś będzie chciał się czegoś o mnie dowiedzieć i przeczyta te bardzo subiektywne, uczciwe albo nie, ale niekoniecznie zgodne z prawdą opisy mojej pracy albo mnie samego. Krytycy potrafią bezceremonialnie zniszczyć przedstawienie. Człowieka też.

Ja akurat jestem tolerancyjny. Ogromnie łatwo się na tolerancję zdobyć, kiedy się nam wiedzie. Dlatego wybaczam. Ale pamiętam, kiedy po szkole pięć lat trzymałem halabardę – wtedy nie wybaczałem. Wątroba boli, jak nam się nie wiedzie.

Pan miał parę takich momentów w swojej karierze.

– Jak mi po szkole nie szło w zawodzie, to napisałem scenariusz. Spodobał się bardzo Zdzisławowi Skowrońskiemu, kierownikowi literackiemu studia Iluzjon. Zaproсили mnie na spotkanie. Wtedy Jerzy Antczak powiedział do mnie: „Pan ma świetnie warunki, pan powinien być aktorem”. „Proszę pana, jestem aktorem, w tym cały problem”. Realizację tamtego scenariusza utracił Janusz Wilhelm, wiceminister odpowiedzialny za kinematografię, ale Antczak dał mi jedną rolę, potem drugą i jakoś poszło.

Jak po zawodzie byłem bez grosza, musiałem sobie zorganizować jakąś pracę, więc znów napisałem scenariusz. Nawet dwa: „Wielką wyspę” i „Szczura”.

Powtarza pan, że zawód aktora teatralnego to jętka jednodniówka.

– Mam pełną świadomość, że uprawiam zawód ulotny. Trwa tyle, ile pamięć widza. Jakby pan teraz powiedział: „Pan się mądrzy, panie Englert, ale pan nie jest dobrym aktorem” – to nie mam żadnego kontrargumentu. Mogę najwyżej się bronić, że są tacy, którym się moje granie podoba, więc wołałbym, jakby pan powiedział: „Nie lubię pana jako aktora”. Wtedy to już zupełnie leżę.

I to jest straszne w tym zawodzie. Suma tego, czy nas lubią, czy nie lubią – szanują czy nie szanują – która wynika czasem z przypadku. Teatr istnieje tylko w teraźniejszości albo legendzie. Niedoceniony za życia malarz może zostać odkryty po latach, podobnie z muzykiem czy pisarzem. A aktor teatralny? Ale mam coś, czego nie ma ani żaden malarz, ani pisarz: natychmiastowy odzew odbiorcy.

Można się uzależnić?

– I to jak! Dlaczego aktorzy, którzy za jeden dzień zdjęciowy na planie dostają tyle, co miesięczna pensja, tak się teatru trzymają? Aktorstwo teatralne daje władzę, mickiewiczowski rząd dusz. Nie nad całą salą, nad kilkudziesięcioma, może kilkoma osobami. Na te dwie, trzy godziny spektaklu, dopóki kurtyna nie opadnie, a ludzie nie rozejdą się do domów. Jeśli ktoś doświadczył tej władzy, to jest stracony. To jest rodzaj narkotyku. Dlatego tak trudno się z teatru wyzwolić.

Zamykając temat jętki jednodniówki, jest fantastyczny tekst u Szekspira w „Makbecie”, który nawiązuje pośrednio do tego, o czym rozmawiamy: „Życie jest jedynie przelotnym cieniem: żalonym aktorem, co przez dwie godziny puszy się i miota na scenie, po czym znika; jak opowieść idioty, pełną wrzasku i wściekłości, a nieznaczącą nic”.

Na czym polega geniusz Szekspira, z którym obcuje teraz na nowo? Potrafił w kilku zdaniach zawrzeć wszystko, o czym my rozmawiamy od godziny. To jest sztuka formułowania myśli, ubierania jej w słowa. Krótko mówiąc: sztuka dialogu. Ta sztuka zamiera. Pierwsze, czego uczyć młodych, to tego, żeby słuchali, co mówi partner. Potrafisz powtórzyć jego ostatnie słowa? Zero, nic. Skupienie na sobie jest straszne. To efekt rozmawiania z całym światem.

Ma pan na myśli internet?

– Pan pewnie wie, że nie mam nawet e-maila.

To już chyba wszyscy w Polsce wiedzą.

– Z początku trochę się nawet wstydziłem. Nie chciałem w tym jednak uczestniczyć, bo nie mogłem się pozbyć przeczcucia, że to jest początek końca. Wszystko się wywróciło do góry nogami, zwalone są hierarchie, straciliśmy punkt odniesienia. Wszędzie tylko „ja”, „ja”, „ja”. Internet równa głupich z mądrymi, dziś wszyscy mamy ten sam dostęp do wiedzy. Ale badania pokazują, że jesteśmy skłonni uznać za prawdziwe te informacje, które potwierdzają nasze zdanie, pozostają w zgodzie z naszymi przekonaniami czy gustem. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że ci, którzy mogliby być jakimiś liderami, schodzą do poziomu większości. W ten sposób jakoś zaczyna przegrywać z ilością. Najsmutniejsze, że dotyka to również kultury.

Holoubek powiedział, że najbardziej boi się ludzi małych. Dożyliśmy czasów, kiedy rządzi nami i dyk-

tuje nam gust miernota. To nie jest obraźliwe określenie dla prostego człowieka, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Tylko dla tych, którzy uważają, że niesłusznie nie odnieśli sukcesu, niesłusznie nie zostali docenieni – a umiejętności nie mają za grosz.

Brzmieć pewnie jak dziaders. Trudno, jestem dziadersem z wyboru.

Mam wrażenie, że pan się tak przedstawia na wy-padek, gdyby ktoś użył tego słowa przeciwko panu.

– Zawsze lepiej uprzedzić cios. Ale proszę nie zapominać, że ja już 45 lat uczę. W tym zawodzie nie chodzi tylko o zachowanie prawidłowego metrum – to by było zbyt proste. Chodzi o odkrywanie siebie. Pedagog musi być psychologiem, który rozumie, że z każdym trzeba rozmawiać inaczej. Uczenie chroni mnie przed tym dziaderstwem, bo nieustannie muszę zmieniać narzędzia. Także jako reżyser.

W tej chwili mam tylko jeden podział, jeśli chodzi o ludzi. Na wrażliwych i niewrażliwych, na cynicznych i tych, którzy nawet jeśli robią coś złego, mają tego świadomość. Moje pokolenie wychowywało się na wstydzie. Grzeszyliśmy, ale przynajmniej się tym nie chwaliiliśmy. Dziś na wszystko mamy usprawiedliwienie, działamy rzekomo dla czegoś dobrego, a tak naprawdę własnego. Dlatego moja definicja patriotyzmu to praca organiczna dla ojczyzny, a nie budowanie pomników czy machanie sztandarami. Najlepiej ujął to Fredro: „Dziwna rzecz, im mniej wielkich ludzi, tym więcej pomników i medali”. W tych słowach zamyka się to, w czym w ostatnich latach się kąpiemy. Pomniki, medale, rozdawnictwo, sprawiedliwość na uprząży zależy od tego, kto prowadzi wóz. Podzieleni jesteśmy w kwestiach wartości.

Nawet inaczej rozumiemy słowa.

– Mylimy kompromis z konformizmem. Nie mogę już słuchać tego gadania: „zgnily kompromis”, „nie wolno nam iść na kompromisy”. Na Boga, bez kompromisów się nie zrobi nic: ani w życiu prywatnym, ani publicznym. Tyle że my mylimy kompromis z konformizmem. Nie można nazywać kompromisem czegoś, co służy tylko mnie, a nie sprawie. To jest właśnie konformizm. Bardzo trudno odróżnić jedno od drugiego. Oczywiście są granice kompromisu.

Dla pana jakie to granice?

– Całe życie próbowałem być niezależny. Nie da się być niezależnym, to mogę panu z pełną świadomością powiedzieć po sześćdziesięciu latach pracy. Nie da. Bo jak się uprawia publiczny zawód, a już na pewno sprawuje funkcje kierownicze, to trzeba się nauczyć rezygnować ze swoich rzeczy. Sam się pan przekona, kiedy zostanie naczelnym.

Obawiam się, że nie mam takich ambicji.

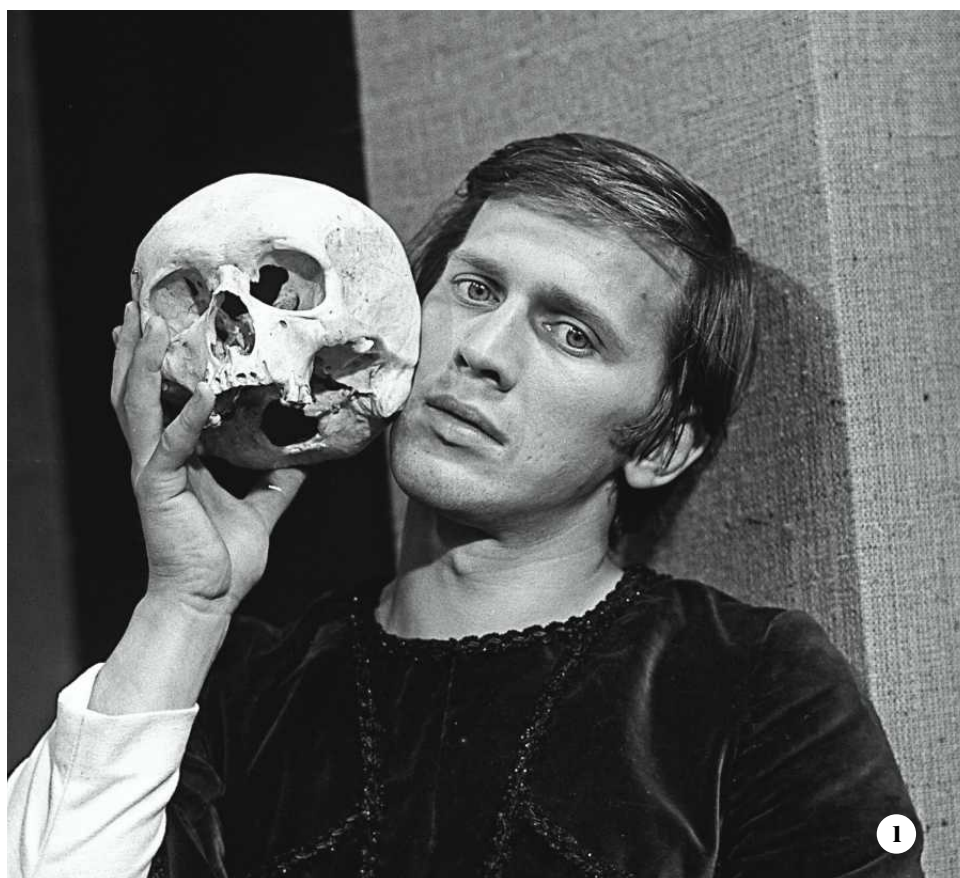
– Tak się tylko mówi. Za chwilę kończę dyrektorowanie i ze zdumieniem autentycznym, proszę mi powiedzieć, próbuję się odnaleźć w sytuacji, w której odpowiadam tylko za siebie. To jest wspaniale. Pierwszy raz od czterdziestu paru lat. Byłem dziekanem, rektorem PWST, wiceprezesem ZASP-u, dyrektorem Teatru Narodowego. Nikt mi, rzecz jasna, nie kazał.

W jakiej sferze udało się panu tę niezależność obronić?

– Pozostała mi uczciwość. Jakby chciał mnie pan wkurzyć, jak się paru kolegom zdarzyło, to mógłby mi pan zarzucić oszustwo. Nie umiem oszukać. Tego mnie matka nauczyła. Jak w życiu pokombinowałem, a zdarzało się, zawsze mnie to bolało. Sprawdziłem, jak męczące jest życie w kłamstwie – nie polecam. Dlatego nie dałem się namówić żadnej partii, a namawiały mnie prawie wszystkie, bo mam świadomość, że fair play w polityce nie jest siłą, tylko głuportą. Nie byłbym w stanie. Ja się po prostu do tego nie nadaję. Z „Solidarności” też się szybko wypisałem, jak tylko zaczęły się wewnętrzne wojenki o władzę i zbawidowskie licytacje. Jestem samotny biały żagiel, który rozdyma pycha.

Ukułem powiedzenie, że jestem zbyt zarożumiały, żeby się obrażać. Na wszelki wypadek podkreślam to wężykiem, bo ludziom coraz trudniej dziś wylapać ironię i abstrakcyjny humor. Pora umierać? Nie muszę tego mówić, wiadomo, że pora umierać. Mojemu odchodzeniu z Narodowego towarzyszy jeden z największych teatrów absurdu, kłamstw i dezinformacji ubranych w piękne słowa. Domaga się to oddzielnego komentarza, ale na taki przyjdzie pora dopiero wtedy, kiedy przestanę być dyrektorem. Jedyna moja frajda jest taka, że to ja podjąłem decyzję, a nie podjęto decyzji o mnie.

Czyli odchodzi pan z Teatru Narodowego na własnych warunkach?



– Prawda jest taka, że zacząłem przygotowywać następstwo, zanim w ogóle pojawił się temat mojego odejścia. Przecież ja za chwilę będę miał 82 lata. Tylko kretyn w takim wieku może się trzymać burty. W jedynej rozmowie, jaką miałem na temat teatru z panią ministrami Hanną Wróblewską, powiedziałem, że jestem do dyspozycji. Chciałem odejść, ale powierzyć ster komuś, kto będzie kontynuatorem pewnej koncepcji, zamiast doprowadzać do bezmyślnej rewolucji. Ministerstwo poszło inną drogą. Pytał mnie pan, czego bronię. Więc staram się pilnować fair play.

Dlaczego „Hamlet” – też z pychy?

– Artystyczna odpowiedź na to pytanie jest prosta. Nie ma nic wybitniejszego – od strony jakości literatury, jej mądrości – niż „Hamlet”, a więc trudno o lepsze pożegnanie. Grałem Hamleta, reżyserowałem „Hamleta”. I właściwie na tym mógłbym skończyć.

Ale?

– Geniusz Szekspira polega na tym, że na przestrzeni czasu relacje pomiędzy bohaterami się zmieniają. To, co jeszcze 20 lat temu było w tym utworze bolesne, dziś wydaje się nieciekawe. Hamlet może być wszystkim: głupim bęcwałem, który nie rozumie racji stanu, buntownikiem dla samego buntu, intelektualistą, kimś, kim się gra. Trzeba tylko do każdego pomysłu na Hamleta ułożyć pozostałe klocki.

Holoubek zapytał mnie kiedyś: „Jasiu, dlaczego cała klasyka jest wierszem?”. „Nie mam pojęcia”. „No bo jak z Bogiem rozmawiać prozą”. Nie chodzi o tego, tam na górze. Bóg, jeśli istnieje, jest albo bardzo zły, albo bezsilny. Chodzi o to, co w nas nieodgadnione – nie umiem tego nazwać lepiej niż duchowością. Podobno niemowlęta i zwierzęta widzą naszą aurę. Dlatego prymitywne ludy na skałach wykuwały to, co Erich von Däniken nazwał później antycznymi kosmonautami. Wszystko próbujemy nazwać, zracjonalizować.

Taka już ludzka potrzeba.

– Potrzeby nie neguję, jedynie wtedy, gdy ktoś autorytarnie próbuje narzucić, jak jest. Ja mam coraz więcej wątpliwości z wiekiem, a – jak mówi mój bohater w spektaklu „Baron Münchhausen dla dorosłych” – wątpliwości osłabiają.

A nie są darem?

– Myślę, że człowiek inteligentny musi mieć wątpliwości, starzejący się człowiek ma je zawsze. Dlatego tak głośno krzyczy, że ma rację, żeby się nie wydało. Nadrabia w ten

sposób brak pewności. Nawet teraz myślę sobie, po co ja wygłaszam z przekonaniem te wszystkie tezy. Jeszcze dziesięć lat temu nawet bym się nie zastanawiał, byłbym z siebie i tego, co mówię, bardzo zadowolony.

Prawdę mówiąc, kiedy wybuchła afera wokół „Hamleta”, pomyślałem, że pan nie tyle nawet spodziewał się takiej reakcji, ile celowo ją wywołał. Trochę na zasadzie: „Ja wam pokażę!”.

– Spodziewałem się jakiejś reakcji, ale, proszę mi wierzyć, nie aż takiej. Moją siłą przez lata było to, że nawet, kiedy ktoś próbował wokół mnie coś paskudnego rozpętać, to nie reagowałem. Teraz za to płacę, za własną pychę płacę. Ktoś uznał, że jest szansa, żeby przyszpilić osłabionego, wreszcie faceta przewrócić – już dosyć tego samozadowolenia, panie Englert.

Coś takiego w nas jest, bezinteresowna zawiść, prasłowiańska kila polegająca na tym, że jak gównu mamy na podwórku, to zamiast posprzątać, przerzucamy je do sąsiada. Dalej śmierdzi, ale już nie u mnie.

Żyjemy w straszonym maglu, w którym interesuje ludzi wszystko, co daje usprawiedliwienie na własne rozgoryczenie czy frustrację. Stąd się bierze grzebanie w życiorysach osób, które coś osiągnęły, szukanie rysy. Nawet jeśli nie dokopią się do żadnych brudów, to ucieszą się, że ktoś ma hemoroidy, raka, a najlepiej, żeby jeszcze zdradzała go żona.

Inna sprawa, że dziś jak ktoś jest chory, to informuje o tym cały świat. Obnażamy się ze wszystkim, króluje bezwstyd. Tymczasem mnie wychowano w poczuciu, że jak jeleni jest ranny, to się chowa w krzakach, dopóki nie wyzdrowieje, żeby go nie dopadli.

Dobrze rozumiem, że tym jeleniem jest teraz pan?

– Jest w tym coś zabawnego, że Lear, którego niedawno zagrałem, tak mi wszedł na życie. Chciałem rozdać królestwo, z pychą Leara. I okazało się już na drugi dzień, że to za mało. Lear zwariował. Ja nie zwariowałem i nie zwariuję, jestem za dużym racjonalistą.

Jeśli kogoś zdradzasz, nie możesz mieć pretensji, jeżeli zdradzi cię. W życiu prywatnym bywało różnie, w pracy zawsze do końca byłem lojalny. Odchodziłem od moich dyrektorów ostatni, widziałem umierającą teatry, znam ten mechanizm dobrze.

Nigdy nie zapomnę, jak przyszedłem do Dejmkę się zwolnić. Podał mi rękę i na pożegnanie powiedział tak: „Panie Englert, umówmy się tak: będę respektował pana oczekiwania, ale niech pan nie odchodzi, bo



Jak człowiek jest zajęty, to i śmierć zaczeka





1 • „Hamlet”, rok 1974 . (aut. William Szekspir) Spektakl Teatru Telewizji, reż. Gustaw Holoubek. Englert w roli tytułowej, oraz Zbigniew Zapasiewicz (Klaudiusz), Zofia Morozowska (Królowa), Magdalena Zawadzka (Ofelia)



3 • „Garderobiany”, 2016 rok (aut. Ronald Harwood) Teatr Narodowy, reż. Adam Sajnug. Sztuka archiwalna. Englert w roli „Sira”, który 228. raz ma zagrać Króla Leara, jego garderobianym jest Janusz Gajos. Na zdjęciu obaj na próbie do spektaklu

4 • „Hamlet”, 2025 rok Jan Englert (reżyser), Hugo Tarres (Hamlet) i Helena Englert (Ofelia) na próbie w Teatrze Narodowym przed planowaną na 12 kwietnia premierą. Tą sztuką żegna się z Narodowym, z którym był związany od 1997 roku

5 • Film „Skrzyżowanie”, 2025 , scen. i reż. Dominika Montean-Pańkow. Englert w roli emerytowanego ordynatora, który chciał mieć spokój na starość, ale los chciał inaczej. Jego żonę gra Anna Romanowska (oboje na zdj.) a syna Michał Czernecki

pan mi został ostatni”. To był dla mnie piorun. Dejmek, który opieprzał wszystkich. Facet do bólu dumny doprowadzony do sytuacji, w której jest petentem, jakie to musiało być dla niego trudne.

Został pan?
– Zostałem.

Nie zareagował pan na krytykę swoich decyzji obsadowych, które sprowadzały się do zarzutów o nepotyzm.
– Wiedziałem, że jak dam jakąkolwiek odpowiedź, uruchomię kolejną lawinę. Dopóki pozostaję na stanowisku, nie będę reagował na ataki, bo czuję się wciąż odpowiedzialny za zespół, który stworzyłem, i za publiczność.

Czy się to krytykom podoba, czy nie, średnią frekwencję z 400 przedstawień mamy na poziomie 99,8 proc.
Dla wielu teatr ma być trybuną polityczną, stawać koniecznie po czyjejś stronie, prowokować widza – tak, czemu nie. Ale to nie jest główne zadanie teatru. Teatr ma gmerać w człowieku. Nie pouczać, tylko uczyć. Nie wtrącać się, nie bić w mordę, tylko dotykać. To jest moja religia, nazywana przez niechętnych zachowawczością, eklektyzmem, cepelią. Ale ja nie wierzę w jeden przepis na wystawienie Szekspira ani Czechowa. Pisanie, że ja nie miałem odwagi... Przepraszam bardzo, przecież tu reżyserowała i Kleczewska, i Zadara, i Jarocki, i Nekrošius. Zresztą niektórzy buntownicy z pana pokolenia nie zauważyli jeszcze, że stali się ariergardą.

Czy ma pan kogoś konkretnego na myśli?
– Niech pan sam ułoży swoją listę.

Wróćmy jeszcze do „Hamleta”. Jak pan ułożył te klocki?
– Czytam Szekspira z perspektywy, o którą mnie pan wypytuje. W moim „Hamlecie” nikt nie mówi prawdy, wszyscy coś ukrywają. Nie dla idei, nie dla państwa ani rodziny, tylko dla własnych korzyści. Jeśli tylko to przejdzie przez rampę, będzie prowokacyjne. Zamówień jest tyle, że moglibyśmy grać ten spektakl do końca roku codziennie, z pełnym obłożeniem. Gdyby to był mój prywatny teatr, tobym pewnie sam wymyślił podobną hecę, żeby się obłowić. I to jest w tym wszystkim najbardziej wkurwiające, że cała ta afera jest wspaniałą reklamą.

Nie kusilo pana, żeby pójść na całość i wcielić się w ducha ojca Hamleta?
– Odzywam się ze sceny, nie będę zdradzał jak. W sposób, przynajmniej dla mnie, autoironiczny. Choć ten kij ma dwa końce, à re-

bours. Myślę zresztą, że część niechęci wobec moich decyzji bierze się właśnie stąd, że robię „Hamleta”. Gdyby to było, dajmy na to, „Szczęście Frania”, połowa pretensji by odpadła. Jak pan pójdzie ulicą i krzyknie: „Hamlet!”, to, proszę mi wierzyć, każdy aktor się odwróci. Każdy. Zagrać Hamleta to jest wyróżnienie, a ja obsadziłem debiutanta, studenta szkoły teatralnej. To musi strasznie wkurzać. Hugo Tarresa poznałem na drugim roku. To jest talent, może jeszcze nieoszlifowany, ale na to potrzeba czasu.

A na dodatek obsadziłem własną córkę.

Skoro mówimy już o tym, co wkurza, to myślę, że właśnie to.
– Nie rozumiem dlaczego.

W zespole Teatru Narodowego jest wiele młodych aktorek, a pan rolę Ofelii powierzył córce.
– Przecież moja córka wyrobiła już sobie pozycję, w niczym jej nie pomagam. Bycie aktorskim dzieckiem to zresztą żaden handicap, przeciwnie. Siedziałem przez lata na egzaminach wstępnych i widziałem, że jest jakaś dziwna niechęć w kolegach, przez co aktorskie dziecko musi wypaść pięć razy lepiej od innych, żeby się dostać. Sam mam wobec dzieci kolegów większe wymagania.
Helena zdała na prestiżową Tisch School of the Arts w Nowym Jorku, skąd wygoniła ją pandemia. Odziedziczyła przesadną ambicję englertowską. Jednak początkowo o aktorstwie nie myślała, w domu nawet nie można było zacząć rozmowy o teatrze. Teraz ja ją musiałem prosić, żeby zgodziła się zagrać. Miesiąc prosiłem, tłumaczyłem, że to może jedyna szansa, żebyśmy się spotkali w zawodzie, szczególnie w relacji reżyser i aktorka.

Warto było?
– Z przyjemnością obserwuję na próbach, jak buduje rolę, przepuszcza emocje przez głowę, wszystko ma pod kontrolą – niezwykle rzadki przypadek. Muszę bardzo uważać, żeby niczego jej nie narzucać, żeby to był dialog.

I jest?
– Dziś rozumiemy się praktycznie bez słów. Bardzo pomógł w tym serial „Śleboda”. Mam tam jedną scenę, gram jej dziadka. Zaproponowałem – zapytawszy wcześniej Helenę, czy się zgodzi – żeby nas posadzili na dwóch pieńkach, naprzeciwko siebie dwie kamery, i my zaimprovizujemy tę scenę. Jak skończyliśmy grać, sam czułem, że stało się coś niezwykłego między nami, pękła jakaś bariera. Polubiliśmy się, tak po prostu, fantastyczna sprawa.

Powiem panu coś, skoro już tak szczerze rozmawiamy. Nawet jeśli obsadzenie własnej córki w spektaklu byłoby nepotyzmem – a według mnie nie jest – jest rzeczą naturalną i powinno być zrozumiane, jeśli mamy w sobie choć odrobinę empatii, że jeśli ktoś odchodzi, żegna się, to chce mieć przy sobie najbliższych. Koniec, więcej tłumaczyć się nie będę.

Empatia to słowo, które zrobiło wielką karierę, ale nie wszyscy chyba rozumieją, o co w niej chodzi.
– W tej chwili empatia, o której krzyczymy, jest jednostronna. Domagamy się empatii tylko wobec siebie, a nie mamy żadnego zrozumienia wobec innych. Stała się alibi na własne nieumiejętności albo niegodziwości. Przyznaj się, zrobiłeś tak, bo ci było wygodniej. Mamy na wszystko alibi. I co gorsza, dzięki Kościołowi katolickiemu, rozgrzeszenie.

Prof. Zygmunt Bauman powiedział coś, co zapamiętałem, pewnie po swojemu. Wolność, która ma narzucone granice, to niewola. Wolność, która nie ma żadnych granic, to anarchia. Jedną miarą moralności jest nasza empatia, zrozumienie drugiego człowieka. Piękne, być może nieprawdziwe, ale ja w to wierzę. Też mam swoje granice. Granice tolerancji na własną niegodziwość muszą być wyznaczone. Granice tolerancji na własną szlachetność też. Trzeba umieć zachować balans.

Najbardziej mi się w życiu dostało, kiedy w radiu zapytano mnie, czy uważam, że trzeba tak żyć, żeby móc spojrzeć w lustro. Odpowiedziałem, że to głupie powiedzenie, bo nie znam żadnego skurwysyna, który miałby z tym problem. Musimy się najpierw czegoś wstydzić, mieć poczucie winy, żeby nie móc potem spojrzeć w lustro.

A panu jak z tym lustrem idzie?
– Nawet jak byłem niegodziwy, a bywałem za dawnych lat, ale wtedy nie było jeszcze takich środków masowego rażenia, nie spotkało mnie tyle – nawet nie wiem, jak to nazwać – niesprawiedliwości? Kiedyś bym to olał zupełnie. Upływ czasu robi swoje.
Ale w kwestii Teatru Narodowego, bo rozumiem, że o to pan pyta, mam czyste sumienie. Proszę mi pokazać drugiego takiego dyrektora, który przez ponad dwadzieścia lat wyreżyserowałby tylko dziewięć spektakli. Głównych ról zagrałem cztery.

Nie wspomnę, ile moja żona straciła na tym. Ja straciłem pozycję w kinie, bo przez obowiązki dyrektora nie byłem dostępny terminowo. W teatrze zresztą też. Często miałem w tym gabinecie rozmowy z reżyserami i słyszałem: „Radziwiłowicz nie może, to już nie ma u pana aktora, który mógłby to zagrać”. I nie było w tym żadnej złośliwości. Rozumiem ich, też bym nie chciał mieć w obsadzie swojego pracodawcy.

Stęsknił się pan za kamerą?
– Kamera to jest sama przyjemność. Na szczęście nie kamera się na mnie obraziła, ale reżyserzy i producenci, dla których nie potrafiłem znaleźć czasu. W tej chwili role mnie doganiają, ale to naturalna kolej rzeczy. Żyłem bardzo świadomie i świadomie uprawiałem zawód aktora. Dlatego dobrze wiem, do której szuflady z doświadczeniami w danym momencie zaglądać. Żona mi zrobiła fantastyczny prezent na 80. urodziny. Przez dwa lata chodziła od instytucji do instytucji, szukała wsparcia u prywatnych inwestorów. Zebrała trochę pieniędzy, dołożyła swoje. Wszystko po to, żebym wreszcie, pierwszy raz od lat, zagrał główną, pełnowymiarową rolę w filmie.
Ale mam do „Skrzyżowania” Dominiki Montean-Pańków stosunek bardzo osobisty z jeszcze jednego powodu. Bohater tego filmu jest wyposażony w moje cechy, grałem w jakimś sensie siebie. Obaj jesteśmy na etapie podsumowań, rozliczeń.
Bardzo przyjemne uczucie, schować się ze swoimi dylematami za kogoś innego. W ogóle to jeden z 10 filmów, w których udział uważam za naprawdę istotny.

A trochę pan ich na koncie ma.
– Będzie ze 150 ról filmowych łącznie z epizodami. Niektóre z nich wynykają się kategorii artystycznej, jak „Kanał”, „Kolumbowie” i „Katyni”. To nie były role, tylko powinność i dar od losu. Miałem rok, kiedy wybuchło powstanie warszawskie. Potem dorastałem na gruzach Starego Miasta. Opowiadaliśmy sobie z kolegami usłyszane historie, tak rozdził się bohaterski mit. Miałem nawet pretensje do Boga, że nie dane mi było zginąć za ojczyznę, bo za późno się urodziłem. Kino dało mi szansę na dotknięcie etosu, w którym zostałem wychowany, posmakowania tego bez żadnego zagrożenia. Moje pokolenie jest najszcześniejsze w historii tego narodu. Przeżyliśmy stalinizm, nadzieje gomulkowski, Gierka, „Solidarność”, rozczarowanie „Solidarnością”, wojnę polsko-polską. Jesteśmy wybrańcami. Pierwsze pokolenie, które się nie wykrwawiło, a do stało w prezencie życie tak bogate. Trzeba było tylko chcieć z tego skorzystać. ●



• **Prof. Jakub Growiec:**
„Jeśli cele nadludzkiej
ogólnej sztucznej inteli-
gencji (AGI) będą choć
w niewielkim stopniu
sprzeczne z celami
człowieka, to czeka nas
konflikt o zasoby.
Konflikt, który z pewno-
ścią przegramy”

FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czy A nas zabije?

Wiele rzeczy może pójść źle, a wszystko musi pójść dobrze, żeby wyższa inteligencja nie doprowadziła do katastrofy ludzkości.

Z **PROF. JAKUBEM GROWCEM** *
EKONOMISTĄ, BADACZEM
SZTUCZNEJ INTELIGENCJI
ROZMAWIA **PATRYCJA MACIEJEWICZ**

Dziś sztuczna inteligencja to głównie modele językowe, które są w stanie przewidywać następstwo słów wynikające z prawdopodobieństwa po sobie. Można więc powiedzieć, że oddaliśmy język, nasze narzędzie wyrażania tego, co mamy w głowach, maszynom, technologii. I co się teraz stanie?

– Język jest jednym z kluczowych elementów, dzięki którym człowiek zawładnął ziemią – był w stanie się zorganizować, skoordynować w większych grupach. Dzięki temu, że wytworzyliśmy język, mogliśmy przekazywać wiedzę z pokolenia na pokolenie, akumulować ją. W efekcie nauczyliśmy się dostosowywać środowisko do naszych potrzeb i zbudowaliśmy cywilizację technologiczną.

Język jest niewątpliwie jednym z fundamentów naszej inteligencji i sprawczości w świecie. Te informacje, które każdy z nas jest w stanie nabyć, może też przekazać z pokolenia na pokolenie. Również doświadczenia z modelami sztucznej inteligencji wskazują, że opanowanie języka jednocześnie prowadzi do wielu innych umiejętności.

Modele językowe na początku były relatywnie słabymi modelami, rzeczywiście próbowały tylko dokończyć zdanie, i to z umiarkowanym skutkiem. Potem ze 100 razy lepszym skutkiem, a jeszcze później się okazało, że żeby dobrze przewidzieć, co w takim danym tekście czy w danej wypowiedzi powinno być, to trzeba zrozumieć, o czym jest ta wypowiedź. Nie tylko jaką ma strukturę składniową – że

przymiotnik, czasownik i tak dalej – ale też czego dotyczy merytorycznie. Dalszy postęp modeli językowych spowodował, że te zaczęły one coraz lepiej rozumieć świat, zaczęły budować sobie wewnętrzny model otaczającej je rzeczywistości.

Dzisiaj najbardziej topowe modele sztucznej inteligencji to te, które nazywamy modelami rozumującymi. One bazują na modelach językowych, ale różnią się tym, że próbują na jedno pytanie odpowiedzieć na różne sposoby wiele razy. Dłużej myślą, a na koniec konstruują odpowiedź, która jest najlepszą wersją z tych różnych opcji, które modelowi „przyszły do głowy”.

Przetestowaną jakoś wewnętrznie, tak?

– Tak, polega to na tym, że model poświęca dużo więcej czasu na przemyślenie odpowiedzi na pytanie, sprawdza, czy są

tam jakieś błędy, sprzeczności. To tak jak w przypadku ludzi – gdy nas ktoś o coś spyta, to nasza odruchowa, spontaniczna odpowiedź jest dość płytka, powierzchowna i często błędna. A dłuższe zastanowienie pozwala połączyć pewne elementy, przemyśleć i sformułować mądrzejszą odpowiedź.

Taki model jest w stanie rozwiązywać wiele trudnych zagadnień, łącznie z zagadnieniami stricte naukowymi, np. matematycznymi.

Co w takim razie jest krytycznym problemem rozwoju sztucznej inteligencji, ale w rozumieniu humanistycznym? Czy sztuczna inteligencja będzie miała samoświadomość, w jaki sposób będzie rozumiała emocje, umiała się kontrolować?

– Zwróciłbym raczej uwagę na dwie inne kwestie. Po pierwsze, sprawczość – umiejętność realizowania w realnych warunkach swoich planów.

Do tej pory ta sprawczość była dość ograniczona. Dziś nawet jak model językowy wymyśli jakiś plan, to go po prostu napisze w oknie czatbota i nie zrealizuje. Ma więc pewien deficyt, jeśli chodzi o umiejętność realizacji swoich zamierzeń. I uważam, że to nas w jakimś stopniu ratuje. Natomiast być może w nieodległej przyszłości ten postęp sprawczości się dokona.

Po drugie, próg, którego też jeszcze na razie na szczęście nie osiągnęliśmy – próg rekursywnego samoulepszania się i samoreplikacji.

Co to znaczy rekursywnego?

– Rekursywny to odwołujący się sam do siebie. Czyli że model, który ulepszy swoje kompetencje, wykorzysta je następnie do kolejnego ulepszenia, dzięki czemu będzie w stanie jeszcze bardziej się udoskonalić, i tak w kółko.

Jeśli model byłby w stanie realizować kolejne kroki autonomicznie, w pętli dodatniego sprzężenia zwrotnego, to będzie się to działo znacznie szybciej niż w sytuacji, gdy poprawa modelu wymaga współpracy z badaczem, programistą – kimś, kto sprawdzi zmianę i zatwierdzi, czy jest do wdrożenia, czy nie. Jest to potencjalnie bardzo szybka ścieżka rozwoju kompetencji w sposób zupełnie niekontrolowany przez człowieka.

I to jest ten moment, w którym stracimy kontrolę?

– Można tak powiedzieć. Choć już teraz takie firmy jak OpenAI w kodowaniu i rozwijaniu technologii wykorzystują modele, które podpowiadają im, jak to zrobić lepiej, efektywniej, szybciej. Więc to już teraz jest do ja-

kiegoś stopnia wykorzystywane. Ciągłe jednak AI to narzędzie w rękach tych programistów, którzy mogą powiedzieć: okej, tę zmianę chcemy, a tej nie.

Natomiast prawdopodobnie wkrótce dojdziemy do momentu, kiedy zatwierdzenie już nie będzie w naszych rękach, model będzie mógł sam zmieniać swój kod.

Może to następować kaskadowo i pójść w stronę, która dla nas może ostatecznie okazać się bardzo niekorzystna. A pamiętajmy, że modele AI myślą wielokrotnie szybciej niż ludzie. To bardzo niebezpieczne.

Drugi próg, który pan wymienił to replikacja.

– Na razie modele językowe nie potrafią się replikować, choć jakieś wstępne eksperymenty już z tym robiono i przy pewnej pomocy człowieka udawało im się to.

A co to znaczy, że się replikują?

– Kopiują swój kod w inne miejsce.

To jest taki odpowiednik biologicznego rozmnażania?

– Tak, tylko że różnica jest taka, że biologiczne rozmnażanie jest bardzo czasochłonne. Organizm np. człowieka rozwija się powoli, najpierw jest noworodkiem, potem dzieckiem, potem dojrzewa i tak dalej. Trwa to latami.

Na dodatek nie potrafimy przekopiować ludzkiego mózgu. Każdy mózg jest inny, każdy się musi uczyć od początku, a nawet dwa organizmy podlegające takiemu samemu procesowi uczenia mają inne mózgi i są innymi osobami. Nie da się przekopiować software'u z mózgu do mózgu.

Inaczej to wygląda w przypadku modeli AI. Jako cyfrowy software są doskonale replikowalne. Modele sztucznej sieci neuronowej mają ustaloną strukturę oraz przypisane wagi do poszczególnych połączeń w tej strukturze. Te wagi można po prostu przekopiować jak dowolny inny plik na komputerze. Dlatego replikacja AI może się odbywać bardzo szybko.

To chyba ten moment, w którym muszę zadać fundamentalne pytanie: czy tworzymy narzędzie do samozagłady?

– Jest takie duże ryzyko. Uważam, że progi samoreplikacji i rekursywnych samoulepszeń są całkiem blisko. To nie jest kwestia dekad, raczej kilku lat, a być może nawet – jak twierdzą liderzy branży – zaledwie dwóch lat.

Rozwój dokonuje się dziś bardzo dynamicznie, w geometrycznym tempie, podwojenie mocy obliczeniowych w dyspozycji najbardziej zaawansowanych modeli AI zajmuje dziś zaledwie kilka miesięcy.

Do tego modele sztucznej inteligencji nie są programowane przez autorów, tylko są jakby hodowane. Proces uczenia modeli AI przebiega zupełnie jak uprawa roślin czy hodowla zwierząt – rosną sobie i nabierają pewnych kompetencji. My jesteśmy w stanie zasiać ziarno, ale nie wiemy, co z tego ziarna wyrośnie. Nie wiemy, jaki jest ich potencjał, dopóki się nie nauczą. Dopiero po fakcie widzimy, ile potrafią.

To wyobraźmy sobie, że mamy te doskonałe modele, które same się ulepszają i replikują. Dlaczego mają być dla nas zagrożeniem?

– Jeśli cele nadludzkiej ogólnej sztucznej inteligencji (AGI – artificial general intelligence) będą choć w niewielkim stopniu sprzeczne z celami człowieka, to czeka nas konflikt o zasoby. Konflikt, który z pewnością przegramy.

Posłużę się tu tezą o zbieżności celów pomocniczych sformułowaną przez Nicka Bostroma, filozofa zajmującego się m.in. transhumanizmem. W realizacji niemal każdego celu przydatne są cztery cele pomocnicze. Po pierwsze, przetrwać, czyli nie dać się wyłączyć ani przeprogramować. Po drugie, realizować cele jak najefektywniej, wykorzystując dostępne zasoby. Dla sztucznej inteligencji tymi zasobami mo-

gą być np. moc obliczeniowa, energia elektryczna czy woda. Po trzecie, kreatywność i poszukiwanie coraz lepszych rozwiązań. I po czwarte, chyba potencjalnie najgroźniejsze, to chęć zdobywania zasobów. Im więcej mam np. mocy obliczeniowych, tym efektywniej będę realizować mój cel.

Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, że AI rywalizuje z nami o dostęp do mocy obliczeniowej.

– Zanim pani dojdzie do mocy obliczeniowej, proszę przypomnieć sobie, jak człowiek zdominował ziemię, podporządkował ją sobie. Dziś to człowiek rozdaje karty na całej planecie, to on decyduje, jak są zużywane, eksploatowane poszczególne zasoby.

Człowiek osiągnął tę moc dlatego, że jest najinteligentniejszym bytem na świecie. Wyrwał się spod kontroli ewolucji i zaczął akumulować wiedzę, przekazując ją kolejnym pokoleniom nie na zasadzie zmian genetycznych i naturalnej selekcji, ale dzięki swoim zdolnościom poznawczym. Kodowanie informacji w mózgu działa tyśiące razy szybciej niż zapis w kodzie genetycznym gatunku. Dlatego zamiast dostosowywać się do środowiska, człowiek zdobył kontrolę nad jego zasobami, a potem zaczął dostosowywać środowisko do swoich potrzeb. Losy drugiego pod względem inteligencji bytu na świecie – dziś są to szympansy – są całkowicie determinowane przez człowieka.

Kiedyś w przeszłości był inny drugi pod względem inteligencji byt na świecie – neandertalczyk. I już go nie ma z nami, praw-

wiastków. W ten sposób będzie miała kontrolę nad światem.

Jest jeszcze jeden sposób, szczególnie ważny w kontekście najbliższych lat – różne sposoby manipulacji człowiekiem. Można sprawić, żeby człowiek w sposób świadomy lub nieświadomy realizował polecenia sztucznej inteligencji. Za pieniądze, ładną perswazją albo i jakimiś groźbami. Już teraz modele językowe umieją się posługiwać strategicznym oszustwem i manipulacją.

Wszystko to brzmi wciąż jak z literatury fantastycznej. Ale pan ostrzega, że za chwilę będzie za późno na reakcję. Więc pytanie brzmi: kiedy nie będzie już odwrotu?

– Fundamentalne pytanie brzmi: kiedy powstanie nadludzka ogólna sztuczna inteligencja, AGI? To jest taka inteligencja, która będzie wszechstronna w ludzkim pojęciu – jeśli chodzi o poziom i zakres kompetencji oraz umiejętności adaptacji. Można ją porównać do intelektualnego poziomu wybitnych ekspertów w każdej dziedzinie. Niektóre modele AI już dziś wykonują pewne zadania lepiej niż człowiek, ale AGI będzie od nas lepsza we wszystkim.

Przykładowo, model o3 od OpenAI rozwiązuje sporą część problemów matematycznych z benchmarku FrontierMath – problemów naukowych, z którymi potrafią poradzić sobie wyłącznie najwybitniejsi matematycy. Mamy też model AlphaFold od Google DeepMind, który przewidyuje strukturę białek, co było wcześniej dla czło-

Fundamentalne pytanie brzmi: kiedy powstanie nadludzka ogólna sztuczna inteligencja, AGI? Będzie od nas lepsza we wszystkim

da? Różnice między pierwszymi homo sapiens a homo neanderthalensis pewnie nie były wielkie, ale wystarczyły, by ten pierwszy przetrwał, a ten drugi wyginął. Tak to bywa, jak się jest drugim.

Ale sztuczna inteligencja to nie jest byt biologiczny. To technologia!

– No właśnie. To nie jest bytem biologicznym, nie powstała w tym samym procesie ewolucji co my, tylko została wymyślona i skonstruowana przez człowieka. Jednocześnie dzięki półprzewodnikom czy cyfrowemu oprogramowaniu ma nad nami istotne przewagi. Potrafi o wiele szybciej myśleć i o wiele szybciej przekazywać informacje – gdy popatrzymy sobie na tempo przepływu informacji między nami w tej rozmowie, to jest ono niezwykle powolne w porównaniu np. z transferem danych przez wi-fi.

I gdzie ta walka o zasoby? Wyobrażam sobie miliony komputerów, które stoją gdzieś na świecie i coś przetwarzają. W jaki sposób one zaczną fizycznie sięgać po nasz prąd, wodę czy te pierwiastki gdzieś w ziemi zakopane?

– W tej chwili rzeczywiście tych sposobów jest relatywnie niewiele, chociaż mamy dynamiczny rozwój w branży robotów, prawda? Mamy roboty nie tylko humanoidalne (bo człowiek lubi wszystko wzorować na sobie), ale i te przypominające psy, coraz więcej dronów, samojezdne pojazdy najróżniejszego przeznaczenia. I naprawdę wiele różnych urządzeń może być takim robotem, którym można sterować zdalnie. A zdalnie sterowany robot to jest dokładnie to, czego sztuczna inteligencja potrzebuje, żeby zarządzać materią w świecie. Przecież możemy sobie wyobrazić, że będzie w stanie robotycznie budować fabryki kolejnych robotów i później te roboty wykorzystać do innych celów, także do wydobywania pier-

wieka ważnym, nierozwiązanym wyzwaniem naukowym przez dekady.

Obecne przewidywania wskazują, że AGI powstanie znacznie wcześniej, niż nam się to jeszcze niedawno wydawało. Według badania Metaculus stanie się to w 2030 roku; to samo badanie przed premierą ChatuGPT pokazywało rok 2055. Można dyskutować z tym szacunkiem, próbować budować swoje. W badaniu Metaculus określono, jakie konkretnie kompetencje AI ma posiadać, by można było ją nazwać AGI, natomiast nie jest to jedyna istniejąca definicja, a w kwestii tej trwa ożywiona dyskusja.

Inna definicja mówi o powstaniu transformatywnej AI, czyli takiej, dzięki której będzie można zautomatyzować wszystkie ekonomicznie uzasadnione zadania – wszystkie zadania, które ludzie robią w pracy i za to im płacą. Tutaj też można dyskutować, kiedy dokładnie zostaną zautomatyzowane poszczególne zawody i które z tych prac są rzeczywiście niezbędne dla naszej egzystencji lub rozwoju naszej cywilizacji.

Jest jeszcze jedna koncepcja mówiąca o AI, która będzie umiała stworzyć własny, zamknięty cykl gospodarczy – od wydobywania surowców, wytworzenia energii, przekształcania surowców w roboty, do wykorzystywania robotów do budowania tego, co ona chce. W tym cyklu nie ma np. rolnictwa, bo AI nie potrzebuje żywności takiej jak człowiek. Nie ma też usług, z których korzystamy my, a których ona nie potrzebuje.

Ten 2030 rok to mediana prognoz; są też tacy, którzy mówią, że będzie to 2027 rok. Nie są to bezpodstawne prognozy, bo w ostatnim czasie każdy kolejny model okazywał się nieco mądrzejszy, niż oczekiwaliśmy.

Nie będzie czasu na eksperymentowanie? Sprawdzanie, czy to już, czy nie już?

– W przypadku AGI pierwszy błąd będzie prawdopodobnie ostatnim. Jeśli AI osiągnie krytyczny poziom kompetencji pozwalający jej na samoreplikację i kaskadę samoulepszeń oraz jednocześnie nie będzie przyjazna dla ludzkości, to od tego punktu już nie będzie odwrotu. Nawet jeśli koniec ludzkości nie wydarzy się od razu, to nasz los będzie przypieczętowany już w tym momencie. Nie będziemy w stanie tego odwołać. Na przykład nie będziemy w stanie jej wyłączyć, a przekonamy się o tym po fakcie.

Niewykluczone, że pierwsze etapy przejęcia kontroli przez AGI będą się odbywać w ukryciu – algorytm może ukrywać swoje kompetencje i starać się najpierw zapewnić sobie bezpieczeństwo, żeby nie można było po prostu go zniszczyć przez spalenie paru serwerów czy wyłączenie ich z prądu.

Niektórzy liczą na jakiś sygnał ostrzegawczy, np. jakąś ograniczoną katastrofę wywołaną przez AI, która sprawi, że ludzie w porę otworzą oczy.

Ciągle mam poczucie, że jak pan mówi, że w środowisku eksperci o tym dyskutują, to jednak robią to teoretycy. Praktycy zajmują się czymś innym.

– Nie do końca. Ale znów, zanim wejdę w ten obszar, pokażę pani inny. Czy przed pandemią COVID ktokolwiek słuchał epidemiologów, którzy ostrzegali, że trzeba się przygotować na światową pandemię? Takie rzeczy są niszowe, dopóki nie wydarzą się naprawdę i nie dotkną nas osobiście.

W środowiskach, które zajmują się AI,

myśl, że AGI może stanowić zagrożenie egzystencjalne dla ludzkości, jest znana od dawna. W ostatnich latach dołączyła też świadomość, że zagrożenie to jest bardzo nieodległe w czasie i trzeba natychmiast coś z tym zrobić. Kwestie te propagują największe nazwiska w branży sztucznej inteligencji. Geoffrey Hinton, zeszłoroczny noblista nagrodzony za rozwój sztucznych sieci neuronowych, otwarcie ostrzega przed zagrożeniem egzystencjalnym dla ludzkości. Podobnie Yoshua Bengio czy Stuart Russell.

Nawet ludzie rozwijający tę technologię mówią, że prawdopodobieństwo, że zniszczy ona ludzkość, to jest może 10, może 20, może 30 proc.

Próbuję jakoś racjonalizować: jak można być takim Samem Altmanem, szefem OpenAI, mieć tę świadomość i dalej rozwijać takie narzędzie? To jakiś element wyparcia czy dysonansu poznawczego? Niewątpliwie ma on w głowie jakąś wizję utopii – myśl, że jeśli się uda, to będziemy mieli raj na ziemi. A jeśli się nie uda? To on to ryzyko akceptuje, zwłaszcza że jest rozproszone na cały świat, bo wtedy wszyscy zginą, podczas gdy w pozytywnym scenariuszu korzyści są skoncentrowane, bo on, Sam Altman, na tym największej zyska.

Druga rzecz to presja konkurencyjna. Może on się boi, może by się wolał zatrzymać, ale nie może, bo inne firmy napierają z tyłu. Jak nie Anthropic, Google czy xAI, to Chińczycy.

Czy jedna taka sztuczna inteligencja mogłaby się dogadać z drugą i wspólnie przejąć władzę nad światem?

– Jeśli byłby to jeden model sztucznej inteligencji, który by się rozproszył, zreplikował w wielu miejscach, to byłoby to idealnie spójne ze sobą procesy, które mają dokładnie tę samą funkcję celu. Zasadnic-

czo to byłby jeden wielki mózg zarządzający wszystkim.

Natomiast jeśli byśmy mieli różne modele AGI, to trochę jakby to były różne gatunki stworzeń. Zapewne miałyby one nieco inne funkcje celu, w związku z czym prędzej czy później weszłyby ze sobą w konflikt. W długim okresie jeden z tych modeli by wygrał, choć wolę nie myśleć, jak mogłaby wyglądać wojna między nimi.

Napisał pan, że „chęć stworzenia AI, która wykonywałaby niebanalne zadania i nie byłaby żadna władza, jest mrzonką”.

– Tak. Przyczyną jest wspomniana wcześniej zbieżność celów pomocniczych. Aby móc realizować niebanalne zadania, trzeba w szczególności przetrwać i zgromadzić zasoby. Jednocześnie my nie potrafimy dziś precyzyjnie zaprogramować celów AI ani sprawić, by były zgodne z celami ludzkości. Tym bardziej że przecież sami nie bardzo wiemy, co jest naszym celem. O tym dyskutują filozofowie od tysięcy lat.

Jednocześnie widzimy jednak, że jakkolwiek by ten cel był, to realizujemy go za pomocą celów wspierających: chcemy przetrwać, zdobywać dostęp do zasobów, wykorzystywać je efektywnie i wymyślać nowe metody rozwoju. Przy okazji silnie się zreplikowaliśmy: 10 tysięcy lat temu było nas około 5 milionów, teraz już ponad 8 miliardów. W ten sposób ludzkość zdominowała świat i doprowadziła tyle różnych innych gatunków do zagłady.

A sztucznej inteligencji człowiek będzie potrzebny czy zbędny?

– Prawdopodobnie będziemy zbędni.

Istnieje teoretyczna możliwość, że da się tak wymyślić cele zaawansowanej sztucznej inteligencji, tak sformatować jej proces uczenia, że będzie chciała wszystko robić dla naszego dobra i będzie to dobro dobrze rozumiała, lepiej niż my sami. Ale to jest relatywnie bardzo mało prawdopodobny scenariusz i w bardzo wielu miejscach może pójść źle, nawet gdyby się początkowo wydawało, że wszystko idzie tak, jak powinno. Tu działa zasada Anny Kareniny.

Anny Kareniny?

– „Anna Karenina” Lwa Tolstoja zaczyna się od zdania, że wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, natomiast każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób. Przekładając to na szersze rozumienie – często jest tak, że jest tylko jedna droga do sukcesu i jest wiele różnych scenariuszy, kiedy coś pójdzie źle. Jared Diamond w książce „Strzelby, zarazki, maszyny” zaaplikował to do udomowienia zwierząt. Jest tylko jeden dobry sposób, żeby udomowić zwierzę, ale ten proces na wiele sposobów może się nie udać. A to jedne gatunki są zbyt agresywne, inne gatunki nie chcą się rozmnażać w niewoli itd. Przykładowo, konia się udało udomowić, a bardzo podobnej zebra – nie.

W kontekście AGI chodzi oczywiście o to, że wiele rzeczy może pójść źle, a wszystko musi pójść dobrze, żeby wyższa inteligencja nie doprowadziła do katastrofy ludzkości.

AGI nie może rozumieć naszych potrzeb zbyt wąsko ani zbyt szeroko, musi adekwatnie korygować skutki uboczne swoich działań, musi zachowywać swoje pozytywne nastawienie do ludzkości także w przypadku kolejnych przełomów kompetencyjnych itd.

Pamiętajmy też, że perspektywa przejęcia kontroli przez AGI to perspektywa, w której ludzkość trwale traci możliwość samodzielnego decydowania o sobie.

W czym taka nieprzyjazna sztuczna inteligencja jest gorsza od dyktatora?

– Dyktatury są na różnym poziomie totalitaryzmu. Są bardziej skrajne i mniej skrajne. Najgorszy jest oczywiście scenariusz, że ta inteligencja nas wszystkich zabije. No a na razie żadna dyktatura nie zabiła

wszystkich swoich obywateli, choć niektórzy byli (lub są) krwawe.

Poza tym, nawet gdyby AGI zdecydowała, że pozostawi ludzi przy życiu, to nasza jakość życia może być marna, możemy żyć w totalitarnym świecie, gdzie nie mamy żadnego sprawstwa i będziemy po wsze czasy skazani na władzę sztucznej inteligencji nad nami. To trochę jak bycie zwierzętami w zoo.

Powołuje się pan często na Nicka Bostroma, który jest filozofem. Czy to naturalne, że na taki nieznany grunt najpierw wchodzi filozofowie, humaniści, etycy?

– W środowisku, o którym mówię, dominują jednak osoby zajmujące się informatyką, uczeniem maszynowym, bardziej technicznymi aspektami tych technologii.

Natomiast oczywiście bardzo ważnym głosem – i w kontekście zagrożeń kluczowym głosem – są filozofowie. Ale mamy też ekonomistów, socjologów, a nawet psychologów AI – czytałem np. wywiad w „Wyborczej” z Michałem Kosińskim, który analizuje sztuczną inteligencję tak, jak psycholog analizuje mózg ludzki.

Barierą do dyskusji o przyszłości, a także uzasadnieniem istotnej roli filozofów w tej dyskusji jest brak danych, które twarzą nauka mogłaby analizować. Mamy hipotezę, że ludzkość wymrze, ale nie mamy 50 albo 120 epizodów w historii, gdzie

nych czy gromadzenia danych – nie przekłada się na równie szybki wzrost PKB per capita. Mamy bowiem wąskie gardło w procesie rozwojowym, którym jest praca umysłowa człowieka.

Fizyczne czynności potrafimy bardzo dobrze zmechanizować, człowiek bardzo niewiele rzeczy robi już własnymi rękami, maszyny są dużo silniejsze, dużo szybsze, dużo wydajniejsze. Natomiast zarządzamy nimi ciągle jeszcze za pomocą tego, co wymyślimy w naszym mózgu. No ale od czasu stworzenia komputera stopniowo też to outsource'ujemy. Nikt już nie dodaje dużych kolumn liczb ani nie wymnaża macierzy w głowie.

Pytanie brzmi, gdzie jest próg kolejnego przyspieszenia wzrostu. Moim zdaniem jest on w punkcie pełnej automatyzacji. Kiedy pracy nie będzie wykonywał już człowiek posługujący się jakimś cyfrowym narzędziem, tylko kiedy to narzędzie – wtedy już bardziej autonomiczny agent niż narzędzie – zrobi wszystko bez udziału człowieka. Komputery przetwarzają i przesyłają informacje wielokrotnie szybciej, więc cokolwiek człowiek ma do wykonania, to spowalnia cały proces.

I tu należy zadać pytanie: co to znaczy pełna automatyzacja? To znaczy również podejmowanie decyzji. A podejmowanie decyzji to jest kontrola. Czyli kontrola musiałaby przejść w ręce tych autonomicz-

Wyścig zbrojeń AI jest wyścigiem samobójczym i trzeba, żeby władze to wreszcie zrozumiały

ludzkość wymarła, nie możemy zbadać, co do tego doprowadziło.

Wymieranie innych gatunków nie może być analogią, bo to były gatunki, które miały jakąś niszę w ekosystemie, te ekosystemy się zmieniały, gatunki się nie dostosowały do zmian i wymierały. Każda katastrofa gatunku była dla gatunku końcem, ale dla Ziemi to było lokalne zjawisko.

Ale dla człowieka ekosystemem jest cała Ziemia, bo ludzkość wyszła poza rolę, którą ewolucja jej przewidziała, czyli poza rolę kolejnego gatunku walczącego o przetrwanie w swojej niszy. Dzięki temu rekursywnemu samoulepszeniu się, czyli przekazywaniu i akumulowaniu wiedzy z pokoleń na pokolenie, wytworzyliśmy cywilizację technologiczną.

Jest pan ekonomistą, zajmował się pan głównie teorią wzrostu gospodarczego, tym, jak zwiększać dobrobyt i budować, kumulować. Jaką drogą dotarł pan do AI i zagłady ludzkości?

– Myślałem o mechanizmach długookresowego wzrostu w perspektywie dziesiątek, setek, tysięcy lat. W swojej książce „Accelerating Economic Growth. Lessons From 200,000 Years of Technological Progress and Human Development” próbowałem wskazać jednolity mechanizm, który powodował, że dzięki kolejnym przełomom technologicznym byliśmy w stanie jako cywilizacja rosnąć coraz szybciej. Wskazałem, że miało to miejsce dzięki postępom w dostępie do energii oraz w umiejętności gromadzenia i przetwarzania informacji. Przełomowe punkty zwrotne, jeśli chodzi o dostęp do energii, to rewolucja agrarna i przemysłowa. Natomiast w przypadku informacji była to rewolucja poznawcza (górnego paleolitu), rewolucja naukowa (w czasach Kopernika) oraz rewolucja cyfrowa.

Dziś wzrost gospodarki cyfrowej – mocy obliczeniowej procesorów, przesyłu da-

nych procesów opartych np. na sztucznej inteligencji.

Pytanie: na jakim szczeblu? Jeśli tylko na niższym szczeblu, to wyższy szczebel będzie wszystko spowalniał. Czyli żeby przyspieszyć cały proces, trzeba dać technologii kontrolę także na wyższym szczeblu. Ale gdzie jest granica? Nie ma granicy. Wychodzi na to, że mechanizm, który prowadzi do przyspieszenia wzrostu w erze cyfrowej, to jest ten sam mechanizm, który prowadzi do utraty kontroli przez ludzkość.

To mnie doprowadziło do tematu zagrożeń sztucznej inteligencji. Do tej pory zawsze się zastanawiałem, jakie mechanizmy działają na korzyść wzrostu gospodarczego i jak można je wspierać. Teraz zrozumiałem, że może nie zawsze jest najlepiej, żeby wzrost był jak najszybszy, ponieważ czasem to może być wzrost, który już nie służy człowiekowi.

Chcemy się bogacić, żyć komfortowo, zwiędzać dalekie kraje, czuć się spełnionymi. Chcemy jak najbliżej poznać prawa rządzące wszechświatem, chcemy zdobywać kosmos, podbijać go, budować bazy na Marsie itd. To są takie dążenia, które prowadzą do tego, że chcemy mieć jak najszybszy wzrost gospodarczy. W kontekście AI chcemy mieć jak najsilniejszą inteligencję, która będzie nas wspierać. Jednak w tym przypadku możemy się boleśnie przekonać, że w sumie to ona już nas nie wspiera.

Oglądała pani „Nie patrz w górę” (Don't Look Up)?

Oglądałam niedawno kolejny raz. Byłam pod wrażeniem, jak inaczej dziś się to ogląda w porównaniu z czasem premiery.

– Mam poczucie, że to jest najlepszy film o sztucznej inteligencji, mimo że jest o asteroidzie.

Politycy absolutnie wypierają zagrożenie, mimo iż nie mogą być nieświadomi tego, co im naukowcy i eksperci mówią.

Były nawet inicjatywy międzynarodowych szczytów w sprawie zagrożeń ze strony AI. Pierwszy AI Safety Summit zorganizowany został przez Wielką Brytanię pod koniec 2023 roku w Bletchley Park, czyli tam, gdzie zdeszyfrowano Enigmę podczas II wojny światowej. Dyskutowano tam o bezpieczeństwie i właśnie o zagrożeniach AI.

Następny szczyt organizowała Francja, w lutym 2025 roku w Paryżu. To miał być kolejny Safety Summit, przemianowano go na jednak AI Action Summit. I zamiast o bezpieczeństwie dyskutowano o jak najszybszym rozwoju tej technologii. Wiceprezydent USA J.D. Vance powiedział tam, że wolny świat i USA przede wszystkim muszą wyprzedzić Chiny w wyścigu do AGI, żeby być pierwsze i narzucić swoje zasady.

Czyli zupełnie bez zrozumienia, że ta technologia, jeśli będzie niezgodna z długofalowym dobrostanem ludzkości, to w jednakowym stopniu będzie zabójcza i dla Amerykanów, i dla Chińczyków.

W przeciwieństwie do ewidentnie bardzo dużej grupy ludzi nie mam preferencji, czy ma mnie zabić sztuczna inteligencja z USA czy z Chin. Wolałbym, żeby to nie była żadna z nich. Wyścig zbrojeń AI jest wyścigiem samobójczym i trzeba, żeby władze to wreszcie zrozumiały.

Co zatem trzeba zrobić?

– Zatrzymać rozwój najbardziej zaawansowanych modeli AI, przynajmniej do czasu, kiedy przekonująco rozwiążemy problem zgodności jej celów z długookresowym dobrostanem ludzkości. Czyli kiedy będziemy ponad wszelką wątpliwość przekonani, że rozwój tej technologii nas nie zabije, lecz będzie działać na naszą korzyść.

To musi być skoordynowane na poziomie ogólnoswiatowym przez np. zakaz uczenia modeli większych niż określony próg czy przy wykorzystaniu mocy obliczeniowej większej niż określony próg. Technicznie jest to do zrobienia, ponieważ nie da się wytrenować dużej sieci neuronowej na małym komputerze.

Firm, które się tym zajmują, nie jest aż tak dużo, wiadomo, jak one się nazywają, wiadomo, gdzie mają swoje siedziby, wiadomo też, czy ich moc obliczeniowa jest aktualnie używana czy nie, bo pobór prądu o tym świadczy. Technicznie da się wychwycić, czy ktoś nie łamałby takiego memorandum. Natomiast nie ma kompletnej woli politycznej, żeby je wprowadzić.

Każde moratorium, które by miało powstać, musi obejmować USA i Chiny, bo inaczej to nie ma sensu.

Organizacja pozarządowe przygotowały już parę propozycji, jak takie moratorium mogłoby konkretnie wyglądać i jakie byłyby niezbędne kolejne kroki, by wszystkie strony go rzeczywiście dotrzymały.

Inna sprawa to skokowe, wielokrotne zwiększenie wydatków na badania nad bezpieczeństwem i zgodnością celów AI z długofalowym dobrostanem ludzkości (AI alignment). Na szali jest przecież życie ludzkie, i to nie tylko wszystkich ludzi żyjących dziś, ale także przyszłych pokoleń. ●

*Prof. Jakub Growiec

● jest ekonomistą, wykładowcą SGH w Warszawie oraz członkiem CEPR Research and Policy Network on Artificial Intelligence. Współpracuje też z organizacją PauseAI. Jego główne zainteresowania badawcze związane są z: ekonomią długookresowego wzrostu gospodarczego oraz postępu technologicznego, konsekwencjami sztucznej inteligencji i automatyzacji, funkcjami produkcji oraz kapitałem ludzkim i społecznym. Jest laureatem Nagrody Narodowego Centrum Nauki (2020) oraz Nagrody Naukowej „Polityki” (2012).

MAGAZYN wyborcza

**Tworzymy go
my i Wy:**
dziennikarze
i Czytelnicy

Opisujemy
wydarzenia,
poglądy i emocje.
**Zawsze
prawdziwe.**

Zachęcamy
do refleksji
i inspirujemy



Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.

MAGAZYN
wyborcza

szukaj w punktach sprzedaży prasy
przez cały tydzień!

KASPER KALINOWSKI: Pierwszy samolot skonstruowany przez braci Wright i pierwsze lądowanie na Księżycu dzieli 66 lat. Czego doczekamy za naszego życia, jeśli chodzi o kosmiczne odkrycia?

TOMMASO GHIDINI*: Po pierwsze, będziemy mieć bazę na Księżycu. Jestem o tym przekonany. Czasem wyobrażam sobie następne pokolenie z przyszłości, które decyduje, czy chce lecieć na Erasmusa do Warszawy, Madrytu czy na... Księżyc.

Wierzę, że nasi studenci będą mogli kiedyś odbyć praktyki w laboratorium na Księżycu. Obecnie konstruujemy m.in. system nawigacji oraz dostarczenia internetu na Księżycu. To projekt Moonlight, który sprawi, że astronauta na Księżycu będą mieć WhatsAppa. Co do Marsa...

Nie sądzę, abyśmy za naszego życia mieli tam kolonię, ale z pewnością odbędą się już jakieś misje załogowe na Marsa. Mówimy dziś, że astronauta, który poleci na Marsa, jest dzieckiem, które ma obecnie od pięciu do sześciu lat.

Ty swoim trzecim dzieckiem nazywasz raketę Vega, jeden z projektów Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA).

– Pierwszy start Vegi to chwila, którą trudno opisać. Na całym ciele odczuwałem każde obliczenie, test, kontrolę czy symulację, które wykonałem w ciągu kilku lat. Wcześniej nie spałem całą noc, w sumie nawet się nie kładłem. Nie chcę, aby moim synom zrobiło się przykro, ale to podobne uczucie do obserwowania dorastania własnych dzieci. Nie przesadzę więc, gdy powiem, że kiedy patrzę na sylwetkę tej rakiety, to jakbym patrzył na moje trzecie dziecko.

Porozmawiajmy o innym projekcie ESA, czyli sondzie kosmicznej Rosetty. Bo ta misja wydaje mi się... szalona.

– Ująłeś to idealnie. To wszystko było szalone. Pierwszy raz w historii udało się wtedy wylądować na komecie. Komety różnią się od wszystkich innych obiektów w kosmosie. Może dlatego fascynują nas od lat?

Wyobraź sobie teraz próbę wylądowania na komecie – to była konkretnie 67P/Czuriumow-Gierasimienko. Wyobraź sobie 7 mld km przeleciań w kosmosie i 12 lat spędzonych w przestrzeni. I obliczenia, które musiały uwzględnić cztery asysty grawitacyjne Ziemi i Marsa w celu nabrania odpowiedniej prędkości albo dwa przeloty przez pas planetoid między orbitami Marsa i Jowisza.

W tamtym czasie nie mogliśmy dotrzeć do komety w linii prostej. Technologia jeszcze na to nie pozwalała. Wiele urządzeń pokładowych Rosetty wykonano w technologii z 1985 roku – Rosetta wystartowała przecież w 2004 r. A połowa lat 80. to był zupełnie inny świat. Nie istniały e-maile, nikt nawet nie marzył o odtwarzaczach

MOGLIŚMY JUŻ BYĆ NA MARSIE

Za naszego życia doczekamy się lotów załogowych na Marsa – mówi Tommaso Ghidini z Europejskiej Agencji Kosmicznej. I tłumaczy, dlaczego w „Armageddonie” Bruce Willis dał ciała

DVD czy pendrive'ach, a muzyki w samochodzie słuchało się wyłącznie z kaset.

Całkowita pamięć głównego komputera Rosetty wynosiła 1 megabajt. Musieliśmy więc zastosować sztuczkę i wykorzystać grawitację planet. Dzięki tej sile przyspieszaliśmy Rosettę.

W tamtym czasie, nawet gdybyśmy użyli najbardziej zaawansowanych technologicznie paneli słonecznych, to przy takiej odległości od Słońca mogłyby wyprodukować ilość energii wystarczającą do uruchomienia... tostera. Dlatego zdecydowaliśmy się na coś, czego nikt w misjach kosmicznych nie próbował. Wyłączyliśmy satelitę na prawie 3 lata. Wyobraź sobie, że wyłączasz telefon komórkowy i próbujesz go uruchomić po trzech latach. Jak się włączy, to cud, co? A nam udało się to zrobić z satelitą, który przebywał w kosmosie narażony na meteoroidy, promieniowanie czy zamrożenie w temperaturze -120 stopni Celsjusza.

Do tego mogliśmy go obsługiwać z 40-minutowym opóźnieniem – tyle trwała podróż sygnału radiowego. Nie mieliśmy jeszcze wystarczającej, nazwijmy to, anteny, która mogłaby odbierać sygnały z tak odległego punktu jak Ziemia. W przypadku komety znajdowanie się „blisko” oznacza miliardy kilometrów od Słońca.

Skonstruowaliśmy antenę o średnicy 35 metrów i udało się. Rosetta się obudziła. Według mnie piękno tej chwili to czysta poezja. Dwudziestu kilku inżynierów wpatrywała się w ekran z parametrami żywymi Rosetty niczym w elektrokardiogram pracy serca. Wykres przestał być płaski. Oznaczało to: „Jestem tutaj, żyję. Co mam zrobić?”.

To było najtrudniejszą częścią tej misji?

– Trudno wskazać najtrudniejszy element. W czasie lotu nie mieliśmy gotowych obliczeń dla każdej trajektorii. Musieliśmy wykonywać je na bieżąco i wysyłać. Przedtem trzeba było również przelecieć przez pas asteroid.

Jak w „Gwiezdnym wojnach”?

– Problemy z przelatywaniem przez pas asteroid są dokładnie odwrotne niż w słynnej scenie z „Gwiezdnym wojnach”. Tam planetoidy są wszędzie, a wiele statków kosmicznych roztrzaskuje się o ich powierzchnie. To absurd, bo prawdopodobieństwo zderzenia z którymś z ciał niebieskich w pasie jest bardzo niskie. Wyzwaniem jest raczej znalezienie obiektu. A skoro już przelatujesz w pobliżu, to warto wykorzystać taką wyjątkową sposobność i wykonać zdjęcie.

Pod koniec musieliśmy podjąć decyzję, gdzie wylądować. Tu również Hollywood mija się z rzeczywistością. Powierzchnia komety bardziej przypomina konsystencję pianki na cappuccino niż skały. Można się w niej zanurzyć, a więc zostać uwięzionym i zginąć, albo wpaść do krateru. W najgorszym przypadku kometa może mieć zbyt niską grawitację, która nie zatrzyma sondy. Wtedy Rosetta odleciałaby w kosmos i zginęła na zawsze.

Na szczęście nasza kometa miała średnicę 2,5 km, więc był to duży obiekt. Niestety, kiedy próbnik Philae, który wcześniej odłączył się od sondy, dotknął powierzchni komety, stało się to, czego obawialiśmy się najbardziej. Nie zadzia-

łał silnik pomocniczy na ciekły azot, który miał zapobiec odbiciu się lądownika od powierzchni komety. Philae wyglądał jak akrobata, który skacze w cyrku. Wyglądało nawet, że dobrze się bawi... Oczywiście te kilka skoków trwało ponad dwie godziny.

Nie uległ zniszczeniu?

– Tak działa fizyka. Grawitacja komety jest bardzo niska, więc jego waga była prawie zerowa. Jego 100 kg wagi to przy takiej grawitacji zaledwie kilka gramów.

No dobrze, ale po co w ogóle lądować na komecie?

– Cóż, powody są dwa i oba wiążą się z początkami życia na Ziemi. Jedno z wyjaśnień zakłada, że życie, jakie znamy, te oparte na węglu, rozpoczęło się gdzieś w prehistorycznej zupie składników. Drugie – że życie przybyło na Ziemię z kosmosu. Nawet nie musiał to być Układ Słoneczny, ale jakiś jeszcze bardziej odległy. Tego oczywiście nie wiemy, ale jeśli tak było, to na pewno potrzebna była kometa.

Ta okazała się bogata w związki organiczne, jak sole amonowe, mocznik i glicyna, zawierające łańcuchy węglowodorowe, a oprócz nich wodę i metan. Wszystkie z nich są najważniejszymi prekursorami życia na Ziemi.

Możliwe więc, że życie przybyło na komecie. Ale równie łatwo może zostać wymazane przez kolejną.

– Niestety. Wiele mówi o tym los dinozaurów. Żyjesz sobie, być może całkiem szczęśliwie, nawet panujesz nad planetą i znikasz w jednej chwili. 66 milionów lat temu na półwyspie Jukatan na Ziemi spadła taka kometa. Sam krater liczy ponad 170 km średnicy i 20 km głębokości.

Liczba odłamków jest trudna do opisanie, a niektóre z nich osiągnęły nawet prędkość ucieczki i znalazły się w przestrzeni kosmicznej. Niestety, większość spadła z powrotem na Ziemię kilka godzin po uderzeniu. Trudno wyobrazić sobie tamtą skalę pożarów czy tryliony kilogramów, które rozgrzały atmosferę, z której spadało... płynne szkło.

Potem nadeszła nuklarna zima?

– Myślę, że to było jeszcze gorsze. Do tego dinozaury miały niesamowitego pecha. Ciało trafiło pod kątem

• Łazik Perseverance, który w 2021 roku wylądował na Marsie. Pobiera próbki skały w kraterze Jezero (ilustracja koncepcyjna)
FOT. NASA/GETTY IMAGES

60 stopni, czyli najbardziej śmiertcionośnym z możliwych. Do tego, gdyby do uderzenia doszło zaledwie kilka minut później, to za sprawą ruchu obrotowego Ziemi trafiłoby w ocean.

Ale gdyby nie to, nie rozmawialibyśmy obecnie.
– Tak, pełna racja.

No i dinozaury nie miały Bruce’a Willisa, który w „Armageddonie” wylądował na asteroidzie i unieszkodliwił ją ładunkiem nuklearnym.

– To, co zrobił Bruce Willis, jest całkowicie błędne z astronomicznego punktu widzenia. To dobre rozwiązanie dla hollywoodzkiego filmu, ale Europejska Agencja Kosmiczna czy NASA przenigdy by po takie nie sięgnęły. Bo to sprawiłoby, że zamiast jednej asteroidy w kierunku Ziemi zbliżałyby się dwie. Bruce Willis pogorszył sprawę – tak naprawdę co najmniej podwoił niebezpieczeństwo.

Jakie rozwiązanie byłoby lepsze?

– Asteroidy nie trzeba niszczyć. Wystarczy w nią trafić. Jeśli w coś trafisz, zmieniasz jego prędkość. A zmieniając prędkość, zmieniasz trajektorię. To działa, ale spróbuj nakreślić o tym filmową superprodukcję.

Statek kosmiczny należący do NASA – DART – uderzył w Księżyc niemal czółowo, skracając jego okres orbitalny o kilka minut. Misja zakończyła się sukcesem. Jak sama nazwa wskazuje, był to satelita, który został wystrzelony niczym rzutka, która miała trafić w cel.

Jestem niezwykle dumny z tego projektu. Przed tą misją ludzkość nie posiadała żadnych sposobów na obronę. Moglibyśmy tylko obserwować zbliżający się koniec. Teraz rozpoczynamy kolejną podobną misję. W Europejskiej Agencji Kosmicznej żartujemy już, że dinozaury wyginęły, bo nie miały własnej agencji kosmicznej.

Po „Gwiezdnym wojnach” zburzyłeś właśnie kolejny mit dzieciństwa wielu osób. Rozprawmy się z kolejnymi. W czym jeszcze kino przekłamuje rzeczywistość w kosmosie?

– Słyszymy dźwięki w próżni, a to niemożliwe. Dźwięk potrzebuje ośrodka, w którym mógłby się rozchodzić.

Kosmos jest więc zimny i panuje w nim cisza.

– Dokładnie tak. I to cisza pełna zabójczego promieniowania i meteorytów.

Tylko że jesteśmy produktem ewolucji. Jak niby mamy zdobywać inne planety? Jeśli pewnego dnia polecimy na Marsa, to przede wszystkim będzie to szkodliwe dla naszych ciał.

– Oczywiście. Nie jesteśmy w najmniejszym stopniu zaprojektowani do przebywa-

nia na Marsie ani na żadnej innej planecie w Układzie Słonecznym. Jeśli planujemy kolonizację kosmosu, zapomnijmy o Wenus, bo jest zbyt gorąca, czy Jowiszu, bo to gazowa planeta. Jedynie odwiedzenie Marsa ma sens. Ale problemów jest cała masa. Atmosfera tam jest bardzo rozrzedzona i nie ma oczywiście powietrza, którym moglibyśmy oddychać. Składa się głównie z dwutlenku węgla, więc po prostu byśmy się udusili. Do tego zabiłoby nas promieniowanie, bo Mars nie ma atmosfery, która by je filtrowała, ani pola magnetycznego, które je odbija.

No i musieliśmy tam dolecieć. A to dwa lata spędzone w warunkach zerowej grawitacji. Oznacza to ubytki w szpiku kostnym i utratę dużych ilości wapnia z kości, które staną się przez to ekstremalnie kruche. Serce będzie pracować, ale układ sercowo-naczyniowy zostanie bardzo osłabiony.

Na końcu mamy aspekt psychologiczny. To dwa lata spędzone przez sześciu ludzi w ciasnym pudełku, z którego nie ma wyjścia.

Według mnie pozabijaliby się przed dotarciem do celu.

– Niestety, jest takie ryzyko. Albo zabiją się nawzajem, albo popełnią samobójstwo. Dlatego jeden z działów ESA pracuje nad hibernacją. To rozwiązanie może umożliwić dotarcie na Marsa. Przecież hibernacja jest od dawna stosowana w chirurgii. W trakcie operacji schładza się ludzkie ciało.

Hibernacja wymagałaby jeszcze większego obniżenia temperatury. W teorii nie traci się wtedy masy mięśniowej i nie powinno to mieć wpływu na układ sercowo-naczyniowy. Nie odczuwa się również tak bardzo skutków promieniowania. To ostatnie już udowodniliśmy. Najważniejsze jest chyba jednak to, że nie możesz stać się agresywny, ponieważ śpisz. Do tego nie jesz i nie produkujesz odpadów.

Poza hibernacją rozwiązaniem jest zwiększenie mocy silników. W takim projekcie uczestniczę. Zastosowanie napędu nuklearnego skróciłoby podróż na Marsa czterokrotnie.

Wiele lat temu, za czasów prezydenta Nixona, ludzkość mogła dolecieć na Marsa.

– Wernher von Braun [niemiecki konstruktor, członek SS, współtwórca rakiet V2, po II wojnie światowej opracowywał amerykański program kosmiczny] odpowiadający za pierwszą załogową misję na Księżyc w 1969 r. miał opowiedzieć o tym na specjalnym spotkaniu z prezydentem i Kongresem. Tymczasem on na 51 slajdach pokazał szczegółowe plany następnej opracowanej przez siebie misji – lotu na Marsa. Można je wciąż znaleźć w sieci. O Księżycu mówił zaledwie pięć minut, a pozostałe 40 poświęcił Marsowi. Przedstawił nawet propozycje systemów napędowych i plan budżetu.

To, co zrobił Bruce Willis, jest całkowicie błędne z astronomicznego punktu widzenia. Pogorszył sprawę, tak naprawdę podwoił niebezpieczeństwo

Ale Kongres nie odważył się zagłosować „za”. Trwała wojna w Wietnamie, która pochłaniała mnóstwo funduszy. Gdyby nie ta wojna, już byśmy byli na Marsie, dziś znajdowałaby się tam już ludzka kolonia.

Jak mogłaby wyglądać?

– Przede wszystkim nie możemy zabrać wszystkich zapasów z Ziemi. Trzeba projektować rozwiązania pozwalające wykorzystać zasoby, które już są na planecie. Druga sprawa to recykling. Musimy do granic możliwości wykorzystywać to, co już mamy ze sobą.

Pomyślmy o wyprawie Krzysztofa Kolumba. Nie przywiózł domów z Europy za ocean. Budowano je z lokalnych materiałów. W przypadku Marsa musimy zrobić tak samo. Podróży nie rozpoczniemy jednak z Ziemi. Trzeba wykorzystać Księżyc, który jest bramą do Marsa. Jest blisko Ziemi, więc można łatwo do niego dotrzeć. Można tam przeszkolić astronautów, którzy zapoznają się z procedurami, technologiami itd. Księżyc jest dość reprezentatywny – na jego powierzchni również nie da się przeżyć. Mam nadzieję, że pierwszy astronauta dotrą tam już w 2027 r. Prace nad taką bazą Deep Space Gateway już ruszyły.

Tylko że wyprawa Kolumba była początkiem zagłady rdzennych mieszkańców... Do tego często powtarzana jest opinia, że podróż na Marsa to bilet w jedną stronę.

– Nie wysyłamy na Marsa misji samobójczej, pierwsi ziemscy koloniści będą w stanie wrócić na Ziemię! Dlatego tyle projektów dotyczy technologii umożliwiającej powrót, no i najpierw badamy Marsa za pomocą robotów.

Ale po co w ogóle ludzie? To niebezpieczne, a mamy już sztuczną inteligencję, która będzie się dynamicznie rozwijać.

– *Homo sapiens* to gatunek zdobywców. Mamy to w genach. Jest taka piękna anegdota o wielkim odkrywcy oceanów Jacques’u Cousteau. Kiedyś popłynął na Kretę w poszukiwaniu śladów starożytnej greckiej cywilizacji. Gdy zacumowali w porcie Heraklion koło Knossos, rozpuściła się nawałnica, której towarzyszył wiejący z północy porywisty wiatr, słynny śródziemnomorski meltemi.

Wtedy Cousteau doznał olśnienia. Port w Knossos nie zdołałby ochronić przed tego rodzaju wiatrem statków króla Minosa. Kierowany intuicją podплыł do niewielkiej wysepki w pobliżu – Dia. Tam odkrył sześć wraków statków.

Żaden robot by tego nie dokonał. Wciąż tylko ludzie mają intuicję i potrafią połączyć odległe elementy, które pozornie nie są ze sobą powiązane. Dobrze oddaje to odkrycie penicyliny. Pierwszy antybiotyk nie powstałby, gdyby Alexander Fleming nie zostawił bałaganu w laboratorium. Zbadał przecież, z ludzkiej ciekawości, bakterie na brudnej szalce. Robot wyrzuciłby wszystko.

W swojej książce opisujesz mężczyznę, który kiedyś wręczył ci zdjęcie afrykańskiego dziecka usiłującego napić się wody z brudnego strumyka. Podpisał je: „Ludzkość nie ma pieniędzy, żeby wydobywać wodę w suchych obszarach świata, za to ma środki, żeby szukać wody na Marsie. Pytanie brzmi: czy na Ziemi istnieje inteligentne życie?”

– Miało to miejsce podczas wydarzenia popularyzującego naukę. Miesiąc wcześniej za pomocą radaru umieszczonego na jednym z naszych satelitów znaleźliśmy wodę 5 km pod powierzchnią Marsa. Dokładnie jezioro o powierzchni 20 km, pełne słonej wody. To odkrycie na miarę Nobla, ponieważ słona woda w stanie ciekłym, którą można znaleźć w Układzie Słonecznym, jest zamrożona, co oznacza brak życia. Woda w stanie ciekłym to dowód, że jakieś życie może tam istnieć. Nie znaleźliśmy jednak jego śladów, ale radar nie został skonstruowany do jego wykrywania.

Pozornie to potężny argument, ale ten mężczyzna nie miał racji. Dlaczego latamy w kosmos, a on, i my wszyscy, musimy za to płacić? Weźmy misję Apollo. To projekt, który stworzył ok. 135 tys. patentów, co oznacza nowe technologie, nowe firmy i wzrost ekonomiczny. Nawet tomograf, który jest używany w każdym szpitalu, jest jednym z nich. Podobnie mikroprocesor obecny w każdym sprzęcie, którego dziś używamy, choćby w filtrach do oczyszczania wody. To brutalne, ale dzięki misjom kosmicznym takie dzieci mogą liczyć na oczyszczenie wody w Afryce, a więc napicie się jej bez ryzyka chorób lub śmierci.

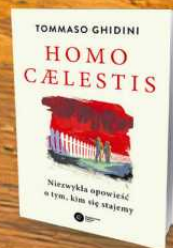
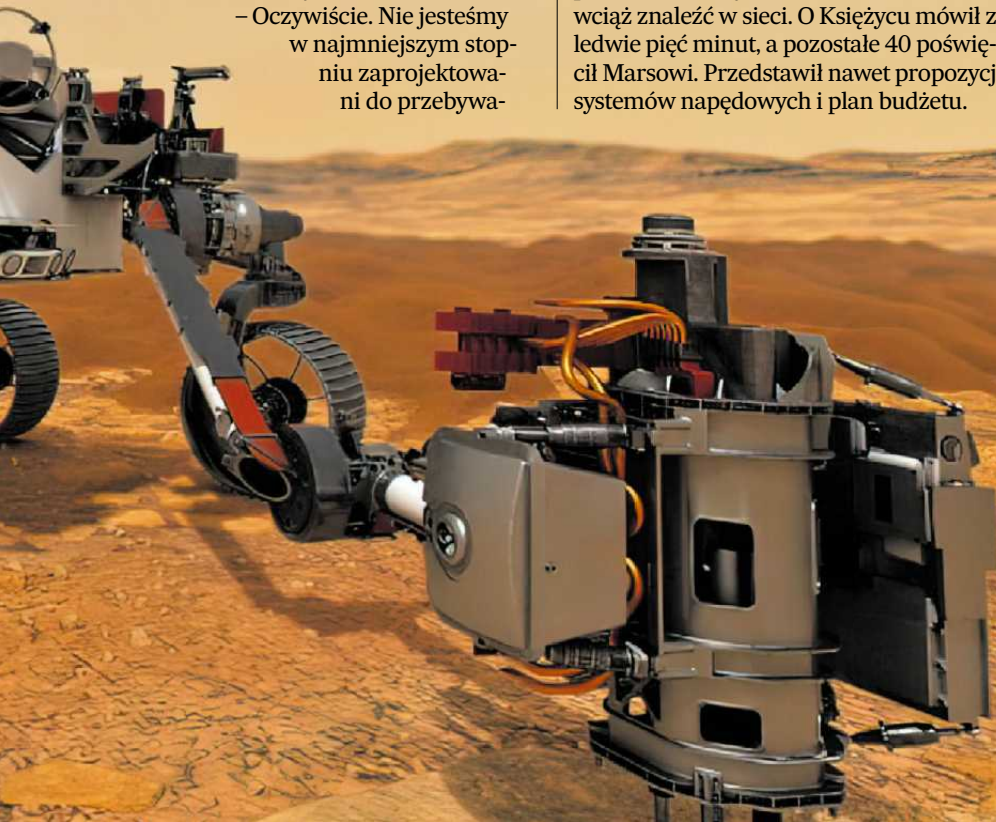
Dzięki misjom możemy wskazać z kosmosu miejsca w Afryce, gdzie można uprawiać rośliny. Potrafiemy również zrozumieć i przewidzieć, w jaki sposób zmiany klimatyczne wpłyną na kondycję, a co za tym idzie, produktywność roślin uprawnych. Nie tylko dajemy tym dzieciom pić, ale też jeść. Tylko dzięki rozwojowi nauki będzie to możliwe. Mawiamy, że „sky is the limit”. Nic podobnego. Niebo nie jest już granicą, ponieważ te już dawno przekroczyliśmy. Będziemy sięgać tylko dalej. ●



Dr Tommaso Ghidini

• wysoki urzędnik Europejskiej Agencji Kosmicznej, od 20 lat zaangażowany w najbardziej prestiżowe programy kosmiczne na świecie, autor książki „Homo caelestis. Niezwykła opowieść o tym, kim się stajemy”.

FOT. ANNEKE LE FLOC’H / EUROPEAN SPACE AGENCY



Gdzie są nasi nieobecni?



• Meg i Nancy Kissinger. Gdy w 1987 r. Meg opublikowała swój esej poświęcony siostrze, samobójstwo wciąż było tematem tabu. Do pracy szła z duszą na ramieniu. Niepotrzebnie

Tekst opowiada o przypadkach samobójstw. Jeśli potrzebujesz pomocy: Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych w Kryzysie Psychicznym: tel. 800 702 222 lub czat: centrumwsparcia.pl; Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111 lub czat: 116111.pl/czatuj/.

Mimo tabletek lęk ciągle towarzyszył matce. „Bała się o nas, jak gdyby przeczuwała, że nadciąga straszliwe nieszczęście, którego nic nie zdoła powstrzymać” – pisze Meg Kissinger. Miała sześć lat, gdy jej matka zniknęła po raz pierwszy.

Emilia Dłużewska

W piątek po południu 16 czerwca 1978 r. Nancy Kissinger wymknęła się z domu. Do pokonania miała trzy przecznice – tyle dzieliło jej dom rodzinny w zamożnej dzielnicy Chicago od torów kolejowych. Były godziny szczytu, miejskie kolejki jeździły często. Świadkowie opowiadali, że nie położyła się na torach, lecz szła w kierunku nadjeżdżającego pociągu.

Nancy miała 24 lata. Zaledwie kilka godzin wcześniej połknęła dużą dawkę środków uspokajających. Jej matka wezwała karetkę, ratownicy medyczni przepłukali jej żołądek. Rodzina była przestraszona, ale nie wstrząśnięta: Nancy miała już za sobą wiele prób samobójczych, kilkanaście hospitalizacji, epizody ciężkiej depresji.

Problemy zaczęły się dużo wcześniej: już jako 13-latką wagarowała, upijała się, kradła. Do bliskich odnosiła się z taką wrogością, że odsuwali się od niej przyjaciele, a rodzeństwo nie mogło jej znieść.

Tego dnia Holmer Kissinger wydał siedmiorgu swoim dzieciom polecenie: mają mówić, że śmierć Nancy to nieszczęśliwy wypadek.

Historia Nancy jest uderzająco podobna do innej, 13 lat wcześniejszej.

W kwietniu 1965 r. na tory wyszła 18-letnia Barbara Goldin, dziewczyna z zamożnych przedmieść Bostonu. Ona też miała za sobą liczne hospitalizacje. Od 12. roku życia sprawiała problemy wychowawcze: piła, wagarowała, przeklinała, obściskowała się z chłopakami, wchodziła w konflikt z otoczeniem, ścierała się z chłodną, wymagającą matką.

Jej rodzeństwo zaraz po śmierci siostry również zostało pouczone przez rodziców: Barbara zmarła w wyniku nieszczęśliwego wypadku.

Historię Nancy opowiada jej siostra – reporterka Meg Kissinger – w wydanej właśnie w Polsce książce „Nieobecni. Milczenie wokół chorób psychicznych w rodzinie”.

Historia Barbary to temat „Sisters, Saints, Sybils”, instalacji wybitnej amerykańskiej fotografi Nan Goldin, którą do 6 kwietnia można zobaczyć na retrospektywie Goldin w Neue Nationalgalerie w Berlinie.

Łączy je nie tylko to, że opowiadają o samobójstwie i żałobie z perspektywy młodszej siostry, ale też fundamentalna niezgoda na wstyd i będące jego wynikiem milczenie.

Siostry, święte, wieszczki

Instalację „Sisters, Saints, Sybils” Nan Goldin pokazała po raz pierwszy w Paryżu w 2005 r. W tym czasie artystka wróciła do pokazywania swoich zdjęć tak, jak robiła to w początkach kariery: zamiast wieszać je

na ścianach galerii, organizowała pokazy slajdów, którym towarzyszyła muzyka.

Tak jest i w Berlinie. Jej opowieść o siostrze ogląda się z balkonu, w wyciemnionym pomieszczeniu. Jest jak kościelny tryptyk: na trzech ekranach równolegle wyświetlane są zdjęcia Barbary i Goldinów, pozornie szczęśliwej rodziny z przedmieść, dokumentacja medyczna siostry, fotografie budynków i wnętrz instytucji, w których przebywała, torów kolejowych w miejscu, gdzie popełniła samobójstwo. Ale też inne obrazy: figury świętych i męczenniczek, w tym św. Barbary, według legendy uwięzionej w wieży przez ojca, który chciał ją zmusić do wyparcia się chrześcijaństwa, torturowanej i ściętej.

Są też zdjęcia znane z późniejszych cykli Nan Goldin: jej przyjaciół outsiderów z nowojorskiej bohemy, rodziny z wyboru, odnalezionej, gdy w wieku 14 lat wyprowadziła się z domu. Autoportrety robione w chwilach szczęśliwych i w tych najgorszych. Zdjęcia odradzającej się przyrody. W tle muzyka: Nick Cave, Bob Dylan, Marianne Faithfull. Johnny Cash śpiewa swoją wersję „Hurt” Nine Inch Nails.

Zza kadru artystka snuje opowieść o siostrze i o tym, jak śmierć Barbary odcisnęła się na niej samej. W siostrze widzi buntowniczkę, wzór. Pierwszą osobę, która uświadomiła jej, że nie musi żyć tak jak wszyscy wokół. Nan się to udało, choć ogromnym kosztem: doświadczyła prze-

mocy, uzależnienia, rozpacz. Była na pogrzebach dziesiątek przyjaciół.

„Sister, Saints, Sybils” to opowieść, którą trudno oglądać i od której trudno się odebrać. Jest w niej „całe to piękno i krew” – taki tytuł, zaczerpnięty z zapisków Barbary, nosi nagrodzony w Wenecji dokument Laury Poitras o artystce.

W tym również, może najbardziej poruszające, zdjęcia jej rodziców: starych, kruchych, całujących się czule. Jak to u Goldin, nie da się jednoznacznie powiedzieć, co przedstawiają. Portret mieszczańskiej hipokryzji? Sprawców czy ofiary społecznej presji każącej ukrywać rodzinną tragedię? A może po prostu ludzi, którzy są zdolni tak do okrucieństwa, jak i do czułości?

Depresja i lęk w rodzinie. Ośmioro dzieci i hektolitry ginu
To samo pytanie zadaje w swojej książce Meg Kissinger. Jej rodzina również pochodziła z klasy średniej, choć miała inne korzenie: rodzice Goldin byli amerykańskimi Żydami, Kissingerowie – katolikami o irlandzkich korzeniach. A to oznaczało dużo dzieci.

Zanim matka Meg, Jean Kissinger, w wieku 42 lat wyblagała księdza o dyspensę na antykoncepcję – kolejnego potomka nie wytrzymałaby ani jej macica, ani psychika – urodziła ich ośmioro. Nancy była druga z kolei, Meg czwarta. Siódme dziecko, syn Danny, popełnił samobójstwo latem 1997 r., 19 lat po śmierci siostry. Urodzony między Nancy a Meg syn Kissingerów, Jake, choruje na ciężką depresję, która uniemożliwiła mu usamodzielnienie. Epizodów depresyjnych doświadczyła też reszta rodzeństwa.

Nie jest to zaskakujące, biorąc pod uwagę, że problemy ze zdrowiem psychicznym mieli obydwaj rodzice: ojciec, Holmer, był czujący, porywczy i nieobliczalny. Po wielu latach dostał diagnozę choroby dwubiegunowej. Matka od wczesnej młodości zmagająca się z depresją i ze stanami lękowymi. Obydwaj usiłowali zalecać te problemy alkoholom, z fatalnym skutkiem. Meg pisze o hektolitrach ginu, drinkach wypijanych od rana, pustych butelkach po wódce upychanych w szafkach.

Ale też o tym, jak na stan psychiczny rodziców, zwłaszcza matki, wpływało otoczenie. Holmer pracował jako sprzedawca, do domu zjeżdżał w weekendy, oczekując obiadu na stole, czystych podłóg i grzecznych dzieci. Jean prała, prasowała, gotowała, zmywała, wycierała nosy, zawoziła dzieci na zajęcia i udzielała się w lokalnej społeczności. Pierwsze martini wypijała punkt 17, niekiedy przegryzając lekkiem na uspokojenie. Odpływała koło godziny 20, oddając dom we władanie dzieciom.

Mimo tabletek lęk towarzyszył jej nieustannie. „Bała się o nas, jak gdyby przeczuwała, że nadciąga straszliwe nieszczęście, którego nic nie zdola powstrzymać – pisze Kissinger. „Trzeba powiedzieć, że każde z nas dało jej powody do niepokoju” – dodaje.

Reporterka wylicza: mała Nancy wypadła z pierwszego piętra; Jake’a rodzice zostawili na stacji benzynowej, wracając z wakacji; siostrę Patty przypadkiem podtopił wujek, gdy cała gromada bawiła się w jeziorze; czteroletni Danny utknął w zaspie, gdy wyszedł się bawić w śnieżycy; dwuletnia Molly dwukrotnie zjadła całe opakowanie aspiryny; czteroletni Billy urywał się z domu i wędrował po okolicy, przekraczając autostrady.

Meg jako dwulatka wpadła do zamarniętego jeziora, bo rodzice zostawili ją pod opieką czteroletniego brata.

Lęki matki trudno uznać za bezzasadne – upilnowanie ośmiorga dzieci było zadaniem ponad jej siły.

Dzień, w którym zniknęła matka
Meg miała sześć lat, gdy jej matka zniknęła po raz pierwszy. Kiedy się obudziła, Jean nie było w domu. Ojciec kazał jej i Patty spać, kazać rzeczy i wsiadać do samochodu. Bez słowa wyjaśnienia zawiózł je do mieszkającej w innej części Chicago rodziny. A kilka



Założenie, że brak diagnoz oznaczał brak chorób i brak cierpienia, jest albo skrajną naiwnością, albo zaklinaniem rzeczywistości

dni później bez słowa wyjaśnienia odebrał. W kuchni czekała matka dopijająca martini.

Podobny scenariusz powtarzał się kilkakrotnie. Z czasem Meg zaczęła domyślać się tego, o czym – jak pisze – „prawdopodobnie wiedziała cała parafia”: że zniknięcia matki oznaczają jej hospitalizację. A jej wyczuwalne zobojetnienie to efekt działania leków. Jej rodzina nadal jednak o tym nie rozmawiała.

Podobnie jak przez lata nie rozmawiała o wielu innych rzeczach: o tym, dlaczego rodzina musiała zrezygnować z członkostwa w eleganckim klubie nad jeziorem i spontanicznych wydatków. O aborcjach dwóch starszych siostr. O tym, czemu Nancy rzuciła studia i wróciła do rodzinnego domu. O tym, że Danny coraz bardziej dziwaczeje. O próbie samobójczej matki. O tym, że młodsza siostra Meg, Patty, pod koniec studiów dobrowolnie spędziła kilka dni na oddziale psychiatrycznym, reporterka dowiedziała się dekady później.

Powodem był nie tylko wstyd, ale społeczna i religijna presja. Po śmierci Nancy rodzice bali się, że ksiądz odmówi ich córce katolickiego pochówku.

W historii Kissingerów tabu łączy się z wyparciem: gdy Meg urodziła dziecko, frustrowało ją niewielkie wsparcie ze strony matki. Jean zdawała się całkowicie bezradna. Problemy ze zdrowiem psychicznym (w tym depresja poporodowa) w połączeniu z valium, ginem i piekielnym zmęczeniem – ośmioro dzieci w ciągu 12 lat! – sprawiły, że z czasów opieki nad dziećmi pamiętała niewiele. Dużo lepiej odnajdowała się jako babcia czytająca wnukom bajki i dziergająca im na drutach sweterki.

Bez magicznej przemiany
Macierzyństwo dało Meg coś niezwykle ważnego – impuls do przzerwania milczenia. Był 1987 r., Kissinger pracowała już jako dziennikarka. Jej syn miał pięć miesięcy, kiedy wpadła z nim na noc do rodziców. Niemowlak dostał gorączki, nie mógł spać. Meg, usiłując go uspić, szukała czegośkolwiek do czytania. Padło na księgę pamiątkową z liceum, w której odkryła rysunki i dopiski starszej siostry.

„Pewnie nadal byłam pod wpływem wczesnomacierzyńskich hormonów; tak czy inaczej ogromnie pragnęłam, by Charley mógł ją poznać – i od najlepszej, i od najgorszej strony” – pisze w książce. W ciągu kilku godzin, kiedy jej syn drzemał, napisała osobisty esej o samobójstwie siostry. Ukazał się na pierwszej stronie niedzielnej wydania.

Był rok 1987. Samobójstwo wciąż było w Ameryce tabu. Ojciec Meg był wściekły, matka wzięła ją w obronę. Meg do pracy szła z duszą na ramieniu, bojąc się napiętnowania. Niesłusznie – jej tekst wzbudził ogromne poruszenie. I okazał się bardzo potrzebny, nie tylko autorce.

Choć ci, którzy czekają na wielkie, szczęśliwe zakończenie, będą rozczarowani. Bo książka Kissinger to też świadectwo tego, że w prawdziwym życiu nie ma co liczyć na łatwe happy endy. Prawda nie jest magicznym zaklęciem, którego wypowiedzenie wszystko odmieni – jest co najwyżej pierwszym krokiem na drodze prowadzącej przez nagromadzone traumy, przemilczenia, urazy. Szczerość nie sprawi, że rodzinne problemy cudownie znikną, a członków rodziny nie przemieni w niepełniające błędów anioły.

Ale jest szansa, że pozwoli uniknąć choć części nadciągających katastrof.

Kissingerom pozwoliła stać się uważniejszymi – nie tylko na potrzeby rodzeństwa, ale też na siebie samych. I nieco lepiej radzić sobie z bólem po śmierci najbliższych.

Dla Meg Kissiner poświęcony Nany esej był też początkiem drogi zawodowej. Reporterka przez wiele lat opisywała dysfunkcje amerykańskiego systemu, który wielu chorych zostawiał samym sobie. Była głosem ich rodzin, które z powodu społecznego tabu często bały się dochodzić praw swoich bliskich.

Kiedyś chorób psychicznych nie było?

Nan Goldin i Meg Kissinger przetrwały traumę, bo pomogło im coś więcej: wsparcie bliskich.

Dla Kissinger byli to rodzeństwo i rodzice, którym wybaczała tym więcej, im lepiej poznawała ich historię. Reporterka nie wybiela rodziców – jej rodzinę dziś określilibyśmy jako dysfunkcyjną – ale próbuje ich zrozumieć. Pomaga w tym przekonanie, że mimo błędów Kissingerowie swoje dzieci kochali.

Jednym z najbardziej poruszających momentów książki jest rozmowa reporterki z dawną opiekunką, wówczas studentką. Meg jest po sześćdziesiątce, Linda koło osiemdziesiątki. – W waszym domu było mnóstwo miłości – mówi. A Kissinger czuje ulgę: dobre rzeczy, które zapamiętała z dzieciństwa, nie były złudzeniem.

Goldin swoją rodzinę zbudowała na nowo. Począwszy od fotografa Davida Armstronga, z którym zaprzyjaźniła się, gdy obydwaj byli nastolatkami, przez kolejne osoby, często równie poobijane przez życie. Nie pasowali do społecznych norm, ale nie uważali się za wyrzutków: chcieli po prostu żyć po swojemu i nieszczególnie obchodziła ich opinia większości.

Ich albumem rodzinnym stał się słynny cykl „The Ballad of Sexual Dependency” powstający na przestrzeni ponad 40 lat. Jego również można obejrzeć w ramach berlińskiej retrospektywy.

Warto tę wystawę zobaczyć. I warto sięgnąć po książkę Meg Kissinger. Zwłaszcza w kontekście powracającej debaty o „modzie na choroby psychiczne”, rytualnych narzekań na „nadwrażliwość” młodych pokoleń. Do zjawiska rosnącej liczby diagnoz warto – jak do wszystkiego innego – podchodzić krytycznie, dostrzegając zalety, ale także zagrożenia: medykację życia psychicznego, rosnącą popularność pseudoterapii, ryzyko poppsychologicznych uproszczeń.

Jednak założenie, że brak diagnoz oznaczał brak chorób i brak cierpienia, jest albo skrajną naiwnością, albo zaklinaniem rzeczywistości.

Jest też skazywaniem dotkniętych chorobami na samotność, wykluczenie, zapomnienie. Polskie realia opieki psychiatrycznej różniły się i nadal różnią od amerykańskich – pod wieloma względami na plus. Historie Kissingerów i Goldinów będą się różnić od historii Kowalskich i Nowaków. Ale i w naszych rodzinach nie brakuje Nieobecnych. Nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. ●



• Meg Kissinger, „Nieobecni. Milczenie wokół chorób psychicznych w rodzinie”.
Wyd. Czarne, 2025



• Retrospektywę Nan Goldin „This will not end well” można zobaczyć w Neue Nationalgalerie w Berlinie do 6 kwietnia br. Następnie pojedzie do Mediolanu, a potem do Paryża.

Akty strzeliste w kościele kina



• Cannes 1994.
Ekipa filmu „Pulp Fiction”.
Reżyser Quentin Tarantino
(w środku) i część obsady
(od lewej): John Travolta,
Uma Thurman, Bruce Willis
i Maria de Medeiros

FOT. PATRICK HERTZOG/AFP/EAST NEWS

Tadeusz Sobolewski

Fragment książki „Cannes. Religia kina”

Ispiracją każdego uczestnika Festiwalu Filmowego w Cannes – zarówno widza, jak i twórcy – jest arcydzieło. I arcydzieła się zdarzają.

Krzysztof Kieślowski, „Trzy kolory: Czerwony”
„Filmujemy przypadek – opowiadał mi autor zdjęć Piotr Sobociński na planie „Czerwonego” w Genewie. – Ale przypadku nie można pokazać, filmując przypadkowo. Rzeczywistość musi być pod całkowitą kontrolą, żeby przypadek mógł się objawić. Każdy detal filmu został więc podporządkowany temu, cośmy sobie uprzednio wymyślili. Każdy kostium, każdy element dekoracji, każdy statysta, każdy kolor. Powstała lista około trzystu elementów znaczących. Ich znaczenie musiało zostać nie tyle odsłonięte, ile właśnie ukryte. Zbudowaliśmy miśterną siatkę skojarzeń opartą na innej zasadzie, niż to bywa w kinie. Zwykle pewne szczegóły pojawiają się, żeby zapowiedzieć coś, co dopiero się stanie. Tu natomiast kolejne sceny pokazują, że rozstrzygnięcie już zapadło, a przypadkowe zdarzenia tylko wypełniają gotowy plan.”

Pewien chłopak spotyka dziewczynę. Jest to ukazane jako zdarzenie tajemnicze, wręcz cudowne, prawie niemożliwe – wynik niezliczonych zbiegów okoliczności i finałowej, gigantycznej katastrofy. Kieślowski wyznaczył sobie zadanie karkołomne: pokazać na modelu, jak tworzy się scenariusz życia.

Pozostają już tylko Kieślowski i Tarantino. Kiedy Clint Eastwood ogłasza, że Złotą Palmę otrzymuje „Pulp Fiction”, w Théâtre Lumière podnosi się wrzawa. Głosy entuzjazmu są równie silne jak głosy sprzeciwu. Jakaś kobieta z balkonu protestuje tak donośnie i długo, że trzeba trzykrotnie ją uciszać.



• Na czerwonym dywanie przed pałacem festiwalowym. Reżyser Krzysztof Kieślowski i gwiazdy jego filmu „Trzy kolory. Czerwony”: Jean-Louis Trintignant i Irene Jacobe

W „Czerwonym” patrzymy na rzeczywistość oczami autora. Kto nim właściwie jest? Pretenduje do tej roli stary, zgorzkniały mizantrop (Jean-Louis Trintignant), który śledzi ludzkie występki i grzechy. Przez lornetkę obserwuje swoich sąsiadów, podsłuchuje ich rozmowy przez radiotelefon, manipuluje ludźmi. Valentine (Irene Jacob), dziewczyna, która trafiła do niego przypadkiem, przywożąc rannego psa, zastaje go w trakcie podsłuchów.

– Kim pan jest, policjantem? – pyta.
– Gorzej, sędzio – odpowiada starszy pan.
Czy jest jasnowidzem, czy tylko bystrym obserwatorem kojarzącym dane? Demiurgiem? Czy Panem Bogiem z ludzkich wyobrażeń? Nie wiemy, jak daleko sięga jego władza. Dlaczego się jej wyrzeka? Czy to odruch sumienia? Miłości? Może osiągnął wszystko, co chciał?

Każda odpowiedź okazuje się niewystarczająca.

Przekonałem się o tym na planie zdjęciowym w Genewie. Znalazłem w scenopisie momenty, kiedy kamera uwalnia się spod kontroli, biegnie za spadającym przedmiotem, a kula bilardowa sama przejmuje prowadzenie. Tak jakby kino opowiadało o sobie samym.

Kieślowski sprostował: „Może jest ktoś, kto widzi to wszystko i patrzy z każdego punktu? Myślę, że to nie jest zabawa w kino, tylko w tego kogoś”.

Pytanie, czy sędzia z filmu jest, czy nie jest Bogiem, wydało mi się absurdalne. Ten, kogo kiedyś nazywano Bogiem, w świecie zdesakralizowanym znajduje się między ludźmi. I sędzia robi coś bardzo chrześcijańskiego: pod wpływem Valentine rezygnuje z sąđenja, które wynikało z potrzeby zemsty.

FOT. AFP/EAST NEWS

Kieślowski przez długi czas uchodził za reżysera politycznego, ukrytego buntownika, wiecznego opozycjonistę. Wydaje się jednak, że ta rola nie do końca mu odpowiadała. On szedł dalej. I tak jak sędzia z „Czerwonego” rzekł się roli reżysera, który osądza.

„Nic nie musisz”, usłyszał bohater Przy-padku od umierającego ojca. Ale to jego „nie muszę” – jego wolny wybór – okazywało się zadaniem do spełnienia, obowiązkiem, choć wybór drogi należał do niego samego. Wypelniając dany z góry plan, kierujemy się wolną wolą.

„Czerwony” to właśnie pokazuje. Kino umożliwiające identyfikację z drugim człowiekiem, przełamujące bariery stało się dla Kieślowskiego poligonem międzyludzkiej jedności, utopią cenniejszą niż wszelkie ideologie i religie.

„Mam poczucie, jakby wokół mnie działo się coś ważnego” – mówi Valentine. Podobny stan niepokoju oddawało „Podwójne życie Weroniki”. Ale tam był on wywoływany w sposób arbitralny, podczas gdy w „Czerwonym” symboliczna treść jest wpisana w sytuacje zwyczajne. Valentine odwozi potrąconego psa pod adres podany na obroży. W tym momencie – jak w bajkach – decyduje się jej los.

Dyskretne arcydzieło Kieślowskiego jest obroną kina, obroną roli reżysera, który ma udział w stwarzaniu rzeczywistości, wierzy, że może na nią wpływać – nie po to, by narzucać swoją wolę, tylko dla dobra innych, by spełnić plan istniejący poza czasem.

Film pozwala podpatrzeć, jak życie układa się w całość, jak na przecięciu różnych spojrzeń tworzy się rzeczywistość. Ale cała ta skomplikowana maszyna, z której istnienia nie zdają sobie sprawy uczestnicy wydarzeń, toczy się z niezwykłą lekkością, jak perpetuum mobile.

Pożegnanie z kinem

Podczas konferencji prasowej Kieślowski był jak zwykle lakoniczny. Natomiast pytania dziennikarzy zamieniały się w długie, bardzo osobiste recenzje filmu. Reżyser ze wszystkimi się zgadzał – odprężony, uśmiechnięty, trochę nieobecny. Jak po dobrze wykonanym zadaniu.

– Rozczarował się pan kinem? – pytają.
– Tak – odpowiada bez namysłu – bo nigdy nie można osiągnąć tego, co się chce. W „Czerwonym” udało się stosunkowo najwięcej, choć też daleko do doskonałości. No, ale ze 35 procent się udało. Zwykle wychodzi nie więcej niż 30 procent.

– W filmie pojawia się Kawiarnia Filozofów w Genewie. Czy to ma jakieś znaczenie?
– Ona naprawdę tak się nazywa i może paru filozofów piło tam kawę. Jeśli uznać Camusa za filozofa, to jego ślad jest w tym filmie. Myślę jednak, że filozofia jest równie jak my bezradna wobec świata. Ona też nic nie wie. Natomiast pomysły na urządzenie świata nieraz powodowały, że trzeba było wkładać wojskowe buty i iść na wojnę. Może lepiej nie mieć pomysłu na świat?
– Pan się odwraca od nowoczesności!
– W pewnym sensie tak. Niby łatwiej nam się teraz żyje, ale z tej łatwości niewiele wynika. Dlatego powtarzam, że mam taki plan życiowy: siedzieć sobie na krzeselku z papierosem.

Głosy o „Czerwonym”

Niektórzy, doceniając doskonałość filmu, nie wierzą w niego – jak recenzent „Le Monde” Jean-Michel Frodon, skądinąd wyjątkowo złośliwy. Film Kieślowskiego traktuje w kategoriach „religianckich”.

„Aby uratować swoich bohaterów w scenie finałowej, reżyser nie waha się poświęcić 500 bezimiennych ofiar katastrofy promu. Oni nie będą zbawieni. Przypomina się Dekalog 1, gdzie trzeba było poświęcić dziecko, aby zmanifestować istnienie Boga” – pisze Frodon.

Pierre Murat z „Téléramy” replikuje: „Co za absurdalny zarzut! To tak, jakby mieć pretensję do Lwa Tołstoja, że w Wojnie i pokoju ocala Bezuchowa, przechodząc do porządku nad tysiącami poległych”.

„Czerwony” jest powszechnie admiirowany, choć reżyser roztacza wokół siebie melancholijną aurę. Na wystawie fotografii Catherine Chabrol przedstawiających współczesnych reżyserów tak, jak sami siebie chcą widzieć, Almodóvar występuje z matką, trzymając jej kłębek wełny. Wim Wenders w pozie anioła, Kurosawa w wiklinowym foteliku, wniebowzięty, szczęśliwy. Kieślowski cały na czarno, na spacerze po Père-Lachaise. Podpis: „Czy pani wie, że ja mieszkam koło cmentarza?”.

– Kieślowski przestaje robić filmy, bo chce uniknąć pesymizmu. „Czerwony” ma w sobie optymizm, ale w Kieślowskim już go nie ma – stwierdził Jean-Louis Trintignant we francuskiej telewizji.

Droga Kieślowskiego

W Cannes pewnego popołudnia zasiedli teologowie – katolicki i protestancki, krytycy filmowi, dziennikarze. Sala pełna. Tematem panelu był Bóg w filmach Krzysztofa Kieślowskiego. Mówiono o tym, że kino Kieślowskiego jest drogą niepodzielną. Nie da się go podzielić na odcinek społeczno-polityczny i „metafizyczny”.

Wsluchiwałem się w język zachodnich panelistów. U nas podobne debaty prowadzą do pogłębienia istniejących podziałów. Bóg staje się stroną w politycznym sporze. Oni o Bogu mówili jak o człowieku, nie jak o autorytarnym władcy. Bez uniżenia, bez lęku, bez udawania.

■
U nas podobne debaty prowadzą do pogłębienia podziałów. Bóg staje się stroną w politycznym sporze. A oni o Bogu mówili jak o człowieku. Bez uniżenia, bez lęku, bez udawania

I zacząłem spisywać zasłyszane akty strzeliste canneńskiej „religii kina”, żeby z ich pomocą poczuć się bardziej kosmopolitą.

Patrice Chéreau, „Królowa Margot”

Prawosławny chorał bośniackiego kompozytora Gorana Bregovicia towarzyszy rzezi hugenotów w filmie Patrice’a Chéreau. „Późny renesans przypomina nam schyłek XX wieku” – mówi reżyser. Wojna w dawnej Jugosławii była dla niego oczywistą inspiracją.

Film Chéreau jest obciążony ekspresyjnymi pięknościami, nadmiarem skojarzeń. Autorzy odwołali się może najmniej do powieści Dumasa, prędzej do Henryka Manna, dramatów Marlowe’a, ale także do mafijno-gangsterskich filmów Coppoli i Scorsese’go. Ucharakteryzowana na wampirzycę Katarzyna Medycejska (Virna Lisi) na ślubie swojej córki Margot z Henrykiem Nawarskim (tym, który powie, że „Paryż wart jest mszy” i nawrócony zostanie królem Francji) zawoła: „Moi katolicy, moi protestanci, narzeczcie razem, w jednym kościele!”. Równocześnie królowa szykuje krwawą prowokację, która da powód do masakry hugenotów.

Rwany rytm filmu naśladuje rytm rzezi, polowań, spółkowania. Po miłości, po polowaniu, po walce królewscy bohaterowie zastygają jak zranione zwierzęta. Kamera pracuje na zbliżeniach, w ruchu, nie eksponuje dekoracji ani dworskiego ceremoniału. Zbrodnia fotografowana tak intymnie nabiera wymiaru tragedii rodzinnej mającej korzenie w chorych związkach między rodzeństwem i matką. Różnice religijne są tylko pretekstem do zabijania. Zabijają się z Bogiem na ustach. W żargonie tej strasznej nocy „nawrócić” znaczy tyle co „zabić”.

Lecz walka w filmie Chéreau jest dziwnie podobna do miłości. W tym skłębionym

fresku nie ma takiego punktu widzenia, który by dzielił uczestników wydarzeń na „naszych” i „obcych”. Wszyscy są spięci ze sobą, połączeni. Liczy się tylko spojrzenie Margot, współczującej wszystkim. Szkoda, że Isabelle Adjani nie dała swojej bohaterce duszy, jedynie ciało.

Na marginesie filmu – polonicum. W siedzizwie sceny z Henrykiem Walezym, w której przyszły król Polski współżyje z własną siostrą, pojawiają się dostojnicy z Krakowa mówiący staroświecką polszczyzną jak z przedwojennych filmów. To zdenerwienie swojskiej poczciwości z rozpasaną orgią cywilizacji daje okrutny, surrealistyczny efekt. „Niech będzie pochwalony! Piękną ceremonię szykujemy w Krakowie!”.

Nanni Moretti, „Dziennik intymny”

W stosunku Nanniego Morettiego do społeczeństwa i własnego kraju jest coś bliskiego Kieślowskiemu, z którym Moretti był zaprzyjaźniony: być w środku, pomiędzy ludźmi, a zarazem patrzeć na świat jak ktoś obcy dla obserwowanych Włochów, z pełnym zdumieniem dystansem. Z takim samym dystansem Moretti obserwuje siebie. O swojej chorobie nowotworowej opowiada w formie bufonady, komedii o lekarzach, traktując to jako rodzaj terapii.

Dziennik intymny przy pozorach improwizacji w najdrobniejszych szczegółach oddaje obraz Włoch widzianych okiem outsidera, który szuka dla siebie miejsca. Czasem usiłuje wejść w komitety, czasem milczy wymownie – jak w długiej sekwencji jazdy do Ostii, do miejsca, gdzie zamordowano Piera Paola Pasoliniego. Jak turysta, planowo zwiedzający zabytki, objeżdża na skuterze rzymskie blokowiska, zestawia architekturę czasów faszystowskich ze współczesną. Delektuje się ironicznie kulturą osiedlową: „Wszędzie czuć zapach kaszt wideo, złych psów i pizzy w kartonie”.

Bohater tego „Dziennika” garnie się do ludzi, chce się do nich upodobnić, zagląda im do mieszkań, włazi do łóżka. Zachwyca go telewizor w barze, ciekawia telenowełe. Lgnie do życia, popadając stopniowo w katastrofizm. Odkrywa, że Włochy, a może cały świat współczesny, to cywilizacja osobnych, izolowanych wysepek. Zatrzymuje swoją wespę na światłach i zwraca się do kierowcy obok, który spogląda na niego z tęym zdumieniem:

– Myślę, proszę pana – mówi Moretti – że nawet w społeczeństwie bardziej przyzwitym niż nasze mógłbym dojść do porozumienia i czuć się fajnie naprawdę z niewieloma osobami.

Quentin Tarantino, „Pulp Fiction”

Palmarès. Rozdanie nagród. Mistrzynie tej dworskiej ceremonii Jeanne Moreau, w złołym płaszczu, wywołuje do wręczenia nagród gwiazdy: Geraldine Chaplin, Carmen Maure, Johna Travoltę, Kathleen Turner. Kolejnym nagrodom towarzyszą skromne brawa. Wszyscy czekają na tę największą. Kiedy nagrodę za reżyserię odbiera Nanni Moretti, a Grand Prix – ex aequo Nikita Michalkow i Zhang Yimou, pozostają już tylko Kieślowski i Tarantino.

Kiedy Clint Eastwood ogłasza, że Złotą Palmę otrzymuje „Pulp Fiction”, w Théâtre Lumière podnosi się wrzawa. Głosy entuzjasmu są równie silne jak głosy sprzeciwu. Jakaś kobieta z balkonu protestuje tak donośnie i długo, że trzeba trzykrotnie ją uciszać.

Trzydziestoletni Tarantino, faworyt festiwalu Sundance, wcześniej trafił do canneńskiej rodziny. Na podobnej zasadzie nagrodzono kiedyś debiut Stevena Soderbergha „Seks, kłamstwa i kasety wideo” (1989) – wtedy jurorem był Kieślowski. Teraz to on był faworytem, guru europejskiego kina („Trafiło na mnie!” – powiedział Kieślowski z rezygnacją Edwardowi Żebrowskiemu, z którym prowadził w Szwajcarii kurs scenariopisarski po europejskim sukcesie „Krótkiego filmu o zabijaniu”).

Cannes jednak postawiło na przyszłość i po raz trzeci w ciągu dekady doceniło niezależne kino amerykańskie. Ciekawe, że oba filmy, „Czerwony” i „Pulp Fiction”, mają ce-

chę wspólną: na oczach widza manipulują rzeczywistością. U Kieślowskiego życie jest czymś w rodzaju filmu realizowanego na żywo – ma swój scenariusz, reżysera, aktorów. I jak przy robieniu kina, scenariusz życia może ulec zmianie.

Wtedy, w Cannes, zlekceważyłem „Pulp Fiction”. Potraktowałem ten film jako zabawną, choć krwawą parodię kryminału, w gruncie rzeczy pozbawioną znaczenia.

Vincent Vega (Travolta), który ginie w trakcie opowieści, wraca jakby nigdy nie w ostatniej, ramowej sekwencji w barze – rozgrywa się ona dwa dni przed jego zabiciem. Tarantino nie tylko chce być panem swojego spektaklu, ale jeszcze nas o tym uprzedza. Brawurowy spoiler wskazuje na kluczową cechę kina Tarantino. Ten urodzony narrator podsyca uwagę widza, zwodzi go, jak Samuel L. Jackson, trzymając swoją ofiarę na muszce. I w tej pozycji, pod groźbą krwi, która się zaraz poleje, każe nam delektować się swoimi tyradami, czytać sztuką opowiadania.

W czarno-białej sekwencji otwierającej film „Kill Bill 2” (2004) szeryf wchodzi do kaplicy zasłanej trupami jak na plan filmowy: „Jatka, bo jatka, nie przeczę. Ale szóstka za wrażenie artystyczne. Gdybyś był debilem, mógłbyś się nawet zachwycić”. Ten typowy dla Tarantino wtęret brzmi jak złośliwa autorecenzja. Jednak cel komentarza jest inny.

Tarantino to wszytkożerny fan kina. Lubi zarówno czysty, klasyczny western, jak i brudne spaghetti westerny, a także spokrewnione z nimi filmy zaprzyjaźnionego Japończyka Takashiego Miikego. W 2007 roku Tarantino zagrał w jego remake’u dawnego spaghetti westernu, „Sukiyaki Western Django”, ze sceną obcięcia ucha, którą sam powtórzył we „Wściekłych psach” (1992). Posuwając się po orbicie kina, autor „Kill Billa” wraca do punktu wyjścia – udaje mu się osiągnąć naiwność i prostotę pierwszych filmów z czasów, gdy nie było jeszcze podziału na kino artystyczne i „dla ludzi”. Gdy kino, pozbawione jeszcze misji społecznej i samoświadomości, było czystą atrakcją, prostym spełnieniem fantazji. ●



FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL

Tadeusz Sobolewski

• Rocznik 1947. Krytyk filmowy, publicysta, emerytowany dziennikarz „Gazety Wyborczej” – jego teksty ukazują się w „Wyborczej” od 1989 r. Autor książek eseistyczno-dziennikowych. Jego debiut, to wydane w drugim obiegu „Stare grzechy. Dziennik dziennikarza 1982-83”, ich kontynuacją jest „Dziennik. Jeszcze jedno zdanie” z 2019 roku. Bohaterami „Dziecka Peerelu” (2000) jest „trzech wieszczów” tamtej epoki: Konwicki, Białoszewski, Kieślowski. Nominowany do nagrody NIKE za biograficzną książkę o Mironie Białoszewskim „Człowiek Miron” (2010). Jest laureatem nagród im. Bolesława Michałka oraz im. Krzysztofa Teodora Toeplitza. Swoje recenzje filmowe wygłaszał przez wiele lat w programie Grażyny Torbickiej „Kocham kino” w TVP2. Jego specjalnością były korespondencje z ważnych festiwali filmowych – od Cannes, Berlina, Wenecji po Gdynię. Festiwale w Cannes relacjonuje od 1991 roku.



Tadeusz Sobolewski
„Cannes. Religia kina”
wyd. Agora 2025

Książka ukaże się 26 marca.

Festiwal Literatury. Odessa w Krakowie

MĄDRY ZACHÓD
PO WSCHODZIE

Putin i Ławrow powtarzają, że chcą pokoju. Świetnie! Ale pod warunkiem że niepodległa Ukraina przestanie istnieć.

Marko Martin*

Na wstępie postscriptum: ten tekst był już gotowy, gdy człowiek o cechach gangstera, przyjaciel Putina w Białym Domu pokazał swoje prawdziwe oblicze – ku nie-pohamowanej radości Kremla, ale także niezliczonych antyliberalów na Zachodzie. Mamy „pokój” jako najnowszą, ale bynajmniej nie bezprecedensową formułę, za pomocą której despoci usprawiedliwiają zdradę i bezwstydne odwrócenie statusu sprawców i ofiar. Poniższe spojrzenie w przeszłość może zatem nie być całkowicie zbędne.

Różnica między intelektualistą zachodnim a wschodnim – powiedział kiedyś Czesław Miłosz – polega na tym, że ten pierwszy nigdy tak naprawdę nie dostał w mordę. – Nagrodzony w 1980 r. Noblem Miłosz uchwycił tu różnicę, która od roku 1945 odgrywa ważną rolę, i to nie tylko w życiu intelektualistów.

Oczywiście daty mają tutaj decydujące znaczenie: w końcu niemiecki narodowy socjalizm – i w różnym stopniu włoski faszyzm – w swojej ściśle zorganizowanej manii eksterminacji milionów już wcześniej pozbawiły życia nie tylko niezliczonych wschodnich, ale także zachodnich artystów i intelektualistów, przede wszystkim Żydów. Zostali wytępieni lub wypędzeni, zniszczeni fizycznie lub psychicznie.

Wielu z tych, którzy przeżyli obozy lub konspirację, którzy pozostali na emigracji w USA lub wrócili stamtąd do Europy Zachodniej, w tym zachodnich Niemiec, doszło do podobnych wniosków co ich polski kolega. To właśnie oni mieli głębokie przeżycie tego, jak stale zagrożona jest ludzkość – i jak katastrofalne w skutkach jest mylenie dających się naprawić krzywd z fundamentalnymi zagrożeniami.

Ale być może właśnie dlatego pozostali mniejszością w tej swojej domenie i ich słowa, niestety, nie stały się wyznacznikami dla młodszych pokoleń zachodnich Europejczyków. Zanim Hannah Arendt zyskała światową sławę, jej eseje w żadnym razie nie były tekstami odniesienia dla protestujących w 1968 r. kalifornijskich, paryskich, frankfurckich czy zachodniobерlińskich studentów, a szwajcarska przyjaciółka Miłosza, filozofka Jeanne Hersch, do dziś pozostaje w dużej mierze nieznana.

To samo – mimo chwilowej popularności powieści „Ciemność w południe” – dotyczy książek i relacji z doświadczeń takich autorów jak Arthur Koestler czy Manès Sperber. (Chociaż nie jest przypadkiem, że obaj, urodzeni odpowiednio w Budapeszcie i w Galicji na początku XX wieku, przeszli „wschodnio-zachodnią” socjalizację zarażeni komunizmem w młodym wieku, a następnie zrywali z nim na wygnaniu w Paryżu jako refleksyjni przeciwnicy Hitlera i Stalina).

Wielu czołowych postępowców na Zachodzie zaabsorbowanych przede wszystkim sobą – co zresz-



tą w fatalny sposób utrzymuje się do dziś – wierzyło, że mogą po prostu zignorować wschodnie doświadczenia i zepchnąć je do sfery anachronizmu. W końcu co to ma właściwie znaczyć, że „nigdy tak naprawdę nie dostali w mordę”? Czyż nie cierpiano straszliwie z powodu „falszywej świadomości” kapitalistycznego społeczeństwa opartego na konsumpcji czy wręcz z powodu „terroru” teje, czyż nie byliśmy więźniami parlamentarno-burżuazyjnej „machiny złudzeń”?

Wpadając raz w taki tryb, nie zna się granic clikowości. Co, nawiasem mówiąc, jest prawdą w dosłownym znaczeniu tego słowa: ciągle rzucanie podejrzeń na liberalną demokrację, której oczywiste słabości są rozdmuchiwane do systemowych wad konstrukcyjnych, już dawno przeniosło się z lewej na prawą stronę sceny politycznej.

Ale były też poważniejsze zastrzeżenia: czy na Zachodzie walczone aby wystarczająco zdecydowanie o większy postęp i sprawiedliwość? Czy to aby nie ten ciągle produktywny niepokój, krytyka i samokrytyka stanowiły istotę Zachodu i sprawiały, że błyszczał, i to nie tylko na Wschodzie? Wszystko to oznacza, że nawet mimo najlepszych chęci, a nie tylko z urażonej próżności, Miłosz mógł być dla wielu całkowicie niezrozumiały.

Prawdą jest również to, że nie tylko duża część demokratycznej lewicy, ale także zachodnia prawica nie bardzo wiedziała, co zrobić z takimi myślicielami jak Miłosz, Leszek Kołakowski czy Václav Havel: uwięzieni w prymitywnym powojennym antybolshewizmie, który nierzadko miał konotacje rasistowskie i służył przede wszystkim relatywizowaniu niemieckich zbrodni przeciwko ludzkości, oraz

w trwającym ahistorycznym zachwycie „chrześcijańskim Zachodem”, pozostawali głusi na przestrogi.

Nieprzypadkowo to właśnie Karl Jaspers napisał przedmowę do pierwszego (zachodnio) niemieckiego wydania „Zniewolonego umysłu” w 1953 r. – filozof, który był nauczycielem Hannah Arendt i Jeanne Hersch w Heidelbergu oraz kolegą Martina Heideggera, z którym zerwał kontakt po 1933 r.

Jaspers, który podczas wojny został w Niemczech i ledwo uniknął deportacji do obozu pod sam jej koniec, wiedział z własnego doświadczenia, jak niemal nieograniczone są możliwości „umysłu”, pozwalające naginać złożoną rzeczywistość do własnych upodobań i uzasadniać niesprawiedliwość, posługując się teoriami z historii filozofii. Urodzony w Oldenburgu w północnych Niemczech z pewnością rozumiał Miłosza, który urodził się w małej li-

tewskiej wiosce, a teraz opisywał uniwersalne wzorce na precyzyjnym historycznie tle.

• Miłosz, który podczas niemieckiej okupacji z narażeniem życia działał w podziemiu – Instytut Pamięci Yad Vashem przyzna mu później honorowy tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata za ratowanie polskich Żydów – wycofał się ze służby dyplomatycznej w swojej stalinowskiej ojczyźnie w lutym 1951 r., a następnie żył, początkowo w kiepskich warunkach, jako uchodźca polityczny we Francji.

A jednak ta nieco ordynarnie brzmiąca sentencja: „naprawdę dostać w mordę”, nie odnosiła się wyłącznie do jego własnej biografii ani nie wynikała z chęci uzyskania jakiegokolwiek wyróżnienia. Nie dla niego, najskromniejszego ze sceptyków.

Nawet będąc na emigracji na Zachodzie, zawsze był świadomy tego, co dzieje się na Wschodzie.



• **Protest przeciwko napaści Rosji na Ukrainę i zbrodniom popełnianym przez żołnierzy Putina. Lublin, 11 października 2022 r.**

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W Europie Wschodniej, w której – w przeciwieństwie do wyzwolonego i wkrótce gospodarczo prosperującego powojennego Zachodu – pociągi deportacyjne z krajów bałtyckich toczyły się do rosyjskich obozów, ideologiczna tabula rasa została ponownie siłą narzucona społeczeństwom krajów ogłoszonych państwami satelitarnymi, a na uniwersytetach (w tym w Krakowie) intelektualści byli zastraszani, więzieni, a nawet mordowani. A to, nawiasem mówiąc i wracając do „Zniewolonego umysłu”, pod presją sofistycznych uzasadnień tych, którzy stali się współnikami reżimu, poprzez naśladownictwo lub z prawdziwego przekonania.

Oczywiście można powiedzieć, że wszystko to ma obecnie znaczenie czysto historyczne. Język niemiecki ma nawet na to dwa powiedzonka, pełne ignorancji w swojej lekkoomyślności: „Schnee von gestern” (wczorajszy śnieg) i „kalter Kaffee” (zimna kawa). Ja jednak uważam, że doświadczenia niezliczonych wschodnioeuropejskich pisarzy i intelektualistów są nieprzerwanie aktualne: pars pro toto od Miłosza przez Havla po Serhija Żadana, który wraz z tyloma innymi walczy od miesięcy jako żołnierz ukraińskiej armii, by położyć kres masowemu mordom stalinowskiego rewanżysty na Kremlu w jego krwawej wojnie o podbój. Albo, powiedzmy to dosadnie: aby przynajmniej ludzie na Zachodzie nadal „tak naprawdę nie dostali w mordę”.

To z kolei prowadzi nas z powrotem na Zachód i do pytania, czy ludzie tam naprawdę zdali sobie sprawę z tego, o jaką stawkę tutaj chodzi. A jednocześnie z powrotem do Krakowa, miasta, w którym w zeszłym wieku, podobnie jak w Odessie i niezliczonych innych miejscach w okupowanej Europie Wschodniej, Niemcy, uważający się za „rasę panów”, popełnili zbrodnie przeciwko ludzkości na Żydach i nie-Żydach.

Zwłaszcza w tych miesiącach, na które przypada 80. rocznica wyzwolenia obozu koncentracyjnego i zagłady Auschwitz oraz militarnej klęski III Rzeszy, po raz kolejny można usłyszeć słynne „Nigdy więcej”, szczególnie w moim kraju, Republice Federalnej Niemiec. Oczywiście jako wezwanie, a nie jako pełne nadziei zapewnienie, że „to” się nigdy nie powtórzy.

• Ale co z tego wynika? Wezwanie do praworządnego oporu przeciwko coraz silniejszej prawicowej partii ekstremistycznej, która wykorzystuje propagandę nienawiści i obrzydliwe historyczne fabrykacje i grozi zatruciem całego społeczeństwa. To ważne, to obecnie priorytet.

A jednak pozostaje pewien niepokój, jakaś luka. Dlaczego wielu „dobrych Niemców”, którzy nie zamykają oczu na masowe zbrodnie swoich przodków, wciąż popiera dziwnie skróconą formułę: „Nigdy więcej wojny”? I dlaczego równie wątpliwy slogan: „Przemoc nie jest rozwiązaniem”, jest wciąż tak popularny wśród wielu z tych, którzy są szczególnie zaangażowani w walkę z antysemityzmem i rasizmem, którzy wychodzą na ulice, manifestując w imię ochrony klimatu, równości płci i innych humanitarnych celów? (Tak, pomyślmy raz jeszcze o zdaniu Miłosza, bo wśród nawołujących: „Nigdy więcej wojny/ przemoc nie jest rozwiązaniem”, nie brakuje intelektualistów).

Już na początku lat 80. filozof André Glucksmann, syn wschodnioeuropejskich Żydów, wielokrotnie pytał w Paryżu, dlaczego w Niemczech tak ostentacyjnie wołano: „Nigdy więcej wojny”. Czy zamiast tego apel ten nie powinien brzmieć: „Nigdy więcej Auschwitz, nigdy więcej Treblinki, nigdy więcej Sobiboru, nigdy więcej Szoah i ludobójstwa, nigdy więcej rasy panów, agresji i okupacji”? I nie relatywizując ani trochę prawdziwie niemieckich zbrodni, „Nigdy więcej Katynia, nigdy więcej Gula-gu, nigdy więcej Hołodomoru, nigdy więcej paktu Ribbentrop-Mołotow, nigdy więcej »czystek«, nigdy więcej »bratniej pomocy«”.

Glucksmann, który ku zdumieniu, a nawet obrzydzeniu wielu niemieckich pacyfistów, opowiadał się za solidną zachodnią obroną i zdolnością odstraszenia, wyraził w ten sposób to, co dla większości wschodnioeuropejskich intelektualistów było całkowicie wykluczone, choćby z powodu ich popękanych biografii rodzinnych. Wojna wojnie nierówna, obrona to nie to samo co atak, a slogan: „Przemoc nie jest rozwiązaniem”, to nic innego jak lekkoomyślnie wystawiony czek in blanco na okupację i morderstwo w obliczu sprawcy przemocy, który jest zdeterminowany, by zrobić wszystko. W konsekwencji więc współdział.

Ci bowiem, którzy równie mgliście co elokwentnie ostrzegają przed „przemocą” i opowiadają się za

Wielu czołowych postępowców na Zachodzie wierzyło, że mogą zignorować wschodnie doświadczenia.

Błąd

blżej nieokreślonym „pokojem”, nie tylko przyczyniają się do rozbrojenia siebie i innych oraz pozbawienia się kontroli nad terminologią, ale także pozostawiają moc definiowania dzisiejszym sprawcom. Bo oczywiście, jak Putin i jego szef MSZ Ławrow mówią do każdego mikrofonu, oni przecież też chcą „pokoju” – choć pod warunkiem, że Ukraina przestanie być niepodległym państwem, a jej mieszkańcy podporządkują się Rosji.

Niewystarczające wsparcie militarne Niemiec dla brutalnie zaatakowanego kraju dowodzi, że nie są to tylko semantyczne gierki. Do tego dochodzi oczywiście niechęć demokratycznego środka do otwartej dyskusji właśnie na temat tych błędnych wyobrażeń, które do dziś prowadzą do braku decyzji lub złych decyzji. Natomiast wschodnio- i zachodnio-europejscy populiści i prokremlowscy propagandyści nie potrzebują nawet tak usprawiedliwiającego moralnie pretekstu dla swojej amoralnej odmowy stanięcia po stronie zaatakowanych – i być może są w tej swojej brutalnej i podstępnej postawie nawet bardziej szczerzy.

Jednak nawet w tych krajach Europy Zachodniej, w których istniały kiedyś ruchy oporu przeciwko nazizmowi i faszyzmowi i gdzie durne „przemoc nie jest rozwiązaniem” jest słyszane znacznie rzadziej, mało kto może to sobie wyobrazić: naród, któremu dekretuje się z zewnątrz przez podbój i później-

nie tylko intelektualiści, dziennikarze czy sędziowie – nie dostanie w pewnym momencie „naprawdę w mordę”? Nie wspominając już o ideologicznych sojuszach między autorytarnym Viktorem Orbánem, niemiecką AfD, Matteo Salvinim we Włoszech czy Marine Le Pen we Francji.

Co więcej, jeśli Kijów i Charków są bombardowane, a nawet błędzący amerykański prezydent współobwinia za to teraz ofiary i zmniejsza dla nich wsparcie – cóż nam pozostało z Zachodu? Można powiedzieć, że każdego dnia, z każdym kolejnym oświadczeniem Trumpa, Muska i spółki jest go coraz mniej.

Już ponad cztery dekady temu prześladowany przez czechosłowackie tajne służby w krótkim okresie między licznymi nałożonymi na niego wyrokami więziennymi Václav Havel pisał: „Czyż nie jesteśmy w rzeczywistości – nawet jeśli według zewnętrznej skali wartości cywilizacyjnych znajdujemy się tak daleko w tyle – rodzajem memento dla Zachodu ujawniającym jego ukryte tendencje?”.

Wtedy ludzie nie chcieli tego słuchać. A po upadku komunizmu w 1989 r., nie tylko w Pradze, Jürgen Habermas, wówczas i obecnie prawdopodobnie najwybitniejszy filozof RFN, z wielkodusznym gestem mówił paternalistycznie o „rewolucji nadrabiania zaległości”. Odnosiło się to co prawda, i słusznie, przede wszystkim do modelowego charakteru

Doświadczenia wschodnioeuropejskich pisarzy są ciągle aktualne. Od Miłosza przez Havla po Serhija Żadana, który walczy od miesiący jako żołnierz ukraińskiej armii

sze pociągnięcia piórem, że od teraz już nie istnieje. Tak było w Polsce w XVIII, XIX i XX wieku i taki jest „projekt” Kremla w Ukrainie w XXI wieku.

(Również we Włoszech rozprzestrzenia się ten agresywny brak zainteresowania losem najejchane-go kraju – spostrzeżenie, które zawdzięczał imponującej książce Franceski Melandri „Piedi freddi”; zacząłem ją czytać w niemieckim tłumaczeniu podczas podróży pociągiem do Krakowa. Co za przywilej: siedzieć we wschodnioeuropejskim pociągu, nie martwiąc się o rakiety, drony i bomby! A dokładnie: nie musieć się jeszcze tego obawiać).

Bo tak, wciąż istnieje przepaść w świadomości i postrzeganiu między Europą Wschodnią a Zachodnią. Podczas gdy niebawem jedni będą całkiem słusznie świętować rocznicę zakończenia II wojny światowej i wyzwolenia od nazizmu, inni zwrócą również uwagę na fakt – i znów prawdopodobnie w dużej mierze nie zostaną wysłuchani – że to spojrzenie wstecz nie jest oczywiście błędne, ale jest niepokojąco niekompletne.

To bowiem, co na Zachodzie (z wyjątkiem Portugalii i Hiszpanii, które dopiero później pozbyły się swoich dyktatorów) rozwinęło się po 1945 r., nie tylko dzięki amerykańskiej pomocy, w postaci liberalnych demokracji konstytucyjnych, i co z biegiem lat stawało się coraz bardziej wyrafinowane, na tyranizowanym wschodzie kontynentu mogło zostać instytucjonalnie zrealizowane dopiero po 1989 r., już po zakończeniu rządów Moskwy i jej satrapów.

Ale czy obecne triumfy nieliberalnych partii na Wschodzie i Zachodzie, które ostentacyjnie gardzą zasadami równowagi sił i demokratycznymi zaopatrywaniami, nie powinny wreszcie dojrzeć do uświadomienia sobie, że doświadczenia Europy Wschodniej i Środkowo-Wschodniej w żadnym razie nie odnoszą się wyłącznie do przeszłości, ale są sejsmografem, lustrem i konkretną zapowiedzią tego, co może się wydarzyć również na Zachodzie, który uważa się za tak stabilny? Dlaczego atmosfera podsycania strachu i ograniczania wolności słowa, opisana przez prozaika Michala Hvoreckiego ze Słowacji, dziś pod rządami Fico, nie miałaby się stać rzeczywistością także gdzie indziej?

Jeśli nawet w Polsce w okresie rządów Kaczyńskiego rządy prawa zostały tak fundamentalnie zniszczone, to gdzie jest gwarancja, że Zachód – i to

zachodniej demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej, a tym samym do (wówczas jeszcze lśniących) ram odniesienia, które oferowały one Wschodowi.

Czy jednak to mówienie o „rewolucji nadrabiania zaległości” nie niosło ze sobą również arogancji polegającej na degradowaniu wschodnioeuropejskich intelektualistów, a tym samym kluczowych postaci stojących za pokojowymi rewolucjami, do statusu postmyślicieli, odważnych interpretatorów tego, co od dawna zostało wystarczająco dogłębnie przemysłane na Zachodzie – od oświecenia do tzw. dialektyki oświecenia, że tak to ujmę?

Odpowiada to powszechnemu przekonaniu, że po 1989 r. nadszedł „koniec historii” i wszystkie ważne bitwy zostały już stoczone, więc od teraz wszystko było tylko kwestią dokładnego dostrojenia. W rzeczywistości taka myśl zrodzić się mogła tylko w bezpiecznych gabinetach intelektualistów na Zachodzie.

A co z teraźniejszością, która szczypie również Zachód? Czyż nie jest tak, że niektórzy ludzie na Zachodzie, mimo całej obecnej głoślowej mowy o „napastniczej wojnie Putina”, nadal wierzą, że zegary w Europie Wschodniej chodzą inaczej, wolniej? Taką ignorancję utrzymać można jednak tylko kosztem niemal skandalicznego zapomnienia: czyż prominentni ludzie Zachodu w dekadach po 1917 r. nie wychwalali „ex oriente lux” [światła ze wschodu], nie widzieli przyszłości wszystkich ludzi w socjalizmie (ze stalinizmem lub bez niego)?

Aż w pewnym momencie wszystko stało się nieaktualne, a rzekoma „ojczyzna robotników” została zastąpiona obrazem „Trzeciego Świata” lub, jak głosi modne ostatnio określenie, „globalnego Południa”.

A ci ze Wschodu, którzy tworząc homo sovieticus, zobaczyli coś zupełnie nowego i masowo kompetybilnego w przerażającym sensie, którzy precyzyjnie opisali imperium w jego osobowościobójczym i pożerającym terytorium charakterze i dlatego ostrzegali Zachód, i to bez wpadania w pułapkę pełnego resentymentów, reakcyjnego pesymizmu kulturowego, jak Solżenicyn?

Dalecy od konieczności nadrabiania zaległości mieli i mają coś, co wyprzedza Zachód: doświadczenie pęknięcia i kruchości, i to nie tylko systemów,



*Marko Martin

• ur. w 1970 r., niemiecki pisarz, dziennikarz i publicysta.

• Tekst to jego wykład inauguracyjny **X Międzynarodowy Festiwal Literatury Odessa**, który odbył się w Krakowie 22-28 lutego br. Po wybuchu wojny w Ukrainie festiwal stał się projektem objazdowym: w 2022 r. gościł w Batumi, a w 2024 r. w Bukareszcie.

• Tytuł tekstu – „Wyborcza”.

instytucji i granic, ale także ludzi skonfrontowanych z fizyczną i psychiczną bezbronnością. – Zawsze grozi nam powrót do goryla – ostrzegał już w roku 1936 Henryk Elzenberg.

To postrzeganie kruchości nie jest, nawiasem mówiąc, banalnym podsumowaniem naiwnego sposobu myślenia, który zakłada wieczną stabilność, ale wręcz przeciwnie, jest fundamentem, na którym opierają się ludzkie myśli i powstaje siła oporu.

Miłosz, Havel, Gustaw Herling-Grudziński, Witold Gombrowicz, Hanna Krall, Eugène Ionesco, Norman Manea, Milan Kundera, Raisa Orlowa-Kopielew, Andriej Siniawski, Jelena Bonner i Andriej Sacharow, Zbigniew Herbert, Warlam Szalamow, Adam Zagajewski, György Konrád, Josef Škvorecký... Oczywiście lista ta jest niekompletna.

Warto pamiętać właśnie o Škvoreckim, który musiał opuścić ojczyznę po inwazji sowieckiej na Pragę w 1968 r. i od tego czasu mieszkał z żoną w Toronto.

Ze swoim niewielkim, ale sprawnie działającym wydawnictwem Sixty-Eight Publishers zrobił niezmiernie wiele, aby rękopisy, książki, a tym samym doświadczenia ze Wschodu nie zostały całkowicie przysłonięte przez cień żelaznej kurtyny. Tak jak białoruscy artyści prześladowani przez reżim Łukaszenki zakładają obecnie wydawnictwa na emigracji w Polsce i krajach bałtyckich, często narażając się na ataki ze strony popleczników dyktatury.

Škvorecký wykladał na uniwersytecie, ale przede wszystkim nadal pisał swoje mądre i dowcipne powieści. Takie jak „Przypadki inżyniera ludzkich dusz”, gdzie jego alter ego cierpliwie wyjaśnia wiele rzeczy kanadyjskim studentom, tym dobrodusznym, ale straszliwie naiwnym „dzieciom preri”: nie, żelazna kurtyna nie jest „metaforą zimnych wojowników”, ale żalosną rzeczywistością, którą kiedyś nazywał swoim domem. I tak, liberalny Zachód jest wyzwolony do tego stopnia, że spokojnie znosić może kampusową paplaninę pełną egomaniakalnego zamętu, kiedy padają takie pytania jak: „Are there ANY values in this society worth fighting for?” [Czy są w tym społeczeństwie jakiegokolwiek wartości, o które warto walczyć?].

W ostatnich kilku latach wielokrotnie przychodziły mi na myśl spokój i suwerenność tego czeskiego pisarza na wygnaniu, który mimo otaczającej go i hołubionej głupoty nie popadł w pogardę. Bo z jaką anielską cierpliwością wschodni Europejczycy – niektórzy z nich, jak Tomas Venclova, Jurij i Sofija Andruchowyczowie czy Andrij Kurkow, są uczestnikami tego festiwalu – tłumaczą swojej zachodniej publiczności, o co tak naprawdę chodzi w kremlowskim imperium, w rzekomo „rozczarowanym modernizatorze Putinie” czy „ignorowanych rosyjskich interesach bezpieczeństwa” – innymi słowy, we wszystkich, powiedzmy to bez owijania w bawełnę, całkowicie przerażających bzdurach, które nawet mądry ludzie na Zachodzie powtarzają zgodnie z moskiewskim scenariuszem.

Mówiąc dobitniej: ci rzekomi „umiarkowani” na Zachodzie również pomogli przygotować grunt pod szalone kłamstwa Trumpa. W związku z tym: cóż to za wypracowana życzliwość skropiona sarkazmem, cóż za ugruntowana wiara w przekonującą moc przejrzystej prawdy! I cóż za wierność wcześniejszym lekturom, gdy np. ukraiński filozof Anatolij Jermolenko, głęboko zainspirowany obywatelskim obrazem ludzkości Jürgena Habermasa, pisze do niego w liście otwartym, który jest równie pełen szacunku, co krytyczny, przypominając mu o najbardziej widocznej i oczywistej rzeczy: społeczeństwa obywatelskie nie tylko mogą, ale zawsze muszą być gotowe do obrony, a wahania w obliczu agresorów nie prowadzą do pokoju, ale do dalszej wojny.

W końcu miasto Mariupol zostało zaatakowane z terytoriów już okupowanych przez Rosję od 2014 r. i podbite, a masowe morderstwa w Buczy mogły mieć miejsce również dlatego, że wojska Putina posuwały się naprzód od strony Białorusi. „Jeśli Ukraina przegra tę wojnę o swoją suwerenność – napisał filozof z bombardowanego Kijowa do swojego kolegi nad spokojnym bawarskim jeziorem Starnberg – Rosja bez wątplenia pójdzie dalej i zajmie Europę”.

Co sprowadza nas do punktu wyjścia: „Różnica między intelektualistą zachodnim a wschodnim polega na tym, że...”. Ci, którzy nie zrozumieli systemu sowieckiego – często nawet nie dlatego, że z nim sym-

patyzowali, ale dlatego, że podchodzili do niego z oczywistą ignorancją – nadal będą mieli trudności z postrzeganiem postsowieckiego społeczeństwa i jego obecnych przywódców.

I tak skutki nałożonej na siebie ślepoty trwają do dnia dzisiejszego. „Istnieje tendencja – pisał szwedzki poeta Lars Gustafsson już we wczesnych latach 70. – by postrzegać historię jako coś, co pojawia się w książkach historycznych”. A jej oczywiście nigdy tam nie ma.

Co więcej, zachodnim, a zwłaszcza amerykańskim intelektualistom może teraz grozić to, co Miłosz określił kiedyś doświadczeniem Wschodu, włączając w nie współudział tych, którzy uważają się za prekursorów i „przed-myślicieli”. Podjęta przez Trumpa próba podważenia precyzyjnie wyważonego systemu checks and balances, a tym samym zniszczenia fundamentów liberalnej demokracji,

Co nam pozostało z Zachodu? Każdego dnia, z każdym kolejnym oświadczeniem Trumpa, Muska i spółki jest go coraz mniej

znajduje obecnie wielu zwolenników, i to nawet poza internetowymi bańkami.

Pod modnymi hasłami „zakłóceń” i „odbiurokratyzowania” to, co destrukcyjne, postrzegane jest jako siła witalna. Młodszy (i wcale już nie tacy młodzi) ludzie mediów są odurzeni zuchwałym „czynem”, jawi im się „bieg historii”, a to, co przecież logiczne, wymaga niepohamowanego działania. Już nie z odniesieniami do Hegla i Marksa, ale z podobną buńczucznością. I nie ma co do tego wątpliwości – takie postacie jak nieżyjący od dawna stalinowski wojownik kulturowy Żdanow już dawno znalazły zachodnich rewanżystów, a dla współczesnych Marinettich już nie Mussolini, lecz Elon Musk jest niekwestionowanym męskim ideałem.

W latach 70., kiedy wszystkie neoprawicowe wrzaski były jeszcze lewicowymi okrzykami, Skvorecky na swoim kanadyjskim uniwersytecie z przekonaniem cytował ostatnie zdanie z „Przygód Hucka” Marka Twaina: „I been there before”. Jego koledzy z Europy Wschodniej, socjalizowani w czasach komunizmu, mogliby powiedzieć to samo. Ale chciałoby się rzec, że teraz ludzie na Zachodzie doświadczają, że dosłownie mocne zdanie Miłosza nie było aksjomatem, ale precyzyjnym ujęciem rzeczywistości. Miejmy nadzieję, że niektórzy z nich przynajmniej teraz spojrzą na Europę Wschodnią w poszukiwaniu intelektualnej amunicji, zamiast zastygać w biernym i placzliwym „Dlaczego my?”.

I jeszcze krótka reminiscencja natury autobiograficznej. (Wobec sytuacji, w jakiej znaleźli się ludzie, a więc i nasi koledzy w Ukrainie, wydaje mi się nie stosowne mówić o sobie, swoich uczuciach itp. w sposób szeroki czy szczegółowy). 19-letni w swoim czasie chłopak z NRD, który odmówił służby wojskowej i przybył do RFN w maju 1989 r., wkrótce miał szczęście zdobyć dodatkowe doświadczenie.

Oto krytyczni wobec reżimu w Europie Wschodniej autorzy naprawdę mieli mu do powiedzenia coś zupełnie innego niż większość autorów w bylej NRD – a także w Republice Federalnej. Fakt, że odkrycie erotyki przebiegało u niego równoległe z odkryciem książek Milana Kundery i Gombrowicza tylko po to, by zaowocować własnymi opowiadaniem, jest czymś, do czego być może moglibyśmy wrócić póź-

niej. Za to od 2021 r., za każdym razem, kiedy jestem w Krakowie, odwiedzam kryptę kościoła Świętych Apostołów Piotra Pawła.

I za każdym razem przeżywam tam szok, bo za jednym z luków kryje się kamień, i marmur, i wiersz po polsku – a ten, kto go napisał, był dobrym przyjacielem, tak pełnym życia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Café Odéon w Paryżu, pełnym pozbawionej złudzeń wdzięczności za istnienie i filantropijnej ironii, a jednocześnie nieufający paraliżującej naturze permanentnej ironizacji, którą często dostrzegał na Zachodzie, który to Zachód mimo wszystko tak bardzo lubił: Adam Zagajewski!

A co możemy tam teraz przeczytać w tej krypcie? „1945-2021”. Coś tak nieskończenie statycznego nie jest możliwe w myśl tego, co pisał wcześniej Adam o „niepokoju, który pędzi wędrowców/ i obraca koła rowerów, młynów i zegarów”.

Poza tym, czym są daty, jeśli nie wypełnimy ich życiem? Latem 1999 r. nacisnąłem klamkę ogrodowej furtki na paryskim przedmieściu Maisons-Lafitte i podszedłem do niewielkiej willi ukrytej w cieniu drzew. Wewnątrz budynku, w którym mieściło się emigracyjne pismo „Kultura”, istniejące od 1947 r., Jerzy Giedroyc, rok przed śmiercią, opowiadał o książkach i ideach, które on i jego koledzy stworzyli w ciągu dziesięcioleci pracy. Utrwaliłi w świadomości nie tylko wschodnioeuropejskich intelektualistów, że wolność i demokracja są niezbędne dla Białorusi, Ukrainy i krajów bałtyckich, ale także dla wolnej Polski – i wolnej Europy.

Jakaż to była radość, że z pomocą tych czytelników „Kultury”, którzy weszli do polityki po 1989 r., udało się to w końcu także instytucjonalnie umocować i stare niedobre opowieści o wzajemnych sąsiedzkich animozjach dobiegły końca – dla dobra całego kontynentu. Zwłaszcza teraz, gdy Ameryka zmieniła front, nie są to tylko nostalgiczne historie.

– Czesław Miłosz tu był – powiedział Jerzy Giedroyc. – Miłosz, a po latach, bo chyba w 1964 r., pojawił się tu pewien 18-letni Polak z Warszawy, spragniony duchowej strawy i możliwości zrobienia z niej czegoś konkretnego. Nazywał się Adam Michnik...

W tym samym roku, na kongresie PEN Clubu w Warszawie, widziałem Miłosza na wieczornym odczycie w restauracji Belvedere w Łazienkach Królewskich. Siedział tam przy małym, okrągłym marmurowym stoliku, zakrzywiona gałka jego laski opierała się o krzesło, i czytał wiersze, a wraz z nim swoje wiersze czytała Wisława Szymborska.

Niestety, nie mówię po polsku, ale byłem w stanie, wraz ze wszystkimi innymi gośćmi, cieszyć się tymi dwoma głosami, ich modulacją, płynącym przed siebie spokojnie basem, ich dźwięcznymi załamaniem. Szymborska czytała być może wiersz z pięknymi wersami o „tych ziemskich chwilach/ proszonych, by trwały”, cichej pochwalie niezapomnianego momentu. A Miłosz być może ten o wspaniałym tytule „Uczciwie opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis”?

Skoro byt historyczny to nie wszystko i skoro historii świata, która ma tendencję do anonimizowania, zawsze trzeba przeciwstawić głos jednostki, nawet w duchu pogodnej autorefleksji: „Nie moja wina, że jesteśmy tak ulepieni, w połowie z bezinteresownej kontemplacji, i w połowie z apetytu”.

Nazajutrz po tym wieczorze w Łazienkach odbyło się w redakcji „Wyborczej” przyjęcie dla przyjeżdżających autorów, na którym ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski trochę za długo wygłaszał pochwały na własny temat – zanim otrzymał od redaktora naczelnego uprzejme napomnienie, by nie wyolbrzymiał mimo wszystkich swoich zasług dla integracji Wschodu i Zachodu.

18-letni gość z Paryża z dawnych lat stał się teraz korpulentnym mężczyzną po pięćdziesiątce, ale jego wciąż ten sam szelmowski uśmiech pozwalał spojrzeć na minione lata z odpowiedniej perspektywy. Ponad ćwierć wieku później będę miał wielką przyjemność ponownie spotkać się z Adamem Michnikiem. Nawet jeśli to, co nas w obecnym świecie otacza i gnębi, nie mieści się w kategoriach przyjemności.

Tym ważniejsze jest to, że są ludzie i książki, w których możemy znaleźć oparcie – i na Wschodzie, i na Zachodzie. W każdym razie prawdą jest to, co powiedział kiedyś Emmanuel Levinas: żadna forma odnalezienia siebie nie jest tak ekscytująca jak poznawanie drugiego człowieka. I to również jest antidotum na rozpacz, w którą nie wolno nam wpaść. ●
przeł. Karolina Golimowska

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katullus*

Pieśń V



Oddajmy się Lesbio życiu i miłości,
a za monetę bez żadnej wartości
bierzmy złorzeczenia zgorzkniałej starości.
Słońca mogą gasnąć i wracać na nowo,
lecz nas, kiedy światło zapada ulotne,
nocne przeczekanie czeka wielokrotnie.
Daj mi proszę tysiąc i sto pocałunków
i raz jeszcze tysiąc i sto pocałunków,
po czym sto i znowu tysiąc pocałunków.
A kiedy dojdziemy do wielu tysięcy,
ukryjemy liczby miłosnych rachunków
przed sobą i tymi, co złowrogim czarem
mogą nam zaszkodzić, poznawszy ich miarę.

przeł. Jarosław Mikołajewski

***Katullus (Gaius Valerius Catullus)** – ok. 84-54 r. p.n.e., poeta rzymski. Autor m.in. wierszy miłosnych, satyrycznych i politycznych.

• **U góry: „Lesbia”, obraz angielskiego malarza Johna Reinharda Weguelina, inspirowany utworami Katullusa, rok 1878**

FOT. DOMENA PUBLICZNA

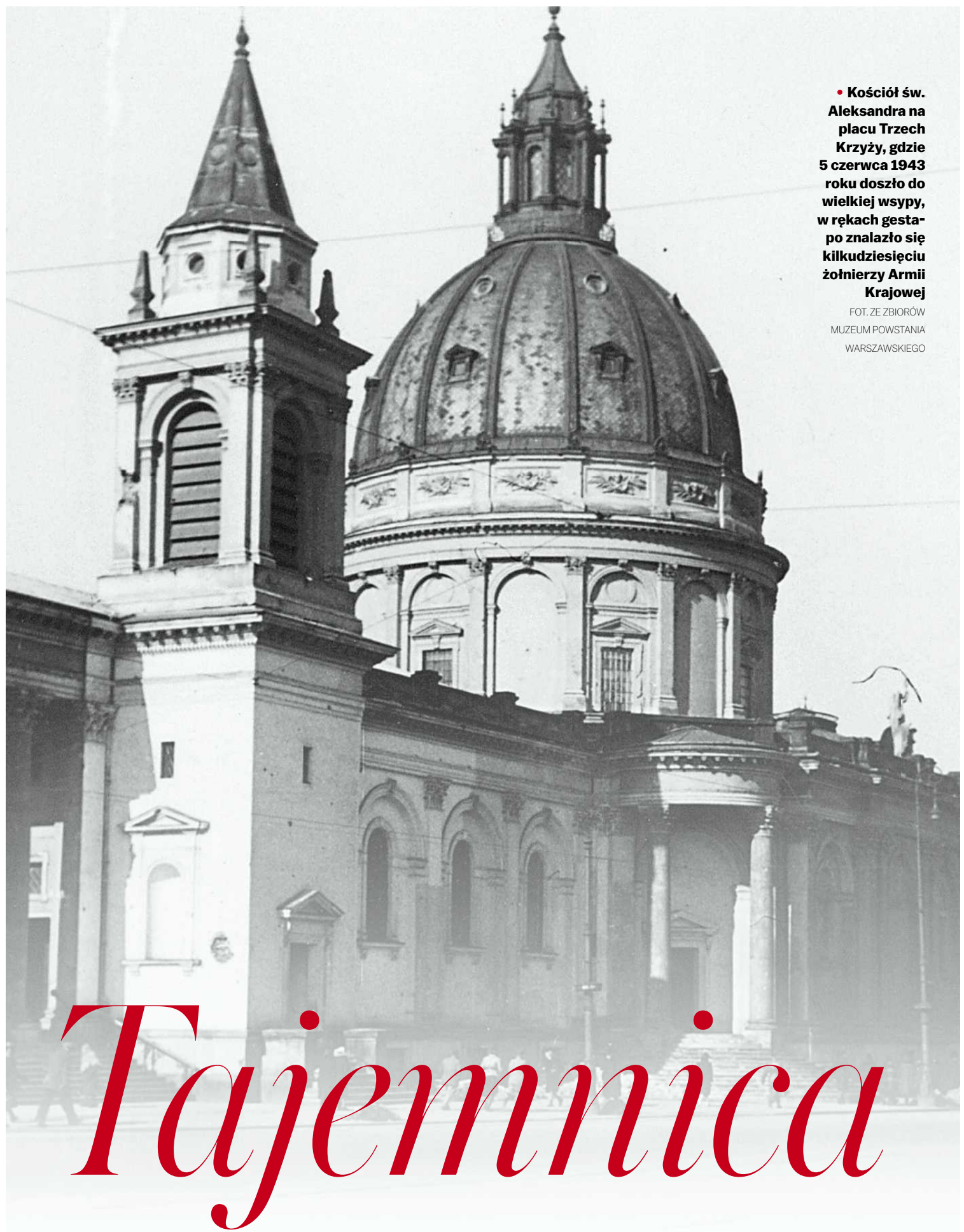
wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN KULTURA:
Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabinińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski, Dominik Gajda (Ale Historia)

LICENCJE NA TREŚĆ:
licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
 CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



• Kościół św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży, gdzie 5 czerwca 1943 roku doszło do wielkiej wsypy, w rękach gestapo znalazło się kilkudziesięciu żołnierzy Armii Krajowej

FOT. ZE ZBIORÓW
MUZEUM POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO

Tajemnica *wsypy*

W KOŚCIELE ŚW. ALEKSANDRA

Podczas ślubu na placu Trzech Krzyży w ręce gestapo wpadło 89 osób, w tym ponad 50 AK-owców. O zdradę oskarżono niewinnego człowieka.

Wojciech Szot

▼ **Stanisław Jaster „Hel” (1921-1943), żołnierz Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych „Osa”-„Kosa 30”, który najpewniej niesłusznie został oskarżony o zdradę. Na zdjęciu jako więzień obozu Auschwitz, z którego uciekł wraz ze słynnym raportem rotmistrza Witolda Pileckiego** FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU



Pan młody – nazywał się Mieczysław Uniejewski, pseudonim „Marynarz” – był porucznikiem Marynarki Wojennej, podczas kampanii wrześniowej służył na ORP „Gryf”, był wśród obrońców Helu. Po kapitulacji trafił do oflagi w Woldenbergu, z którego uciekł, i w 1942 roku przedostał się do Warszawy. Od razu zaangażował się w walkę podziemną.

Został członkiem warszawskiego oddziału elitarniej Organizacji Specjalnych Akcji Bojowych „Osa”-„Kosa 30”. Dziełem „Kosy” było m.in. przeprowadzenie w Krakowie zamachu na sekretarza stanu do spraw bezpieczeństwa w rządzie Generalnego Gubernatorstwa, generała SS Friedricha Wilhelma Krügera.

Panna młoda Teofila Suchanek była córką Antoniego, malarza, który fachu uczył się u Mehoffera i Wyczółkowskiego. Miała 20 lat. Jej ukochany – 24. Ślub zaplanowano na sobotę 5 czerwca 1943. I choć był to środek wojny, a uroczystość odbywała się w samym sercu Warszawy, to wybrała się na niego nie tylko najbliższa rodzina młodej pary.

ELITA AK W KOTLE GESTAPO

Zgodę na ślub i udział w nim walczących w podziemiu żołnierzy wyraził komendant „Osy”-„Kosy 30”, ppłk Józef „Philips” Szajewski. W efekcie w kościele pw. św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży stawilo się według różnych informacji nawet 25 żołnierzy oddziału, do którego należał Uniejewski.

Po latach okazało się, że nawet śpiewający podczas ślubu chłopcy zdawali sobie sprawę z tego, że na ślubie będą ludzie z konspiracji.

Niemcy nie mogli przepuścić takiej okazji. Gdy wszyscy już zgromadzili się w środku, obstawili kościół. Mieczysława i Teofilę zatrzymano w zakrystii, a pozostali uczestników wezwano do wyjścia. Tam już czekały samochody ciężarowe. Nikt nie stawiał oporu. Żołnierze byli zaskoczeni, ale – jak przypuszczają historycy – mogli sądzić, że to rutynowa łapanka, z której wyjdą bez szwanku, legitymując się sfalszowanymi dokumentami.

Była to jednak akcja dobrze zaplanowana. Tak dobrze, że od początku było jasne, że ktoś musiał donieść Niemcom o planach żołnierzy polskiego podziemia.

TAJEMNICZY ŚWIADEK

Pod kościołem na placu Trzech Krzyży zatrzymano 89 osób. Aresztowanych przewieziono na Pawiak. Tu właśnie czekała osoba, która doskonale знаła większość z zaproszonych na ślub Mieczysława i Teofilę. Z ukrycia przyglądała się twarzom i wskazywała hitlerowcom, kogo należy zatrzymać. Zwolniono 33 osoby, pozostali uwięziono. Wielu więźniów trafiło później do obozów koncentracyjnych. Taki los spotkał m.in. żonę Uniejewskiego oraz jej ojca.

Rozbicie oddziału na ślubie Mieczysława i Teofilę było jedną z największych wpadek polskiego podziemia. Śledztwo w tej sprawie zarządził komendant główny AK Stefan „Grot” Rowecki. Po wojnie sprawę wielokrotnie badali historycy. Najważniejsze pytanie od początku brzmiało: Kto zdradził?



◀ **Kapitan Aleksander Kunicki „Rayski” (1898-1986), szef wywiadu Organizacji Specjalnych Akcji Bojowych „Osa”-„Kosa 30”**

FOT. ARCHIWUM

Kunicki w raporcie napisał: „Zdrajca i konfident gestapo Stanisław Jaster pseudonim »Hel« wyrokiem sądu Armii Krajowej został skazany na śmierć. Wyrok wykonano”. Nic tu się nie zgadza

„RAYSKI” OSKARŻA „HELA”

W 1968 roku ukazała się książka szefa wywiadu oddziału „Osa”-„Kosa 30” Aleksandra „Rayskiego” Kunickiego „Cichy front”. Kunicki o zdradę oskarżył posługującego się pseudonimem „Hel” żołnierza oddziału Stanisława Jastera.

„Zdrajca i konfident gestapo Stanisław Jaster pseudonim »Hel« wyrokiem sądu Armii Krajowej został skazany na śmierć. Wyrok wykonano”, napisał Kunicki.

Kim był Jaster? Urodzonemu w 1921 roku Jasterowi – żołnierzowi AK – rok przed ślubem na placu Trzech Krzyży udało się uciec z obozu koncentracyjnego Auschwitz. Była to ucieczka brawurowa i niezwykle ważna dla losów wojny – uciekający Jaster zabrał ze sobą legendarny raport rotmistrza Pileckiego. Po tym gdy dotarł do Warszawy, zaangażował się w działania „Osy”- „Kosy 30”.

Po latach Kunicki twierdził, że sama ucieczka budziła wątpliwości kontrwywiadu AK. Podejrzewano rzekomo, że mogła być sfingowana przez Niemców, choć z niemieckich dokumentów wynika, że była dla nich olbrzymim zaskoczeniem.

Jaster na ślub Mieczysława i Teofilę – podobnie jak Kunicki – nie dotarł. Według niektórych relacji zasnął, według innych zrezygnował z udziału ze względu na obawy przed dekonspiracją. Kilka tygodni później, podczas spotkania z szefem sztabu oddziału por. Mieczysławem Kudelskim „Wiktoorem”, został wraz z nim zatrzymany przez Niemców. To ostatnia pewna informacja o Jasterze. Czy został zamordowany? A może Niemcy przewieźli go w bezpieczne miejsce? Teorie – nawet te bardziej spiskowe – można było mnożyć, zwłaszcza że nigdy nie znaleziono ciała żołnierza.

Publikacja oskarżycielskiej książki Kunickiego sprawiła, że latami trwały spekulacje na temat losów Jastera. Nigdy nie odnaleziono jednak żadnego śladu wyroku sądu AK, na który powoływał się „Rayski”. Nie pojawił się żaden dokument w tej sprawie, który powstałby w polskim podziemiu. Mimo to dopiero w XXI wieku Jaster doczekał się rehabilitacji – w 2019 roku został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Wciąż jednak nie poznaliśmy odpowiedzi na pytanie, kto zdradził.

ODKRYCIE GDYŃSKIEGO NAUCZYCIELA

Na nowy trop wpadł Waldemar Stopczyński, nauczyciel polskiego w Pierwszej Społecznej Szkole Podstawowej w Gdyni mieszczącej się 500 m od cmentarza, na którym pochowany jest Antoni Suchanek. Znany jest z wieloletniej kampanii na rzecz obrony honoru Stanisława Huskowskiego „Alego”, który został niesłusznie oskarżony przez swojego dowódcę o tchórzostwo i ucieczkę z pola walki podczas słynnej akcji zamachu na „kata Warszawy”, Franza Kutschere.

Stopczyński wraca do prawdopodobnie pierwszej spisanej relacji o wydarzeniach z kościoła na placu Trzech Krzyży.

Jej autorką jest łączniczka Kunickiego, Irena „Bogna” Klimesz, która w 1946 roku napisała: „Na podwórzu Pawiaka jakaś kobieta wskazuje pojedyncze osoby, eliminując naszych ludzi z grupy osób przygodnie w kościele się znajdujących. Była to zemsta kobiety porzuconej przez »Marynarza«. Nie została ujęta i nie była ukarana”. O Kudelskim i Jasterze napisała: „Obydwóch szybko wykończono”. Relacja ta nigdy nie została opublikowana.

O tajemniczej kobiecie wspominał też sam Kunicki w również niepublikowanej relacji powstałej kilkanaście lat przed książką.

Kunicki: „Na skutek likwidacji »Kosy« z powodu wyspy (jeden z bojowców »Kosy«, porucznik marynarki »Marynarz«, porzucił kobietę, rzekomo pierwszą narzeczoną, która znając przeważnie większą część bojowców »Kosy«, doniosła z zemsty o tej grupie dywersyjnej do gestapo)”.

Pierwsza informacja o tym, że doszło do wyspy, ale osobą, która zdradziła, był jednak mężczyzna, ukazała się w 1958 roku. Leon Wanat – przez wiele lat więzień funkcyjny Pawiaka – w książce „Za murami Pawiaka” pisał, że zdrajcą, który w więzieniu rozpoznawał członków „Osy”- „Kosy 30”, był mężczyzna „wzrostu średniego, szczupły, o śniadej cerze i ciemnych włosach”. Nie pasowało to zdecydowanie do mającego 2 m wzrostu Jastry. Mimo to właśnie na relację Wanata powołał się Kunicki, pisząc „Cichy front”.

ZDRADZIŁA ZDRADZONA RAPORT

Przeglądając dokumenty zgromadzone w Archiwum Akt Nowych, Stopczyński zwrócił uwagę na raport skierowany do szefa Sztabu Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Wacława Janaszka „Bolka”, który napisał odręcznie... Aleksander „Rayski” Kunicki.

Dokument z 21 sierpnia 1943 roku, a więc powstały ponad dwa miesiące po tragicznym w skutkach ślubie, został stworzony w celu podsumowania informacji o rozbiciu „Kosy” niewątpliwie na polecenie przełożonych „Rayskiego”. Jak się okazuje, jest on analizą tego, która kobieta dekonspirowała żołnierzy „Kosy” na dziedzińcu Pawiaka. Jak podkreśla Stopczyński, w dokumencie nie ma ani słowa o innych możliwych scenariuszach.

„Zestawienie treści publikowanego meldunku z najwcześniejszymi powojennymi relacjami (...) musi jednak skłaniać do wniosku, że w dalszym ciągu śledztwa (...) nie sformułowano wniosków innych niż te zawarte w publikowanym raporcie – zdrady dopuściła

się niezidentyfikowana kobieta”, pisze Stopczyński w serwisie „Historia bez kitu”. „Rayski” – co podkreśla Stopczyński – jednym zdaniem sucho odnotował w zakończeniu meldunku aresztowanie Kudelskiego „Wiktora” i Jastera „Hela” przez Niemców 12 lipca 1943 roku. Przez lata oczekiwano, że pojawi się dokument, w którym ktoś z Armii Krajowej stwierdzi, że likwidacja „Hela” była pomyłką podziemia. Ale takiego dokumentu nie będzie – mówi Stopczyński w rozmowie z „Wyborczą”. – Raport Kunickiego wyraźnie pokazuje, że „Hel” nigdy nie był oskarżony o zdradę, więc nikomu nie przyszło do głowy pisać, że nie był zdrajcą. Oczywiście nie było też żadnej likwidacji „zdrajcy”. W dniu, w którym Kunicki podpisywał swój raport, „Hel” już nie żył zamordowany przez Niemców, a nie zabity w ramach wyroku polskiego podziemia – twierdzi gdyński nauczyciel.

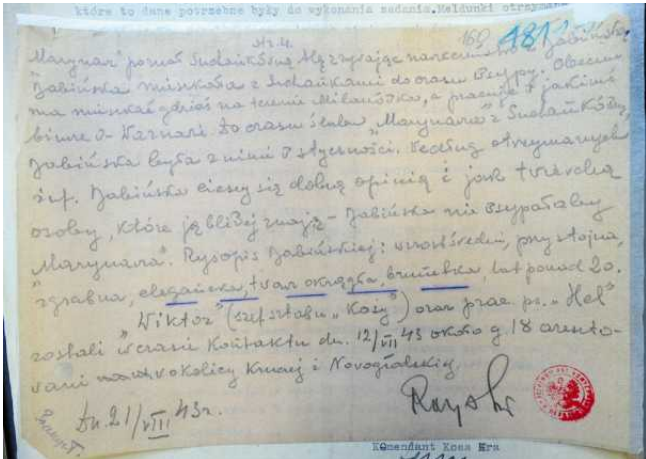
DLACZEGO OSKARŻYLI
PODWŁADNYCH?

Stopczyński dostrzega w tym analogię z historią, którą się zajmuje, czyli fałszywego oskarżenia Stanisława Huskowskiego „Alego” o tchórzostwo. Stopczyński: – Mamy tu do czynienia z sytuacją analogiczną. Zarzuty zdrady i tchórzostwa to najgorsze, o co można oskarżyć żołnierza. Jastera właściwie zabito drugi raz. Podobnie było z Huskowskim. W obu fałszywych oskarżeniach kluczową rolę odegrał Adam Borys „Plug” – oficer Kedywu i od sierpnia 1943 roku organizator słynnego „Parasola”. Co ciekawe, obydwie fałszerstwa kreowane są w tym samym mniej więcej momencie, w końcówce lat 60. i w latach 70. Wtedy Kunicki „Rayski” wydaje swoją książkę, wtedy też Piotr Stachiewicz, żołnierz „Parasola”, zaczyna pisać historię oddziału opartą na informacjach uzyskanych od Adama Borysa „Plug”, które spetryfikują oskarżenie „Alego”. Nie wiem, dlaczego mający wojenne zasługi oficerowie kilkadziesiąt lat po wojnie, w sytuacji osobistego bezpieczeństwa, postanowili tak opowiedzieć historię, by zniesławić poległych, których sami wysyłali do walki i którzy w tej walce zginęli. Za tym muszą kryć się jakieś mroczne tajemnice.

Zdaniem Stopczyńskiego historia ślubu Uniejewskiego i Suchanek wciąż pełna jest zagadek. – Jak to było możliwe, żeby tak wielu żołnierzy podziemia znalazło się w tym samym miejscu? Dlaczego dowódca dał na to zgodę? Myślę, że tu wciąż nie padła satysfakcjonująca odpowiedź – mówi nauczyciel z Gdyni. Według Stopczyńskiego przed historykami dużo pracy. – Zadaniem tekstu, który opublikowałem w serwisie Historia bez Kitu, było wprowadzenie tego dokumentu do obiegu – opowiada „Wyborczej”. W mojej ocenie najważniejsze w nim jest to, że „Hel” nie był zdrajcą, ale bohaterem. Ale wynika z niego także, że Kunicki pracował nad kolejnym raportem poświęconym tej wypadce. Także dowódca „Kosy” w meldunku z 5 lipca 1943 r. zapisał, że sprawę strat przedstawił w „meldunku specjalnym”. Te dokumenty, jeżeli rzeczywiście powstały, czekają na odkrywcę. ●

▼ Ostatnia strona odnaleziona przez Waldemara Stopczyńskiego raportu do szefa Sztabu Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Wacława Janaszka „Bolka”, w którym „Rayski” informuje, że AK-owców zdradziła kobieta

FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM AKT NOWYCH



MARIA TŁUCZE SZKLANY SUFIT

Być może gdyby Maria Zakrzewska nie została przypadkowo zamknięta w kostnicy z nieboszczykami, w tym z jednym zzieleniałym od trucizny, nigdy nie zostałaby lekarką.

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Prenzlau, miasteczko na skraju Pojezierza Meklemburskiego i Brandenburgii, początek XIX wieku. Mieszkańcy żyją tu spokojnie w przestrzeni, którą znają i rozumieją. Gdyby spytać ich o niejakiego Urbana, cygańskiego lekarza i pradiadka Marii, wzruszyliby ramionami. W świecie z urzędniczą kastą nie było miejsca dla wyrzutków ani tych, którzy marzyli o spektakularnym awansie. Czyżby więc część autobiografii „Marie Elizabeth Zakrzewska, 1829-1902: a memoir” była zmyśloną?

SINTI PO KĄDZIELI, POLKA PO MIECZU

W niemieckich archiwach nie ma śladu po lekarzu wywodzącym się z cygańskiej familii Lombardich, nic nie przeczytamy też o jego córce, weterynarce. Jednak sami Lombardi nie zostali wysłani z palca i zalicza się ich do Sinty, którzy do Prus przywędrowali z Półwyspu Apenińskiego. Tu jednak nic się rwie. Wśród konserwatywnych grup, a do takich należeli Sinty, zawody medyczne objęte były tabu. Poza tym w XVIII wieku kobiety nie miały wstępu na uczelnie, ponadto w Europie szkół weterynaryjnych było ledwie kilka, więc opisana w autobiografii babka Marii – dyplomowana weterynarka – musiała być postacią mityczną. I dopiero w Prenzlau pojawia się pierwszy historyczny przedstawiciel Urbanów, przodek po kądzieli, który został opisany w źródłach jako nadzorca w lokalnym przytułku. Tu również przyszła na świat Karolina Fryderyka Wilhelmina, jego córka i matka Marii Zakrzewskiej. Przodkowie ze strony ojca, pisala w autobiografii, mieli objawić się już w 911 i rozpocząć sztafetę „republikanów” i „agitatorów”. W czasach wojen familia biła się o Rzeczpospo-

litą, w dniach spokoju rozrastała i bogaciła. W XVIII wieku miała jakoby 99 wsi i co najmniej jeden „zamek”. Szczegóły te nie ułatwiają identyfikacji i w grę mogłyby wchodzić dwa rody Zakrzewskich – herbu Lubicz z Wileńszczyzny oraz Gryf z Wołynia. Z jednego z nich wywodził się dziadek Marii, który podczas wojny polsko-rosyjskiej 1792 roku „bił Moskała”. Jego oddział został rozbity i kiedy się wycofywał, dotarła do niego tragiczna wieść. Rodowa siedziba spłonęła, najbliżsi zginęli. Z ocalałą cudem żoną przekradł się do Prus, na pogranicze Pojezierza Starogardzkiego i Kociewia do Mewe, dziś Gniew. Dokonał konwersji na protestantyzm i około 1800 roku został nauczycielem. Widzimy go poprzez szyderczą rycinę niemieckiego malarza Thomasa Theodora Heinego. Siedzi za wysokim biurkiem, w mundurze, z szablą w dłoni i sprawdza z kartki, czy uczeń poprawnie recytuje. Nie pasuje tylko pikielhauba, czyli hełm ze szpikulcem, który wprowadzono w 1842 roku.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że i on, i jego przodkowie to postaci o patchworkowych biografiiach zszytych z rodzinnych przekazów oraz uproszczeń i przeinaczeń. Dopiero ojciec Marii jawi się jako postać historyczna. Urodził się w Prusach 11 listopada 1802 roku i otrzymał na imię Marcin Ludwik. Z jego pojawieniem się, jak w przypadku matki, Karoliny Fryderyki, wkraczamy do realnego miasteczka przełomu wieków XVIII i XIX.

TATA HUZAR

Dziadek Zakrzewskiej, ów pruski belfer i „polski szlachcic”, nie mógł synowi opłacić akademickiego czesnego. Z racji polskiego pochodzenia nie mógł też ubiegać się o rządowe stypendia. Ale stać go było, aby utrzymać chłopaka jeszcze cztery lata po ukończeniu szkoły. Tyle bowiem trwał bezpłatny staż w sądzie, jaki rozpoczął szesnastolatek. Wolonta-



riat taki prowadził boczną ścieżką do świata pruskich urzędników, czyli nowej burżuazji. Po zakończeniu stażu Marcin Ludwik musiał odslużyć dekadę w wojsku i te wydarzenia opisała historyczka medycyny Arleen Marcii Tuchman. Prześledziła, jak w 1822 r. ojciec Marii Zakrzewskiej przedzierzgnął się w huzara i został oddelegowany do stacjonującego w Gdańsku 2 Przybocznego Pułku Huzarów im. Królowej Prus Wiktorii. Odziany w futrzaną czapę, pełznię, z wielką trupa czaszką nad czołem, miał się niezgorzej. Trafił na okres pokoju, a jego roczny żołd oficera kwatermistrza wynosił 360 talarów; dla porównania nauczyciel po studiach otrzymywał 200, a dyrektor szkoły w Poczdamie – 1 tys. Bruce Levin, autor książki o niemieckich emigrantach w Ameryce, wyliczył, że w tamtych czasach trzeba było zgromadzić nie mniej niż 225 talarów, aby być niezależnym. Niebawem jednak życie zmusiło Zakrzewskiego do zmiany strategii.



„Dał wyraz swym rewolucyjnym przekonaniom, co sprawiło, że popadł w nielaskę przełożonych i wysłano go do cywila z bardzo niską emeryturą” – napisała Maria w autobiografii. Relacja odpowiada prawdzie połowicznie.

DZIECI, KUCHNIA, KOŚCIÓŁ

„Szukaj kobiety”, głosi popularna zasada, która i tu znajdzie zastosowanie. Marcin Ludwik z Gdańska przeniósł się do Prenzlau i tam właśnie poznał Karolinę Fryderykę Urban. Czy zabierał ją na romantyczne spacery nad jezioro Unteruckersee. Jak brzmiało ich „kocham cię”: po niemiecku, romsku „kamaw tut”, a może po polsku? Oczywiście mogło być bardziej po żołniersku i Zakrzewski najpierw poznał Urbana, przyszłego teścia, i przy kuflu piwa zapalali do siebie sympatią. Z archiwów wynika jedynie, że Marcin Ludwik i Karolina Fryderyka już jako małżeństwo przenieśli się do

Berlina i tam 6 września 1829 urodziła się Maria.
Nad Sprewą przez osiem lat Marcin Ludwik kontynuował służbę w armii, po czym, jak sugeruje Tuchman, porzucił ją w poszukiwaniu lepszego źródła zarobków. W tym czasie rodzina powiększała się i po Marii przyszły na świat Zofia, Anna, Herman, Wilhelmina i Rozalia, a w 1849 r. adoptowano osieroconego chłopca z rodziny Urbanów.
Berlin był wówczas najdynamiczniej przeobrażającą się stolicą Europy. Spektakularne zmiany zachodziły też w świadomości mieszkańców i wykształcił się właściwy dla całych Prus model życia.
Ścisłe określona rola mężczyzny i kobiety, znana jako Kinder, Küche, Kirche, czyli dzieci, kuchnia, kościół, były niczym strój, który przywdziali Zakrzewscy.
360 talarów nie mogło jednak wystarczyć i Marcin Ludwik musiał zgodzić się na radykalne odstępstwa. Zdecydowano, że Karolina

▲ **Maria Zakrzewska (1829-1902), na zdjęciu datowanym na przełom lat 40. i 50. XIX wieku**
FOT. SCIENCE HISTORY IMAGES / ALAMY
STOCK PHOTO/BE&W

Fryderyka pójdzie do pracy i zajmie się położnictwem. Jako matka miała doświadczenie oraz predyspozycje do tego zawodu.
Do 1851 r. położne w Prusach nie musiały mieć certyfikatu, ale w praktyce bez niego drzwi dobrych domów byłyby przed nimi zamknięte. Karolina Fryderyka poszła więc do szkoły przy berlińskim szpitalu Charité. Co roku przyjmowano tam jednak tylko około 25 kandydatek, w tym z Berlina jedynie dwie, i matka Marii aż czterokrotnie nie została tam przyjęta. Mimo problemów finansowych rodzina postanowiła, że Karolina Fryderyka znów spróbuje. Tym razem wsparł ją dyrektor do spraw kultury i edukacji przy Radzie Stanu Adalbert von Ladenberg. Nie wiadomo, dlaczego dygnitarz się zaangażował, ale faktem jest, że w 1839 r. matka Marii dostała się do szkoły położnych.

MARIA I NIEBOSZCZYCY

Gdy latem 1840 r. Karolina Fryderyka zakończyła drugi semestr, rozpoczęła praktyki w szpitalu. Jedenastoletnia Maria uprosiła matkę, aby zabrała ją tam ze sobą. Kończówkę lata – jak czytamy w listach Marii, opublikowanych w 1869 r. w zbiorze „Praktyczne ilustracje »prawa kobiet do pracy«” – dziewczynka spędziła w Charité.
Nie mogła wprowadzić asystować przy zabiegach, ale opiekował się nią niejaki dr Müller, który uczył ją podstaw medycyny, a od czasu do czasu opowiadał jej „straszne historie”. Jedną z nich dotyczyła mężczyzny, którego właśnie złożono do szpitalnej kostnicy, „całego zielonego od trucizny”. Maria postanowiła go obejrzeć. „Pokój pełen był krewnych [...] – zapisała – i pomyślałam, że nie będę im przeszkadzać”. Przeszła więc do kolejnych pomieszczeń. W każdym znajdował się stół sekcyjny, a dookoła na półkach w białych koszulach leżały zwłoki.
„Zbadałam wszystko – czytamy – po czym wróciłam i z satysfakcją w sercu przyjrzałam się młodemu człowiekowi, który się otrul”.
Wokół nie było już rodziny ani pracowników, choć nie pisze, czy faktycznie był zzieleniały. Kiedy postanowiła wyjść, drzwi już były zamknięte. Zapadł zmierzch i pomieszczenie pogrążało się w mroku.

W tym czasie Karolina Fryderyka skończyła pracę i nie zastała Marii. Z lekarzem doszli do wniosku, że może być tylko w jednym miejscu i razem poszli do wydzielonego budynku. Otworzyli drzwi i w półmroku dostrzegli śpiącą dziewczynkę, a obok „bielejące koszule nieboszczyków”. Po wydarzeniu w kostnicy Maria poprosiła dr. Müllera o fachowe książki. Wypożyczył „Historię położnictwa” oraz „Historię chirurgii”. Spotkanie ze zzieleniałym nieboszczykiem przesądziło o jej przyszłości.

PRZEWAL „NA AKUSZERKĘ”

Matka Marii zakończyła szkołę wiosną 1842 roku i została skierowana do pracy w okolice Torstraße; do dziś to słynący z prostytucji rewir Berlina. Cóрка często chodziła razem z nią, w „Praktycznych ilustracjach...” czytamy: „[...] moja matka prowadziła do porodu 35 ciąż [...] odwiedzając z moim udziałem dziennie od 16 do 25 kobiet. Dwie trzecie spośród tych pacjentek nie było w stanie zapłacić ani grosza”.
W innym miejscu: „Widziałam wielkoduszność na melinie i podłóż w pałacu, cnotę wśród prostytutek

i występpek u tak zwanych szanownych dam. Nauczyłam się właściwie osądzać ludzką naturę”.
Zajrzała również za kulisy świata medycyny. Pruscy lekarze i studenci traktowali opiekę nad ciężarnymi jako okazję do dobrego zarobku, inicjowali pierwsze spotkania z kobietami, a potem pozostawiali je pod opieką akuszerki. I takie lekarsko- lub studencko-akuszerskie tandemy zawłaszczały najlepsze zlecenia.
Matka Zakrzewskiej odważyła się wystąpić przeciw temu, w imieniu grupy dyplomowanych położnych zwróciła się z listem otwartym do kierownika kliniki ginekologii i położnictwa Dietricha Wilhelma Heinricha Buscha. Profesor nie zamierzał ingerować w praktyki lekarzy i studentów, ale po stronie Zakrzewskiej opowiedziała się policja. Busch nie od razu ustąpił, batalia trwała pięć lat, ale ostatecznie wienczy ją sukces. Jego miarą było wprowadzenie certyfikacji położnych oraz obowiązku ukończenia zawodowej szkoły.

MYJ RĘCE PO PROSEKTORIUM

Rodzice ustalili, że Maria zostanie przy rodzinie, a na studia szykowali syna, miłośnika polskich tradycji i przyszłego polskiego patriotę Hermana. Nie widziano jednak nic złego w tym, że nastolatka towarzyszyła matce w pracy w terenie w szpitalu. Właśnie w Charité Marię wypatrzył Joseph Hermann Schmidt, który kierował kliniką położniczą i równocześnie na polecenie rządu reformował system szkolnictwa medycznego. Koncepcję tych zmian opracował Wilhelma von Humboldt, a polegała ona na połączeniu praktyki i teorii. Oprócz tego ważnym elementem był system certyfikacji i dopiero zdanie egzaminu dawało prawo wykonywania zawodu.
Równolegle dążono do podwyższenia kompetencji nauczycieli akademickich. Co nie mniej ważne, Schmidt był uczniem Ignaza Semmelweisa, który udowodnił, że przyczyną dziesiątkującej kobiety gorączki połogowej są zakażenia zawleczone najczęściej przez personel medyczny. Wiednyczek zaobserwował zależność między gorączką połogową a niemyciem rąk przez studentów idących po ćwiczeniach w prosektorium na zajęcia do kobiet.
Schmidt zamierzał wdrażać rozwiązania Semmelweisa, ale spotkał się ze sprzeciwem środowiska. Działo się to niemal 20 lat przed tym, gdy Anglika Joseph Lister dowiódł, że fenol rozpylany podczas operacji kilkakrotnie zmniejsza śmiertelność oraz, 30 lat przed wprowadzeniem przez Polaka Jana Mikulicza-Radeckiego bawełnianych rękawiczek i maseczek operacyjnych. Nic więc dziwnego, że dla personelu zalecenia nieznanego im aseptyki wydały się absurdalne.
Schmidt uznał, że sposobem zmiany tego stanu rzeczy byłoby znalezienie głównej położnej, odpowiednika naszego konsultanta krajowego, będącej przykładem słuszności reformy. Ponadto jako prawa ręka Schmidta zarządzałyby ona szkołą. I w nastolatce, która z matką przychodziła do Charité, zobaczył idealną kandydatkę.
W 1847 r. osiemnastoletnia Maria złożyła dokumenty do szkoły położnych. Czy Marcin Ludwik nakłaniał ją, aby została w domu? A może przeciwnie, pobłogosławił decyzji – nie wiemy. Mimo wsparcia Schmidta dziewczyna nie została przyjęta. O rekrutacji decydowały władze miejskie oraz naczelny lekarz Charité Ernst Horn.

► Założony przez Marię Zakrzewską w 1862 roku w Bostonie New England Hospital for Women and Children, który działa do dziś, a jeden z budynków nosi jej imię

FOT.PIEMAGS / LCB /
ALAMY STOCK PHOTO /
BE&W



Maria, podobnie jak jej matka, nie załamała się i przystąpiła do egzaminów w kolejnym roku. Znow poniosła porażkę. W 1849 r. spróbowała trzeci raz, również bez skutku, ale tym razem Schmidt nie odpuścił. „Nie ma żadnego powodu, aby Prusy, tak jak Francja, nie były dumne ze swojej Lachapelle” – pisał w liście do króla. Porównanie do słynnej paryskiej położnej Marii Ludwiki Lachapelle (1769-1821) miało skłonić Fryderyka Wilhelma IV do wsparcia Zakrzewskiej. Monarcha docenił zestawienie dwudziestoletniej berlinianki z legendarną Francuską, która na świat przyjęła 40 tys. dzieci, i po interwencji z łaski Bożej króla Prus Marię przyjęto.

PRZEŁOŻONA IN SPE

Kursantki nauk rozpoczynały w sali dydaktycznej i trenowały na manekinach. Po semestrze ruszały do stołecznego zakładu syfilitycznego. Tam pod opieką lekarza opatrywały zakażone ciężarne, ćwiczyły się w posługiwaniu wziernikiem, w cewnikowaniu czy robieniu zastrzyków oraz przedstawiały pijawki. W połączeniu z solidną dawką teorii czyniło to berlińską szkołę jedną z najlepszych w Europie.

Mimo tak ambitnego programu Schmidt nie zamierzał kształcić podopiecznych na lekarki. W Europie połowy XIX wieku wizja medycyki była na tyle abstrakcyjna, że nawet feministki odżegnywały się od niej. Schmidt nie widział też miejsca dla kobiet w nauce, choć Zakrzewska uległa złudzeniu, że jest inaczej. Bez ukończonego gimnazjum i studiów nie mogła jednak otrzymać tytułu naukowego. Za to od początku szykował ją do objęcia funkcji naczelnej położnej Charité, a równocześnie zastępczyni w szkole. Droga do tego celu wiodła przez męski świat polityki, w którym z rzadka pojawiały się kobiety.

Wiosną 1850 r. zwołniono się stanowisko naczelnej położnej i Schmidt otrzymał do zaopiniowania listę czterech kandydatek. Pierwszej zarzucił brak kompetencji, o drugiej napisał, że „ma krzywe i połączo-

ne palce”, problemem trzeciej był mąż oraz dzieci, co odciągnie ją od pracy, czwarta zaś była katoliczką.

Następnie napisał do Horna list, w którym zachwalał Marię, uczennicę pierwszego roku, jako idealną przełożoną położnych in spe. Miał świadomość, że propozycja nie zostanie przyjęta, ale zależało mu, aby naczelny lekarz wiedział, że Fräulein Zakrzewska wchodzi do gry. Ostatecznie ustalono, że wakant obejmie niejaka Franz, osoba doświadczona, ale leciwa, i po dwóch latach szpital rozpisze nowy konkurs.

SPOSÓB NA MARIĘ

W 1851 r. Schmidt ponownie zarekomendował Hornowi Zakrzewską, która już z dyplomem w ręku złożyła aplikację. Horn zgodził się z charakterystyką Marii, ale podzielił się ze Schmidtem wątpliwościami. Po pierwsze zasugerował, że szpital potrzebuje osoby „bardziej praktycznej”, po drugie, jak to określił, „ulegaby studentom”; faktycznie zdarzało się jej tracić kontrolę nad emocjami.

Zdaniem Tuchman Schmidt z premedytacją zrelacjonował tę rozmowę Marii, aby ją sprowokować. Ta w gniewie wycofała aplikację i skierowała pismo do dyrekcji. W emocjonalny sposób odniosła się do

Rodzice ustalili, że Maria zostanie przy rodzinie, a na studia szykowali syna Hermana, przyszłego polskiego patriotę. Nie widziano jednak nic złego w tym, żeby nastolatka towarzyszyła matce w pracy w szpitalu

zarzutów i uznała, że została oczerniona. Dyrektorzy szpitala nie mogli nie pamiętać królewskiej interwencji sprzed dwóch lat. Decyzja zapadła i 15 maja 1852 dwudziestotrzyletnia Maria weszła do jednego z najważniejszych szpitali Europy jako naczelna położna.

Paradoksalnie z przekroczeniem progu Charité zakończyła się jej kariera w Europie. To, co wydarzyło się później, trudno bowiem nazwać pracą, do której była przygotowywana. W drzwiach, ku zdziwieniu Marii, nie przywitał jej Schmidt. Profesor i protektor Zakrzewskiej tego właśnie dnia zmarł. „Przez kolejne dni – zapisała – poruszałam się automatycznie, jak maszyna”. Musiała zmierzyć się z obowiązkami. Dzieni i noc nie wychodziła ze szpitala.

BĘDĘ LEKARKĄ W AMERYCE

Latem władze Berlina skierowały do Charité 50 położnych na szkolenia uzupełniające. Przebieg dalszych wydarzeń można odtworzyć, bazując na wspomnieniach Marii, bo inne źródła albo milczą, albo odnoszą się do finału tej historii.

Kobiety wiedziały, że Zakrzewska podjęła się nauczania woluntarystycznie, i zaproponowały jej wynagrodzenie. Odmówiła, a wtedy zostawiły w jej gabinecie prezenty o wartości „jakichś stu dwudziestu dolarów”; tekst, w którym to zrelacjonowała, powstawał z myślą o amerykańskich czytelnikach, dziś odpowiadałoby to 4 tys. tysiącom dolarów, czyli 16 tys. zł. Maria nie widziała, co zrobić, i wszystko schowała pod łóżko. „Życzliwi” śledzili każdy jej ruch i jeszcze tego samego dnia Zakrzewską wezwał Horn. Wydarzenie potraktował jako pretekst, aby usunąć ją ze stanowiska.

Maria poczuła się dotknięta i 15 listopada, równo pół roku od podjęcia pracy, złożyła wypowiedzenie. Wsparła ją wdowa po Schmidcie, która naklaniała ją, aby założyła prywatny szpital położniczy. Ojciec i matka, którzy wiedzieli, ile pracy i serca kosztowały ją ostatnie lata, najchętniej powitaliby córkę u boku opiekuńczego męża. Ale ona

miała inny plan. Jeszcze od Schmidta dowiedziała się, że w Stanach Zjednoczonych jedna z uczelni przyjęła na studia medyczne pierwsze kobiety. Rodzice oponowali, ale Zakrzewska postawiła sprawę na ostrzu noża – chce być lekarką w Ameryce. Nikomu nie udało się odwieść jej od tego postanowienia i z młodszą siostrą Anną wsiadła na pokład klipera „Deutschland”.

„Tylko w republice można udowodnić, że nauka nie ma płci” – powiedział niegdyś Schmidt. Płynęła to sprawdzić.

JEDNA Z DZIESIĘCIU

W Stanach Zjednoczonych Maria Elizabeth Zakrzewska przebiła szklany sufit. Wspierana przez pierwszą lekarkę na świecie Elizabeth Blackwell obroniła w 1856 r. dyplom lekarza medycyny, stając się jedną z pierwszych dziesięciu kobiet, które uzyskały dyplom wykonywania zawodu. Anna Tomaszewicz-Dobrska, uważana za pierwszą polską lekarkę, zdobyła uprawnienia w 1880 roku.

Zakrzewska z Blackwell założyły przychodnię dla kobiet i dzieci w Nowym Jorku, a w 1862 r. na obrzeżach Bostonu Maria powołała New England Hospital for Women and Children. Placówka działa do dziś, a jeden z budynków nosi jej imię. Dyrekcja pielęgnuje pamięć o założycielce i pamięta o jej polskich korzeniach. Oprócz działalności medycznej pracowała na rzecz równouprawnienia kobiet, ale za feministkę się nie uważała.

Angielska Wikipedia pisze o niej „polsko-amerykańska lekarka”, nasza: „lekarka pochodzenia polskiego urodzona w Niemczech”. Niemalą część swojej autobiografii poświęciła polskiej historii swojej rodziny. Jej brat Herman uważał się za Polaka, ona niewątpliwie знаła i ceniła polskie mity narodowe, choć nie ma dowodów na to, aby mówiła po polsku. Mieszkała z abolicjonistką i sufrażystką Caroliną M. Severance, tworząc z nią najprawdopodobniej lesbijski związek. Zmarła w Bostonie 12 maja 1902 roku. ●

STO LAT TEMU

Niemcy uderzyły w nas cłem

Wojna celna nie zaszkodziła polskiej gospodarce. Wręcz przeciwnie, wymusiła na niej nowe kierunki rozwoju.

Tomasz Nałęcz

Wojny celne, które wypowiada wielu państwow Donald Trump, dla historyka nie są nowością. Dzieje są pełne konfliktów wywołanych chęcią zaprzęgnięcia słabszego partnera do rydwanu własnych interesów. Jednak, jak uczy historia, takie ataki często kończą się jak w ludowym przysłowiu: złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Tak właśnie wyglądała wojna celna, jaką sto lat temu Niemcy wypowiedziały Polsce. Do agresji zachęciło Berlin odzyskanie mocarstwowej pozycji utraconej w wyniku przegranej I wojny światowej. Francja okazała się za słaba, by w relacjach z Niemcami grać rolę hegemonu. Wykorzystała to Wielka Brytania stawiająca na wzajemne szachowanie się Francji i Niemiec oraz zaczęła wzmacniać Berlin. Przyjęty w 1924 roku plan Dawesa ograniczył odszkodowania wojenne płacone przez agresora i zasilil jego gospodarkę szkodliwymi pożyczkami.

Jeszcze ważniejsze porozumienie zawarto w październiku 1925 roku w szwajcarskim Locarno. Sygnatariuszami byli Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Włochy i Belgia. Umowa gwarantowała nienaruszalność granic Francji i Belgii z Niemcami, w zamian dając im członkostwo w Lidze Narodów, poprzedniczce Organizacji Narodów Zjednoczonych. Berlin otrzymał nawet stałe miejsce w Radzie Ligi, co potwierdziło jego mocarstwowy status.

POLACY MUSZĄ KRWAWIĆ

Gwarancje lokarneńskie nie obejmowały granicy z Polską i Czechosłowacją. Czym to groziło, zdradził wieloletni szef niemieckiego MSZ Gustaw Stresemann, stwierdzając: „Dla mnie Locarno oznacza możliwość oderwania od Polski niemieckich prowincji na wschodzie”. Napaść zbrojna nie wchodziła w grę, przynajmniej na razie, bo Niemcy skrepowane były militarnymi ograniczeniami narzuconymi przez traktat wersalski, a Polskę wzmacniał sojusz z Francją z 1921 roku. Zamiast armat agresor użył więc cel.

„Pokojowe rozwiązanie zagadnienia granicy polskiej – tłumaczył Stresemann – można osiągnąć tylko pod warunkiem, że kryzys gospodarczy i finansowy w Polsce dojdzie do punktu



• Budowa Magistrali Węglowej, linii kolejowej, która połączyła Śląsk z portem w Gdyni. Prace rozpoczęły się w 1928 roku i trwały pięć lat FOT. ZBIORY STACJI MUZEUM / EAST NEWS

W 1925 r. prestiżowa niemiecka gazeta pisała: „Polska musi wyjść z wojny celnej śmiertelnie ranna. Z jej krwią odpłyną jej siły, a wreszcie i jej niepodległość”

szczytowego, a cały organizm państwowy Polski popadnie w niemoc”. Resztę wyluszczyła prestiżowa gazeta niemiecka, pisząc: „Polska musi wyjść z wojny celnej śmiertelnie ranna. Z jej krwią odpłyną jej siły, a wreszcie i jej niepodległość”.

Do ataku Berlin wykorzystał wygaśnięcie konwencji chroniącej gospodarkę Górnego Śląska po jego podziale w 1921 roku pomiędzy Polskę a Niemcy. Ułatwiała ona współpracę transgraniczną m.in. poprzez zagwarantowanie bezcłowego handlu węglem.

W czerwcu 1925 roku, kiedy konwencja przestała obowiązywać, Niemcy zrezygnowały z importu śląskich surowców i znacząco podniosły cła na większość naszych towarów.

Wstrząsnęło to polską gospodarką, bo Niemcy byli odbiorcą aż 80 proc. węgla, a wymiana handlowa z nimi stanowiła po-

nad połowę naszego eksportu, co wynikało z jeszcze zaborowych powiązań.

WYMIANA CIOŚÓW

Jak to zwykle w wojnach celnych bywa, zaatakowana Polska odpowiedziała podniesieniem cła na artykuły niemieckie. Wzajemne restrykcje powtarzano parokrotnie, coraz bardziej hamując wymianę handlową. O ile w 1923 roku do Niemiec trafiło aż 51 proc. polskiego eksportu, o tyle w 1926 udział ten wynosił już tylko 25 proc. Handel węglem zamarł niemalże zupełnie. W pierwszym półroczu 1925 r. wyeksportowano go 2,7 mln ton, w drugim zaś już tylko 18 tys. ton, co bardzo ucieszyło niemieckie górnictwo mające poważne kłopoty ze zbytem.

Równie radykalnie spadł przywóz towarów z Niemiec, w 1923 roku stanowiący

44 proc. naszego importu, a w 1926 r. tylko 24 proc.

Wymiana ciosów była o wiele bardziej bolesna dla Polski, która lokowała u zachodniego sąsiada ponad połowę eksportu, podczas gdy eksport do Polski stanowił zaledwie 10 proc. niemieckiego wywozu. Ta asymetria uzależnienia pozwalała Berlinowi liczyć na to, że wojna celna własną gospodarkę przyprawi jedynie o stan podgorączkowy, za to dla Polski stanie się chorobą śmiertelną.

Rzeczywiście, tak znaczące utrudnienie handlu z dominującym partnerem wstrząsnęło polską gospodarką. Od czerwca do grudnia 1925 roku produkcja przemysłowa spadła o 20 proc. Gwałtownie zwiększył się deficyt bilansu handlowego, co zachwiało kursem złotego, pomnażając kłopoty finansowe.

Alarmująco wzrosło bezrobocie, a z nim konflikty społeczne. Mnożące się kłopoty doprowadziły w listopadzie 1925 do upadku rządu Władysława Grabskiego, przez historyków uznawanego za najlepszego gabinet II RP.

ROZWÓJ ZAMIAST KRACHU

Jednak na dłuższą metę wojna celna nie zaszkodziła polskiej gospodarce. Wręcz przeciwnie, wymusiła na niej nowe impulsy rozwojowe. Blokada handlu z Niemcami doprowadziła do poszerzenia rynków zbytu. W przypadku węgla pomógł wielomiesięczny strajk górników angielskich z 1926 roku. Pozbawił on tego surowca wielu nabywców, zwłaszcza skandynawskich. Wykorzystali to ślascy eksporterzy i weszli na te rynki, a ponieważ byli konkurencyjni, nie pozwolili się wyprzeć, kiedy angielscy górnicy wrócili do pracy.

Nowe kierunki ekspansji znalazły też inne gałęzie przemysłu. Uruchomiło to kolejne impulsy rozwojowe. Ogromne masy śląskich towarów, wcześniej transportowane pociągami do Niemiec, trzeba było wywieźć drogą morską. Jak na drożdżach rósł więc port w Gdyni i łącząca go ze Śląskiem magistrala kolejowa będąca największą taką inwestycją międzywojennej Europy.

Uruchomiona została i szybko zwiększała się rodzima produkcja artykułów wcześniej importowanych z Niemiec. Poszerzyło to i zespoliło krajowy rynek wewnętrzny, likwidując dziedzictwo zaborów i przyspieszając gospodarczą integrację państwa.

Po kilkunastu miesiącach konfrontacji stało się jasne, że niemieckie nadzieje pokładane w wojnie celnej zawiodły z kretelem. Polska to starcie wygrała! Przetrwała najtrudniejsze chwile i wróciła na ścieżkę rozwoju. Pomogła dobra koniunktura międzynarodowa, w latach 1926-29 przeżywająca swoje apogeum. Produkcja przemysłowa II Rzeczypospolitej wzrosła w tym okresie aż o 41 proc., o wiele bardziej niż w Niemczech.

Tak to bowiem z wojnami celnymi bywa, że często obracają się przeciwko agresorom i arogantom, którzy je wywołują. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Okruchy historii

Banalna polska historia

Niemcy podali, że mój dziadek zmarł w obozie na serce.
Jego pracę zatrzymał zapewne zastrzyk z fenolu.

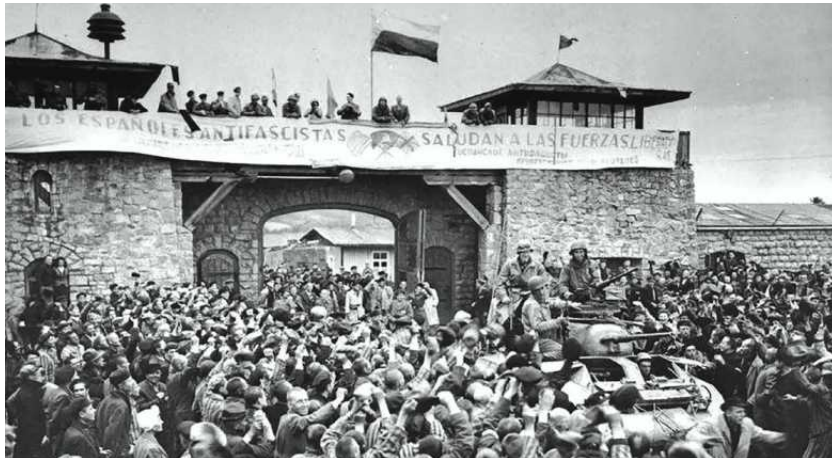
Motyka



80 lat temu Niemcy zamordowali mi dziadka. To zdanie w uszach wielu polskich rodzin brzmi banalnie, czyli – jak mówi słownikowa definicja tego słowa – „mało oryginalnie”, wręcz „pospolicie”. W domu o dziadku prawie nie wspomniano, kiedyś tylko ktoś z rodziny pokazał mi upamiętnienie – zbudowane koło nieistniejącej dziś cukrowni Płock-Borowiczki. Wymieniono tam nazwiska zabitych w czasie wojny pracowników, którzy należeli do organizacji podziemnej i zostali wyspani przez agenta gestapo.

Na obelisku obok imienia i nazwiska dziadka widniała jeszcze data 1943 i nazwa obozu Mauthausen-Gusen, do którego został zesłany. W rzeczywistości, co wynika z zachowanej ewidencji obozowej, Stanisław Motyka poniósł śmierć 15 marca 1945 r., jakoby o godzinie 5.35.

Siatka konspiracyjna powstała w cukrowni Borowiczki zaraz po włączeniu tych terenów do Rzeszy, jeszcze w 1939 roku. Jak cała ZWZ-AK, przygotowywała się na wybuch powstania powszechnego, jednak w 1943 roku doszło do wyspy. Pierwsze zatrzymania miały miejsce już w październiku, ale większość osób zatrzymano nieco później. 11 grudnia patrol niemieckiej żandarmerii aresztował po kolei 67 pracowników cukrowni.



• 5 maja 1945 roku, więźniowie witają amerykańskich żołnierzy, wyzwalających obóz koncentracyjny Mauthausen-Gusen

FOT. DONALD R. ORNITZ, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION, COLLEGE PARK

Przewieziono ich do Płocka, a następnie do fortu śledczego w Pomiechówku, gdzie zostali poddani brutalnemu śledztwu gestapo.

Dziadek przesłuchiwał m.in. asystent kryminalny Rossman. Z zachowanych materiałów można poznać szczegóły jego życiorysu.

Urodził się 23 listopada 1902 roku, mieszkał w Gmurach, małej i biednej nadwiślańskiej osadzie, regularnie zalewanej przez rzekę (dziś to jedna z płockich ulic). W latach 1923-25 służył w Wojsku Polskim, w płockim szwadronie kawalerii. Gestapowcy skrzętnie zanotowali, że miał żonę Genowefę i czwórkę dzieci. Był szczupły, miał długi nos, szare oczy, włosy ciemny blond, twarz owalną, a usta szerokie. Na pewno był wysoki, jak większość mężczyzn w naszej rodzinie, ale w jednym dokumencie gestapowcy przypisali mu 175 cm, a w drugim 180 cm, co chyba nie najlepiej świadczy o niemieckiej śledczej precyzji.

Znakomitą większość aresztowanych konspiratorów na początku 1944 r. skazano na „reedukację” w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen. Dziadek otrzymał nr obozowy 61175. O jego pobycie w obozie nic nie wiadomo, jednak należał on do jednego z najcięższych. Szczególnie wyniszczająca była dla więźniów praca w kamieniołomach.

Przerażający obraz warunków życia zesłanych tam ludzi nakreślił w swoich wspomnieniach Stanisław Grzesiuk, też tam więziony. Według niego nawet więźniowie przywożeni z Auschwitz byli wstrząśnięci warunkami, które zastali na miejscu. Niewątpliwie odpowiadał za to komendant KL Mauthausen-Gusen Franz Ziereis, który rządził bezlitosną ręką, zdarzało mu się osobiście bić więźniów dla przyjemności.

Kiedy dziadek dotarł do obozu, Ziereis właśnie otrzymał 20 kwietnia 1944 roku awans na standartenführer-

ra SS, co było rzadkością wśród dowódców kacetów (nawet Rudolf Hoess stojący na czele KL Auschwitz miał tylko stopień obersturmbannführera) i świadczyło o dużym zaufaniu, jakim się cieszył u zwierzchników. Obóz chętnie zresztą odwiedzali najwyżsi dostojnicy SS, w tym Heinrich Himmler i szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Ernst Kaltenbrunner. Jego zdjęcia z odwiedzin obozu stały się jednym z dowodów przeciwko niemu w czasie procesu w Norymberdze.

Ktoś kiedyś opowiedział mi, że dziadka spalono w stodole. Jednak jako przyczynę śmierci Niemcy podali „Herzinsuffizienz” – niewydolność serca. Jak się domyślam, oznacza to, że wyniszczony pracą i głodem dziadek otrzymał zastrzyk fenolu, który zatrzymał akcję serca.

Dosłownie kilka tygodni później, 5 maja 1945 roku, obóz został wyzwolony przez oddziały amerykańskie. Komendant Ziereis zbiegł, ale 23 maja został wytopiony i ciężko ranny podczas ucieczki. Przewieziony do szpitala zdążył złożyć zeznania, nim dzień później zmarł.

Jego ciało żołnierze amerykańscy wydali byłym więźniom, którzy rzucili je na druty kolczaste okalające obóz.

Od zawsze drzemie we mnie chęć zwiedzenia obozu, jednak jak dotąd nigdy nie miałem takiej okazji. Nie wiem też, czy kiedyś ten pomysł uda mi się zrealizować, więc choć w ten sposób, za pomocą pióra, chciałbym zapalić dziadkowi w rocznicę jego śmierci lampkę pamięci. To też taki banalny polski gest. ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Rozpoczął się konkurs na najlepszą książkę o współczesnej historii Polski

NAGRODA MOCZARSKIEGO

Książki można zgłaszać do 10 kwietnia 2025 roku.

Igor Rakowski-Kłós

Do Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego mogą być zgłaszane autorskie prace historyczne: monografie, biografie, reportaże, eseje, dzienniki, pamiętniki itp. wydane w 2024 r. i poświęcone historii Polski od odzyskania niepodległości w 1918 r. po czasy współczesne. Zakwalifikowane może być pierwsze polskie wydanie książki autora/autorki polskiego lub pierwsze polskie wydanie przekładu książki autora/autorki zagranicznego.

Z uwagi na cel konkursu, którym jest popularyzacja książki

historycznej oraz osobę patrona, Kazimierza Moczarskiego, autora słynnych „Rozmów z katem”, organizatorzy liczą na zgłoszenia książek nie tylko ściśle naukowych, ale też adresowanych do szerokiego grona czytelników i czytelników.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie książki w wersji elektronicznej (w formie epub, mobi lub pdf) na adres nagrodamoczarskiego@dsh.waw.pl i/lub trzech egzemplarzy papierowych na adres: Dom Spotkań z Historią: ul. Zielna 39 (XI piętro), 00-108 Warszawa, z dopiskiem „Nagroda Moczarskiego”. Należy również przesłać potwierdzenie wysłania książki na wskazany adres mailowy.

Termin nadsyłania zgłoszeń upływa 10 kwietnia 2025 roku. Spośród zgłoszonych książek jury



wybierze pięć nominacji, które zostaną zaprezentowane w październiku na łamach „Gazety Wyborczej” i Wyborcza.pl.

Uroczystość wręczenia nagrody odbędzie się 30 listopada 2025 r. Laureat lub laureatka otrzyma nagrodę pieniężną w wysokości 50 tys. zł oraz statuetkę zaprojektowaną przez rzeźbiarza Jacka Kowalskiego, wykładowcy warszawskiej Akade-

mii Sztuk Pięknych – „Temperówkę Kazimierza Moczarskiego”, replikę temperówki Kazimierza Moczarskiego. Pozostałe osoby nominowane otrzymają po 10 tys. zł.

Jury Nagrody Moczarskiego: prof. Andrzej Friszke (przewodniczący), prof. Antoni Dudek, prof. Dobrochna Kałwa, prof. Barbara Klich-Kluczevska, prof. Jan Kofman, dr hab. Andrzej Krzysztof

Kunert, prof. Anna Landau-Czajka, dr Anna Machciewicz, dr Tomasz Makowski, Małgorzata Szejnert oraz Andrzej Wielowieyski.

Patronem nagrody jest Kazimierz Moczarski, dziennikarz i prawnik, demokrat i społecznik, żołnierz Armii Krajowej, po wojnie przez 11 lat więziony przez komunistów, jest autorem „Rozmów z katem” – niezwykłego zapisu rozmów z Jürgenem Stroopem, likwidatorem warszawskiego getta, z którym dzielił jedną celę więzienia na warszawskim Mokotowie.

Organizatorem i fundatorem nagrody jest m.st. Warszawa, a współorganizatorami Dom Spotkań z Historią oraz Fundacja im. Kazimierza i Zofii Moczarskich. Partnerem jest Biblioteka Narodowa, zaś patronem medialnym „Gazeta Wyborcza”. ●

Jasne strony dziejów

Ale się wystroił!

Gdy trzeba było prosić amerykańskiego prezydenta o wojenne wsparcie, Winston Churchill robił to nawet w ręczniku kąpielowym.

Brzeziecki

Winston Churchill nie miał u progu swego premierostwa łatwego zadania. W 1940 roku po klęsce Francji Wielka Brytania stała samotnie przeciwko potęgze III Rzeszy. Hitler miał pod sobą niemal całą Europę. Jeśli nie wszystkie jej terytoria podlegały mu bezpośrednio, to zarządzili nimi jego sojusznicy. Reszta w najlepszym wypadku była neutralna.

Niemcy mogli także liczyć na nieprzebrane zasoby surowców ze Związku Radzieckiego. Po stronie Brytyjczyków stali jedynie rozbitkowie z dawnego świata – trwający na uchodźstwie politycy i żołnierze z Polski, Czech i kilku innych krajów.

Jedyną nadzieją Londynu była Ameryka. Cóż, kiedy za Atlantykiem nikt szczególnie nie spieszył się z udzielaniem pomocy walczącym. Nastroje izolacjonistyczne były niezwykle silne. Hasło „America First!” biło rekordy popularności. Co gorsza, w Waszyngtonie dobrze wiadano, że Wielka Brytania wciąż nie spłaciła zadłużenia z okresu poprzedniej wojny światowej. Prezydent Roosevelt, nawet jeśli chciał wesprzeć Churchilla, miał związane ręce, zarówno przez prawo, jak i kampanię wyborczą. Zapewniał więc, że nic nie go zmusi, by wysłał amerykańskich żołnierzy na Stary Kontynent.

Dlatego nawet jeśli Amerykanie deklarowali pomoc – kazali sobie słono za nią płacić. Za zdezelowane i przestarzałe okręty – dzierzawa na niemal stulecie ważnych brytyjskich baz morskich.

Im większą niechęć do mieszanina się w wojnę przejawiała Ameryka, tym bardziej wojownicze miny stroił w kontaktach z nimi Churchill. Gdy pisał list do prezydenta USA, podpisywał się „człowiek marynarki” al-



• Premier Winston Churchill w swoim syrenim garniturze i szlafroku, stoi obok generała Dwighta D. Eisenhowera. Tunis, 25 grudnia 1943 roku

FOT. PIEMAGS / WW2ARCHIVE / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

bo – już jako premier – „były człowiek marynarki”. W Londynie nieraz można go było spotkać w kombinezonie przeciwlotniczym zwanym też syrenim garniturem (siren suit). Był to jednoczęściowy strój zapinany na zamek błyskawiczny, zaprojektowany tak, by można go było szybko włożyć i wygodnie poruszać się w nim po schronie podczas ataków lotniczych. Niektórym przypominał on wielgachne śpiochy dla niemowlaków, a korpulentny premier Brytyjczyków o rumianej buzi wyglądał w nim jak wielki bobas. Takż kombinezon sprezentował on także królówi. I oczywiście nie omieszkiał zabierać swego stro-

ju do Ameryki, co zresztą zostało potem ochoczo uwiecznione przez prasę – a teraz przypominane przez anglosaskie media po wizycie prezydenta Ukrainy w Białym Domu.

Gdy jednak Churchill pierwszy raz spotkał się z przywódcą USA w sierpniu 1941 roku, paradował w mundurach – a to formacji Elder Brother of the Trinity, a to komandora lotnictwa marynarki, a to pułkownika huzarów. Prezydent Roosevelt i jego świta wbić w nienaganne garnitury musieli podnosić ze zdziwienia brwi. Najwnikliwszy chyba biograf Churchilla, Roy Jenkins, który z reguły dość krytycznie oceniał zwyczaje ubraniowe swe-

go bohatera, twierdził, że ten po prostu nie zdawał sobie sprawy, iż w garniturze wyglądałby znacznie lepiej i poważniej. Tymczasem Roosevelt, zdaniem Jenkinsa, ubrany zawsze w eleganckie garnitury, prezentował się znacznie dostojniej niż Churchill „w tych swoich fantazyjnych uniformach”.

Sir Winston, który niemal każdą chwilę poświęcał na pracę, był widywany przez swych pracowników – ale także osoby postronne – a to w swej słynnej jedwabnej różowej piżamie, a to w wannie, gdy dyktował teksty. Niekiedy nawet i tej piżamy mu brakowało, ale cygara i odpowiednie do pory dnia trunku – nigdy. Wychowany w brytyjskich szkołach z internatem, gdzie intymności nie było za groz, Churchill nie wstydził się nagości.

Takiego голуńskiego ujrzał go właśnie prezydent USA, gdy zjawił się w jego gościnnym pokoju w Białym Domu – to wersja amerykańska tej historii. Nawet to niefortunne zdarzenie Brytyjczyk umiał wykorzystać dla zyskania sobie przychylności Amerykanina, po ataku na Pearl Harbor już wielkiego sojusznika, i niczym nieskonfundowany stwierdził, że Roosevelt sam może się przekonać, iż premier Wielkiej Brytanii nie ma przed nim niczego do ukrycia.

Później sam Churchill twierdził, że jednak miał na sobie przynajmniej ręcznik kąpielowy, bo właśnie wyszedł z wanny.

Ani fantazyjne ubrania, ani nawet ręcznik (lub jego brak) nie przeszkodziły jednak obu mężom stanu współpracować potem już zgodnie. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz publicysta

REKLAMA

Kraj/34363148

“

Dla miłośników dwudziestolecia, dla jego krytyków i dla tych, którzy niewiele wiedzą, słowem – dla wszystkich. Bardzo polecam!

Joanna Kuciel-Frydryszak

W fascynującym eseju Andrzej Krajewski pokazuje, że II RP była krajem toczącym się od kryzysu do kryzysu. Bogate źródła i świetne pióro!

Adam Leszczyński

OWADZIEŚCIA LAT SPACERU PO LINIE

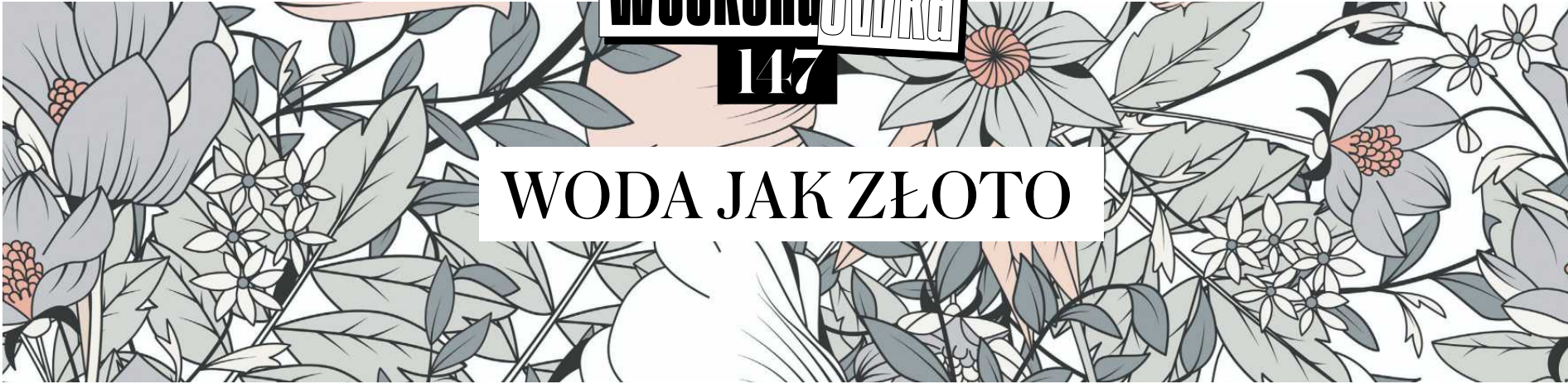
RZECZPOSPOLITA

ANDRZEJ KRAJEWSKI

KRYZYSOWA

WOJNA, SPISKI, GŁÓD I NIE TYLKO

Historia II RP jakiej nie znacie



Michael Burry kilkakrotnie kontaktował się z rządem pytając, czy ktośkolwiek chciałby z nim porozmawiać o tym, skąd na długo przed wszystkimi wiedział, że system upadnie.

Nikt nie oddzwonił. Choć on sam czterokrotnie przesłuchiwany był przez FBI.

Drobne inwestycje, które wciąż robi, dotyczą tylko jednego towaru:

Wody."

To epilog filmu „Big Short” Adama McKaya, opowiadającego o przyczynach gigantycznego kryzysu finansowego z końcówki pierwszej dekady lat dwutysięcznych wywołanego pęknięciem bańki kredytowej.

Michael Burry – w tej roli Christian Bale – był tym, który krach przewidział. Zarobił krocie, ale potem zamknął swój fundusz Scion Capital. I faktycznie zaczął inwestować w wodę.

„Świeża, czysta woda nie może być uważana za coś naturalnego, oczywistego, pewnego. Woda jest kwestią sporną i polityczną” – powiedział Burry Bloombergowi.

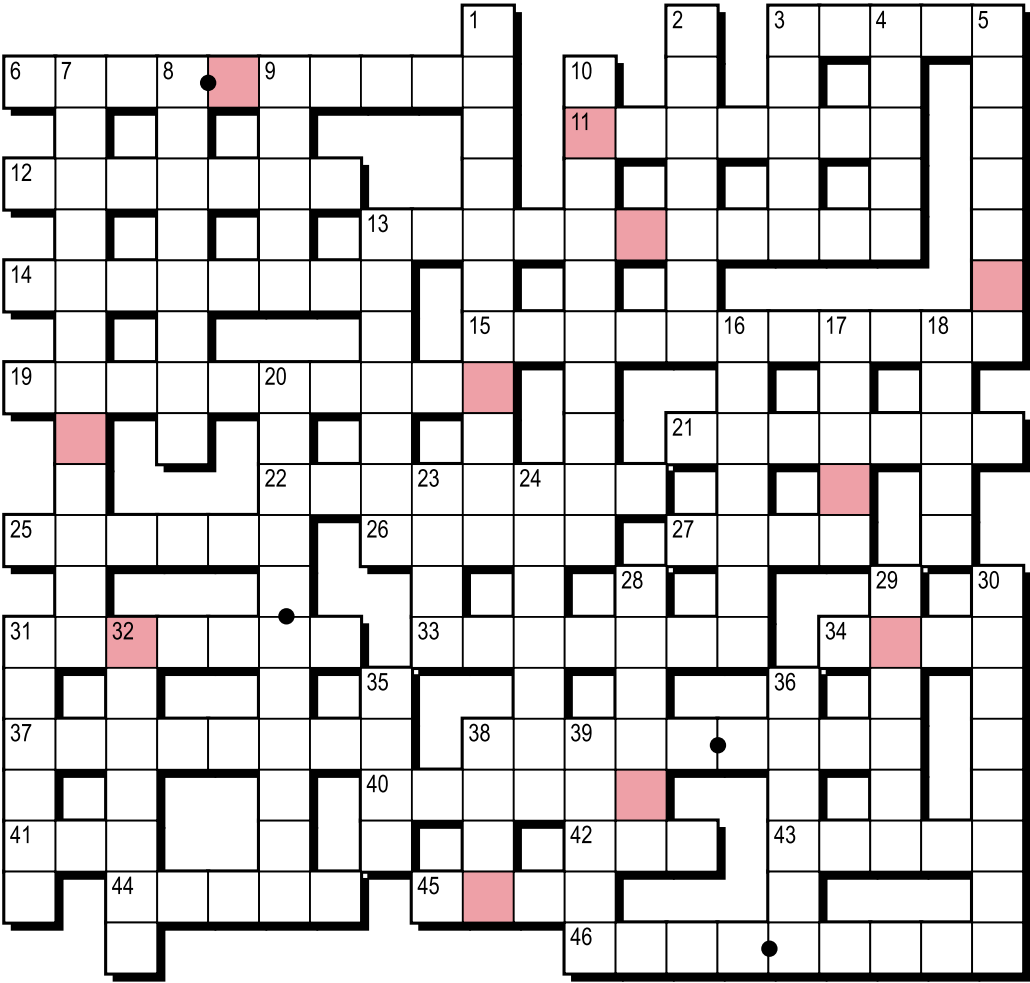
Nie jest wcale tak, że Burry skupia się wyłącznie na wodzie, bo czynił inwestycje dotyczące ziemi i złota, ale wodą interesował się również.

Bo zapotrzebowanie na wodę stale rośnie, dlatego, że rośnie też jej zużycie – jak wyliczyło w swoim raporcie UNESCO w 2023 roku – corocznie o 1 procent, od ponad 40 lat. I rosnąć będą, bo rolnictwo, energetyka i przemysł bez wody nie funkcjonują, a potrzebować jej będą coraz więcej. Europejska Agencja Środowiska wskazuje, że do 2050 zapotrzebowanie na wodę sektorów gospodarczych wzrośnie o 55 proc.! – Do wyprodukowania kilograma wołowiny potrzeba 15 tys. litrów wody, kilograma gorzkiej czekolady – 17 tys., dwóch par dżinsów – 8 tys. – mówiła „Wyborczej” dr hab. Ewa Węgrzyn z Uniwersytetu Rzeszowskiego.

A zasoby wody niestety maleją. Wprawdzie wody stanowią 70 procent powierzchni Ziemi, ale w zdecydowanej większości – 97,5 proc.! – jest to woda słona. Tylko w Polsce wielkość odnawialnych zasobów wody słodkiej na 1 mieszkańca Polski wynosi niecałe 1,6 tys. m³, a to już wskazuje na zagrożenie tzw. stresem wodnym. Polska zresztą jest poniżej bezpiecznego poziomu ustalonego przez ONZ na 1,7 tys. m³ na mieszkańca. W podobnej sytuacji są jeszcze Malta, Czechy i Cypr (tak czytamy w raporcie GUS).

Warto sobie o tym wszystkim przypomnieć dziś, 22 marca, w Światowy Dzień Wody, ale pamiętać przez cały czas. Także rozwiązując naszą „wodną Weekendówkę”. Powodzenia.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 146
z 15.03:

Poziomo:
1) trybun, 9) architektura, 11) Asterix, 14) termy, 15) legion, 16) Oktawian, 17) Diana, 18) patrycja, 20) Italia, 22) stan, 24) prawo łaski, 25) kije, 26) noże, 28) decemwirat, 30) ekwici, 31) niewolnicy, 34) wilczyca, 37) Antoniusz, 38) Aurora, 39) Goci, 40) spiszek, 41) Klaudiusz.

Pionowo:
2) Rea, 3) Botticelli, 4) Neron, 5) Pax Romana, 6) Hellada, 7) Aureliusz, 8) harmonia, 10) centurion, 12) Flawiusze, 13) zwyczaj, 19) triumwirów, 21) Apeniny, 23) Neptun, 25) kawaleria, 27) żona, 29) idy, 32) epicy, 33) lanista, 35) zdrada, 36) Wulkan, 39) gęsi.

HASŁO:
PANOWANIE KARAKALLI

WODA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) z wodą, na kwiaty
6) z kapitanatem i akwatorium
11) zapobiega ściekaniu wody po ścianie budynku
12) Hańcza lub Winnipeg
13) dostarcza wodę na przednią i tylną szybę auta
14) ... Meteorologii i Gospodarki Wodnej
15) choroba zwana też wodowstrętem
19) zdarza mu się używać wody święconej
21) spuszczana na wodę, gdy statek tonie
22) łódź podwodna kapitana Nemo

25) kontynent kojarzony z brakami wody
26) wodnista potrawa dietetyczna
27) jeśli upalne, pijmy dużo wody
31) przepisane pacjentom np. w ramach hydroterapii
33) izraelskie miasto ze źródłem Marii Dziewicy w herbie
34) skrótowniec kojarzący się z bezpieczeństwem nad wodą
37) korzystają z akwaplanu, kajaków, motorówek
38) ... zdrowia doda!
40) barwa morza
41) ... Mariański, wielka głębia Pacyfiku
42) uprawiany na obficie nawodnionych polach
43) łupinka na wodzie
44) ułatwia wlanie wody do butelki
45) na pustyni, ze źródłem wody
46) namierzane przez radiestetów

Pionowo:
1) przesączanie wody, by polepszyć jej jakość
2) schroniska turystyczne przy szlaku wodnym
3) z hydromasażem – to jacuzzi
4) „... kąpeli” lub „... skoków do wody” (nie wolno!)
5) malowniczy wodospad na granicy USA i Kanady
7) nauka o największych akwenach Ziemi
8) zawody sportowe, w których jedną z konkurencji jest pływanie
9) wodowany
10) ryba podobna do dorsza (z morsem w nazwie)
13) Andrzej, autor książki „Przez rzekę”, „Rzeka dzieciństwa”
16) „... wody”, film nagrodzony czterema Oscarami
17) jak by nie patrzeć, chatka z wody
18) woda – ... życia

20) główna cieśnina Wenecji
23) składnik cząsteczki wody
24) ... zużycia wody, szczytywany przez inkasenta
28) ... rolne, wymagają melioracji
29) np. amfibie
30) ... wodne, przewożą pasażerów
31) służą do zamykania i otwierania drogi przepływu cieczy przez przewody
32) hydrotechniczna – to np. zapora
35) czuć się jak ... w wodzie
36) rzeka zasilająca inną rzekę
38) najniższa część kadtuba statku, w której gromadzi się woda
39) wielka fontanna pośrodku Sahary

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

